KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Nr 12/158 1960



« La Culture » • Revue mensuelle •

KLON : **HISTORIE ŻYDOWSKIE**

. LEDNICKI : **LEW TOŁSTOJ**

NAGRODA PLASTYCZNA "KULTURY"
NA ROK 1960

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień – Décembre 1960

INSTYTUT LITERACKI



Redakcja «Kultury»
składa serdeczne życzenia
Świąteczne i Noworoczne
swoim czytelnikom i przyjaciołom.

◆

NOTA BIOGRAFICZNA

Teodor KLON, urodzony w r. 1913, jest autorem dwóch powieści: ,,Miałem tylko jedno życie'' i ,,Kobiety i telefon''. Obecnie drukujemy jego nigdzie nie publikowaną nowelę ,,Historie żydowskie'', pochodzącą z r. 1945.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Dr J. Pawlikowski, Montreal, Que (Kanada) po raz drugi ..	20.00 NF
Zofia Starczyńska, Berne (Szwajcaria) po raz piąty	5.00 ,,
Jiri Kolaja, Lexington, Ky. (USA)	25.00 ,,
Dr St. N. Korzeniowski, Ladd, Ill. (USA) po raz szósty	20.00 ,,
Henryk Cyba, Chicago Ill. (USA)	30.00 ,,

DZIĘKUJEMY

◆

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów, że wobec ogromnego wzrostu kosztów produkcji zmuszeni jesteśmy podnieść od 1.I.1961 *prenumeratę ,,Kultury'' i cenę poszczególnych numerów. Jest to dla większości naszych abonentów pierwsza podwyżka od* 13 *lat. Wierzymy, że — rozumiejąc konieczność tej decyzji — wszyscy nasi czytelnicy odnowią abonament a ci, którzy już wpłacili na rok* 1961 *— uzupełnią wpłatę do cen podanych na 3-ej stronie okładki bieżącego zeszytu ,,Kultury''.*

◆

Następny zeszyt ,,Kultury'' będzie jak zwykle podwójny za miesiące styczeń-luty 1961.

Imprimé en France.

Lew Tołstoj

(W PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI)

1910 — 20.XI. — 1960

Wyniosły przeciwnik historii i wspaniały jej pogromca, Tołstoj sam do głębi, organicznie jest historyczny. Cała jego istota — artysta, myśliciel, człowiek — mocno wrosła w ziemię, w naród, w epokę, w klasę społeczną, z którymi związało go przeznaczenie. Obdarzony indywidualnością olbrzymią i jakby szczególniej samowolną, mimo to jest on niejako logicznym wytworem dziejów i bytu społecznego.

To nie Dostojewski: ,,woltyżer ideowy'', przez ,,spekulantów'' międzynarodowej giełdy filozoficznej uznany za ,,geniusza wolności''. Tak czy inaczej — znacznie bardziej on ,,socjologiczny'' niż Dostojewski. Stąd trudniej mu było (daleko trudniej niż Dostojewskiemu) wypowiedzieć się w sensie ponadhistorycznym: uniwersalistycznym. W znacznym stopniu ukształtowała go rzeczywistość historyczna, w której żył. W nie mniejszym stopniu kształtował siebie sam, lecz zwłaszcza czynił to w walce z ową rzeczywistością historyczną. Nie inaczej i w religii: chrześcijanin realny przeciwstawiał się chrystianizmowi historycznemu. Nie ominęło go zmaganie się z własną krnąbrną i zmysłową naturą. Jest coś z prawa konieczności w jego życiu, jakaś nieodzowność logiczna życie to sformowała. Skrucha jego nieunikniona, *fatalna*: indywidualnie i społecznie. Sztuka jego od swego zarania i aż do schyłku taka sama jest właśnie. Nie tylko jako całość, nie tylko jako syntetyczna ilustracja historyczno-społeczna i biograficzna: Tołstoj to wielki monolog o świecie XIX stulecia. Kochał świat, lecz kochał go w sobie i dla siebie. W tym również tkwią pierwiastki niewoli; jednak nie tylko o to chodzi.

Zbadawszy najgłębszą istotę życia, jego istotę irracjonalną, poznawszy, jak rzadko kto lepiej, psychofizjologię człowieka, Tołstoj pokazał w swej sztuce, że przypadek rządzi nieodwołalnie reakcjami życia w stosunku do wszelkich zakusów jego racjonalistycznej normatywizacji. Przypadek stał się tu prawem, zaś konflikt pomiędzy żywiołami irracjonalnymi a dążącą do ich ujarzmienia władzą racjonalizmu nieuchronny i właściwie nigdy nie zażegnany definitywnie. Stąd jego zasadnicza, r a c j o n a l i s t y c z n a walka z historią. ,,Racjonalizować życia się nie da'' — uczy nas sztuka człowieka, który przez całe swoje życia nic właśnie innego nie robił! Tragiczna antynomia. Z więzienia rozumu wyjść nie potrafił bodaj nigdy, chociaż wiedział również lepiej niż ktokolwiek, że więzienie to jest tylko wiotkim namiotem.

Ten olbrzym, mądry i przenikliwy jak prorok biblijny, od urodzenia w cudowny zmysł uwagi wyposażony, obdarzony intuicją niezwykłą, czujny jak zwierz drapieżny — okazał się bezsilny, gdy z tajemnicą istnienia się zmierzył. Ludzka to porażka i głęboko ludzka niedola. Rozumiał to i dlatego — on, patetyczny dydaktyk — nie chował jej w sobie. Przeciwnie, z odważną pokorą powiedział o niej ludziom i odsłonił przed nimi swoją ,,przegraną''. Nie tylko ją: m e t a f i z y c z n e p r z e r a ż e n i e .

Wszystkimi uczuciami swymi i zmysłami życie miłujący namiętnie, już *nel mezzo del cammin* stał się ofiarą nieodstępnej odtąd myśli o śmierci. Myśl o śmierci to jedyna dla niego brama otwarta do świata metafizycznego. Brama ta przerażała go, jak mało kogo przerażała i przeraża. Myśl o śmierci, myśl o konieczności jej pchała go do samobójstwa. Nadmiernie kochał życie.

I to właśnie było jego ludzkie, po wsze czasy ludzkie słowo. W tym kryje się jego czyn osobliwy.

Lecz kto mógł przemówić tak? Kto mógł tak k r z y k n ą ć , iżby przez w s z y s t k i c h być usłyszanym? On właśnie: Tołstoj.

Ale na to trzeba było żyć w wieku XIX. Do kogo by dziś głos jego doleciał? Po strasznym hałasie roku 1914 i jeszcze straszniejszym 1939 roku — głosów takich już nie słyszymy wcale.



Całą duszą do Boga zwrócony, nie znalazł Go w żadnym kościele, nie usłyszał jak gdyby nigdy i gdzie indziej ,,wezwania'' ,,Boskiego głosu''. To nie Pascal, choć tyle ma z nim wspólnego. Noc 23 listopada 1654 roku nie była mu dana; pozostał tylko ,,Zakład'' Pascala. W tym jego męka szczególna i upośledzenie, z czego zdawał sobie sprawę głębiej i lepiej, niż mogli to przypuszczać nawet najbliżsi.



Przeciwnik kultury — był to człowiek głęboko kulturalny, do szpiku kości ucywilizowany, wyszlifowany świetnie w warsztacie dyferencjacji społecznej i w szkole wielowiekowej tradycji intelektualnej. Predestynowany był do tego, aby się stać ,,idealnym'' reprezentantem duchowej elity — rosyjskiej inteligencji. Ale nie lubił jej i w swoich powieściach poddał ją swemu wielkopańskiemu sądowi, którego wyrok uwieczniła jego uszczypliwa i jadowita satyra.

Pięknem szczególniejszym zabłysnął wszakże wtedy, gdy znalazł się dobrowolnie na łonie prymitywu. Arystokratyzm, wysubtelniony przez etykę chrześcijańską, odkrył wyjście dla siebie w swoim przeciwieństwie. W tym akcie topienia swego potężnego, gigantycznego *ja* w masie doznawał swoistej rozkoszy, rozkoszy charakterystycznej dla tego arystokraty-panteisty. I tu przezwyciężył zagrażającą mu nieuchronnie banalność. Banalnym ten otwarty rousseauista nie był nigdy. Oskarżenia o demagogię opadły jak błoto, nie splamiwszy wcale jego wielkopańskiej szaty. Szlachetny kamień i bez oprawy jarzył się ogniem swej tajemniczej konstytucji i ogniem swego misternego szlifunku.

Nasycony ,,mędrców dorobkiem'', ,,sztuk natchnionych dziełami'', ,,legendami i testamentami minionych stuleci'', rozumiejący ,,ruczaju szept i liści drzewnych rozmowę'', ,,człowieka całego do głębi zbadawszy i rozpoznawszy'', jak Goethe Borażyńskiego, ,,miał dostęp otwarty do nędznej chałupy i zamków królewskich''. Stąd jednako on drogi i dla ,,pierwszych ostatecznych'' i dla ostatecznych pierwszych'', i dla ,,malutkich'', i dla ,,wielkich'', i dla ,,głupich'', i dla ,,mądrych''.



Historyzm, uniwersalizm, socjologizm, anarchizm, panteizm, indywidualizm, racjonalizm, irracjonalizm, intelektualizm, prymitywizm, sensualizm, ascetyzm etc., etc. — litania dualizmów i antynomij może być tu nieskończenie długa.

A jednak Tołstoj jednością jest całkowitą; jest to monolit, jest to osobowość, której nie rozdarły i zniszczyć moralnie nie zdołały przeciwieństwa wewnętrzne. Większą była od nich i głębszą bezgranicznie.

W tym tkwi tajemnica osobliwej sugestywności jego autorytetu. Cudownie żywy, potężny, niezmożony i niewyczerpany, jak gdyby dla wieczystego wytrwania przez wyższe wyroki przeznaczony, stał się u schyłku swego życia czymś w rodzaju sumienia epoki. Jeden to z największych humanistów europejskich.



Bolał nad dolą bliźniego, cierpiał jednak właściwie za siebie i cierpienie to było jego najdroższą strawą duchową. Wierzył, że każdy człowiek może i winien kierować siebie ku dobru — wi-

dział w tym pokój i zbawienie dla świata, przeczuwał nieśmiertelność także: dobro umrzeć nie może. ,,Tylko o pokucie nieustannej'' — uczy starzec Zosima Dostojewskiego i broni zakonnika przed karceniem za samotność i troskę o własne zbawienie; w tym samym sensie uczył również i Tołstoj. Lecz Zosimie uwierzono, a Tołstojowi wierzyć nie chciano i nie darowano mu ,,egoistycznego'' pragnienia zdobycia doskonałości osobistej. Przecie stwierdzał tylko (na własnym przykładzie) fakt immanencji moralizmu w istocie ludzkiej. Ale Dostojewski był biedak, Tołstoj zaś pan wielki i możny: ,,albowiem łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wejść do Królestwa Bożego''.

I wielu, nawet wśród najbardziej ,,maluczkich'', nie mówiąc już o ,,mędrcach w chytrości'', czuło się uprawnionymi aby przypominać starcowi jasnopolańskiemu słowa Apostoła Pawła o ,,językach ludzkich i anielskich'', co są ,,jako miedź brząkająca albo cymbal brzmiący'', i o tym, że ,,chociażbych miał proroctwo i wiedziałbych wszystkie tajemnice i wszelką naukę'' ,,wszystkie majętności rozdał na żywność ubogich'', ,,a miłościbych nie miał'': ,,nicem nie jest'' i ,,nic mi nie pomoże''.

A któż z nich wiedzieć mógł niechybnie, że on ,,miłości nie miał''?



Wróg przemocy wszelkiej, skądkolwiek by brała początek, stał się celem napaści ,,z prawa'' i ,,z lewa''. W środku stanął i w środkowym punkcie ludzkim stał. Tego mu także przebaczyć nie chcieli. Jako człowiekowi nie darowano mu niczego, i żadnego żądania nie zapomniano z tych, którego się stawia świętemu. Człowiekiem był przecie — nie świętym.



Szukając praktycznej realizacji ,,reguły'' w życiu, racjonalistycznie poznawszy nieprzezwyciężoność tego, co jest irracjonalne, ten wierny sługa myśli znał dokładnie niezmożoną anarchię życia i cierpiał od swojej porażki. Nie był zdolny do dialektyki spekulatywnej. ,,Praktyka'' była pokusą, której oprzeć się nie mógł.

Wrogowie, wrogowie ,,powojenni'', dawniejsi i dzisiejsi, adepci ,,myśli czystej'' nie dostrzegli rzeczywistego sensu tej porażki — jej patos był poza ograniczonym polem widzenia ich lilipucich oczu. W swoim bezczelnym języku tragedię Tołstoja przezwali jego ,,hańbą''.

Żywioł, w którym ,,praktycznie'' był niepokonany i w którym absolutnie — irracjonalnie — triumfował: to jego sztuka. Jedyna, niezastąpiona sztuka. Wszakże ona od początku do końca jest jego teorią i praktyką. Tego nie chcą widzieć i złośliwie się cieszą, że od sztuki swojej się odwrócił. Nie rozumieją, że na

tę apostazję zdobyć się mógł tylko on sam, on — nieskończenie więcej wiedzący niż to, co w sztuce swojej zdołał wyrazić. Poznał jej ograniczoność w czasie i w miejscu, przejrzał jej „socjologiczną historyczność" — i sprzeciwił się jej.

Tym razem zamierzył przezwyciężyć własną swoją historię: zapatrzył się w świat — Boski i ludzki — nie znający ani początku, ani końca.

Uwierzono mu, ale dopiero w chwili jego śmierci. Uwierzono milczeniu.

Kto jednak miał słuszność: oni, czy on?



PRO DOMO NOSTRA

(*Ex ungue leonem*)

W *Spowiedzi* swojej, omawiając straszliwy wstrząs, którego doświadczył w samo południe swego słonecznego życia, wstrząs wywołany myślą o śmierci (a myśl ta zmusiła go do przewartościowania całej przeszłości, nastawień, czynów, osiągnięć i swoich dalszych ludzkich losów) — Tołstoj porównał siebie do człowieka, który idąc ulicą naraz odwrócił się i począł iść w kierunku przeciwnym. Wszystko, co przedtem było po prawej jego stronie, znalazło się teraz po lewej. Domy i domki, które się posuwały z prawa — zaczęły posuwać się z lewa.

Tak stało się w życiu i w twórczości Tołstoja i z „naszym domkiem", z Polską. Mały był to domek, a jednak losy jego w tym życiu bardzo są znaczące. Na początku drogi pisarskiej ukazywały się w jego dziełach sporadyczne przebłyski obojętnej niechęci w stosunku do Polaków. Uważny i doświadczony łowca dusz ludzkich poznał typy polskiej „zwierzyny" i upamiętnił jej cechy ujemne. Później bolał nad tym i tłumaczył się z tego tradycyjnym wychowaniem rosyjskim, które go kształtowało. W drugiej połowie życia, po owym kryzysie, nastąpiła przemiana. Pojawiły się nowe przebłyski, całkiem odmienne.

Ale gdy Polacy, nawet tacy jak Sienkiewicz, zwracali się do niego w polskiej sprawie jako do powszechnie znanego sędziego spraw ludzkich, otrzymywali odpowiedzi, które wprowadzały ich w zakłopotanie, a nawet w zdumienie. Na te listy polityczne odpowiadał racjonalista, reprezentant etyki indywidualistyczno-utylitarnej, usiłujący zachować konsekwencję swoich zasadniczych poglądów — antypaństwowiec, przeciwnik nacjonalizmu, a nawet patriotyzmu. W odpowiedzi na skargi dotyczące np. wywłaszczenia chłopów polskich przez rząd pruski oświadczył, że raczej boleje nad głębią moralnej deprawacji rządu pruskiego niż nad dolą polskiego chłopa, który jakoś sobie z tą klęską poradzi. Poza racjonalizmem wyłaniała się także postawa

wielkiego pana, indywidualisty, który dbał przede wszystkim o osobiste doskonalenie się moralne, a zarazem lekceważył cierpienia chłopów, od wieków do nich przyzwyczajonych.

Każe to myśleć o słynnej rozmowie Bołkońskiego z Pierre'em w ślicznym epizodzie promu w *Wojnie i pokoju*. Zniesienie pańszczyzny ważniejsze jest dla panów — mówił książę Bołkoński — jako że ona demoralizuje ich nadmiarem władzy nad ludem i doprowadza do samowoli oraz rozmaitych hańbiących nadużyć, niż dla chłopa, który i rany swoje szybko zaleczy, i nawet do wygnania w Sybirze się przystosuje.

W odpowiedzi Sienkiewiczowi daje się znów rozpoznać, jak rzekłem, poza upartym racjonalistą, egoistyczny Tołstoj z lat, kiedy pisał *Wojnę i pokój*. Najbardziej gwałtownym wyrazem tych ówczesnych nastrojów pisarza był jego list do kuzynki, hr. A.A. Tołstoj, z 14 listopada 1865: „Czemu kuzynka mówi, że pokłóciłem się z Katkowem. Ani myślałem. Po pierwsze dlatego, że nie było po temu przyczyny. Po drugie dlatego, że między mną a nim tyle wspólnego, ile między kuzynką a jej woziwodą. Nie sympatyzuję z tym, że Polakom zabraniają mówić po polsku, ale i nie gniewam się na nich za to, ani też nie oskarżam Murawiowów i Czarkasskich. Jest mi całkiem obojętne, ktokolwiek by dusił Polaków albo zaanektował Szlezwig-Holsztyn, albo wygłosił przemówienie na zebraniu instytucyj ziemskich. Przecież i rzeźnicy zabijają byki, które my jemy, i nie jestem zobowiązany oskarżać ich albo współczuć". (Nawiasem dodam, że jednak publicznie Tołstoj nigdy w podobny sposób o sprawie polskiej się nie odezwał).

I otóż w roku 1906, niedługo przed śmiercią, w okresie gdy odwrócił się od swojej wielkiej sztuki, nieraz dzielący się z przyjaciółmi wyrzutami sumienia z powodu grzechów wobec Polski — Tołstoj napisał jedno z najpiękniejszych swoich opowiadań: *Za co?*

Cała nowela oparta jest na krótkiej relacji rzeczywistych dziejów wygnańców polskich w Syberii w latach trzydziestych — Migurskich. Przepojona jest ta nowela uznaniem dla patriotyzmu polskiego, zarówno jak i głębokim współczuciem dla polskiej niedoli — i rozbrzmiewa w niej potężne oburzenie i protest przeciwko gwałtom rosyjskim. Wielki trud zadał sobie Tołstoj, ażeby nasycić ją rozmaitymi typowo polskimi szczegółami historyczno-politycznymi, ideologią polską i poprawnymi zdaniami polskimi, a nawet łacińskimi z modlitw katolickich. Każdy czytelnik, choćby najprzeciętniejszy, musi ocenić ów wysiłek. Ten zaś, co studiował życie i twórczość wielkiego pisarza, znajdzie w niej coś więcej. Przede wszystkim uderza fakt, że z małej stroniczki przeczytanego tekstu Tołstoj zrobił obszerne opowiadanie, z bogatą i wysoce dramatyczną fabułą — a pamiętników W. Migurskiego nie znał. Zestawienie źródła i dokonania rzuca bogate światło na procesy twórczości artystycznej Tołstoja. Dalej: ażeby wyposażyć bohaterów polskich w najbardziej atrakcyjne cechy ludzkie, nadał im rysy swoich ulubionych postaci

rosyjskich z własnych największych utworów. Była to swego rodzaju ,,tołstoizacja'' charakterów polskich — a więc swego rodzaju rusyfikacja, na którą chyba chętnie możemy się zgodzić.

Ale na tym nie koniec. Ustawił swoich polskich bohaterów w sytuacji ,,sentymentalnej'' podobnej do własnej, kiedy się kochał w przyszłej żonie i starał się o nią. A więc naprawdę z serca wziął pierwiastki dla tego opowiadania. Znamienny to w ogóle fakt, przede wszystkim dlatego, że gdy naraz do sztuki wrócił — racjonalista poszedł w niepamięć. Zatriumfował ponownie żywioł uczuć spontanicznych, przez rozum nie kontrolowanych. Patriotyzm polski uzyskał nieoczekiwane poparcie i wspaniałą sankcję.

Poza tym, jeśli weźmiemy tę rzecz pod kątem widzenia stosunku Tołstoja do nas, mamy tu wzruszające wymazanie grzechów dawnych, które zresztą nigdy wielkimi nie były. Bo i problem polski wielkim problemem dla przedkryzysowego Tołstoja nie był nigdy.

I tu wyłania się jeszcze jedna, ukryta a wielka rola tego opowiadania. Rzuca ono światło na ów kryzys: na istotną i głęboką prawdę kryzysu i na szczerość walki ze wszystkim, co niepokoiło sumienie tego wielkiego pokutnika. Gdy zaczął wymiatać wszelkie kurze i śmiecie w swoim domu, gdy zaczął wyrywać wszelkie chwasty nienawiści i uprzedzeń w swoim ogrodzie — nie zapomniał i o tej małej okruszynie złości, i o tym zielsku dawnej niechęci. Ważne więc to opowiadanie, cenne i drogie nie tylko dla nas Polaków, ale i dla tych, którzy wierzyli i wierzą w dobrą wolę i szczerość ,,proroka jasnopolańskiego''.

O świeżości artystycznej *Za co?* nie ma potrzeby się rozwodzić — jest to kryształ jego sztuki, który bezapelacyjnie zaprzecza wszelkim komentarzom na temat rzekomego wyczerpania się artysty.

I rzecz dziwna, ironiczna zarazem — mało jest znany ten utwór nie tylko wśród Polaków. Słabo go czytali Rosjanie i rzadko który z nich go pamięta. A przecie nietrudno w nim rozpoznać pazur ,,wielkiego Lwa'' (1).

Wacław LEDNICKI

(1) Obszerniej przeanalizowałem stosunek Tołstoja do Polski i *Za co?* w mojej francuskiej książce *Quelques aspects du nationalisme et du christianisme chez Tolstoï. (Les variations Tolstoïennes à l'égard de la Pologne)*. Cracovie, 1935.

Porównaj także wcześniejszą i znacznie krótszą moją rozprawę *Tołstoj a Polska*, która się ukazała w dwóch zeszytach *Przeglądu współczesnego* (czerwiec-lipiec 1929) w Krakowie oraz (dla sprawy korespondencji z Sienkiewiczem) moją rozprawę *Henryk Siekiewicz (A Retrospective Synthesis)*, Mouton and Co. 1960 — Gravenhage.

Fragment z dziennika

Piątek

Przyjechał Roby z Santiago. Najmłodszy z dziesięciu braci S. W tym Santiago del Estero (1.000 km. na północ od B.A.) spędziłem kilka miesięcy dwa lata temu — przyglądałem się wówczas wszystkim kręćkom, zadrażnieniom i zahamowaniom tej zabitej prowincji, duszonej we własnym sosie. Księgarnia tak zwanego ,,Cacique'', jednego z tej licznej rodziny S., była punktem zbornym niepokojów duchowych miasteczka, spokojnego jak krowa, słodkiego jak śliwka, o światoburczych i światotwórczych ambicjach (mowa o piętnastu osobach, spotykających się w kawiarni Ideal). Santiago gardzi stolicą, Buenos Aires! Santiago uważa, że tylko w nim, w Santiago, przechowuje się autentyczna (*legitima*) Argentyna, Ameryka — tamto, reszta, na południu, to zbiór meteków, *gringos,* imigrantów, Europejczyków — mieszanka, brud, śmiecie.

Rodzina S. jest typowym okazem roślinnej wegetacji santiageńskiej, przetwarzającej się niepojętym wykrętasem w zryw i w pasję. Wszyscy ci bracia są świętej poczciwości i nie brak im owej śliwkowatej słodyczy — są trochę jak owoc dojrzewający w słońcu. A jednocześnie potężne namiętności skądś, z podglebia, o charakterze tellurycznym, wstrząsają nimi, ich senność galopuje, dotknięta szałem reformowania, stwarzania. Każdy jest zaprzysiężonym wyznawcą innej tendencji politycznej, dzięki czemu familia nie potrzebuje obawiać się częstych tutaj rewolucji — jaka by nie była, zawsze będzie triumfem któregoś z braci, komunisty, albo nacjonalisty, liberała, księdza, peronisty... (To wszystko referował mi kiedyś Beduino). Za mego pobytu w Santiago dwóch z tych braci miało swoje osobne organy prasowe, wydawane własnym sumptem w kilkudziesięciu egzemplarzach: jeden wydawał intelektualny miesięcznik ,,Dimension'', a drugi gazetkę, której zadaniem była walka z miejscowym gubernatorem.

Roby... Na krótko przed jego wizytą w Buenos Aires zaskakuje mnie — nigdy do siebie nie pisywaliśmy — list od niego z Tucuman, w którym prosi o przysłanie Ferdydurki w wydaniu hiszpańskim:

,,Witoldo: coś z tego, co mówisz we wstępie do ,,Ślubu'' zainteresowało mnie... te idee — niedojrzałość, forma — które wyglądają na osnowę twojego utworu i mają związek z problemem twórczości''.

,,Jasne, że nie miałem cierpliwości żeby przeczytać więcej niż 20 stron ,,Ślubu''...

Dalej prosi o Ferdydurke i pisze: ,,Rozmawiałem z Negro (to jego brat, księgarz) i widzę, że w dalszym ciągu jesteś przykuty do twego szowinizmu europejskiego; najgorsze, że to ograniczenie nie pozwoli ci osiągnąć pogłębienia tego, tak interesującego, problemu twórczości. Nie możesz zrozumieć, że najważniejsza ,,obecnie'' jest sytuacja krajów niedorozwiniętych. I że z wiedzy o tym mógłbyś wydobyć elementy zasadnicze dla jakiegokolwiek zamierzenia''.

Z tą szczeniakierią jestem ,,na ty'' i zgadzam się, żeby mi mówili co im się zachce. Rozumiem też, iż na wszelki wypadek wolą pierwsi zaatakować — nasze stosunki dalekie są od ckliwej idylii. Mimo to list wydał mi się już zanadto zarozumiały — cóż on sobie wyobraża?! Odpowiedziałem telegraficznie:

ROBY S. TUCUMAN — NIEDOROZWINIĘTY NIE PLEĆ GŁUPSTW FERDYDURKI NIE MOGĘ PRZESŁAĆ ZAKAZ WASZYNGTONU NIEDOZWOLONA SZCZEPOM TUBYLCZYM ŻEBY UNIEMOŻLIWIĆ ROZWÓJ, SKAZAĆ NA WIECZNĄ PODRZĘDNOŚĆ — TOLDOGOM.

Telegram wsadzony został w kopertę i wysłany jako list — są to właściwie telegramy listowne. Wkrótce nadeszła odpowiedź przemawiająca do mnie pobłażliwie, jak do dziecka: *,,Kochany Witoldku, otrzymałem twój liścik, widzę, że robisz postępy, ale niepotrzebnie silisz się na oryginalność etc. etc.''*. Wcale nie jestem pewny, czy to wszystko jest godne druku. Może i nie warto zapisywać tych przekomarzań — tylko że życie, autentyczne życie, to nic nadzwyczajnie błyskotliwego i mnie zależy na odtworzeniu go tutaj nie w jego kulminacjach, a właśnie w tej przeciętnej, będącej codziennością. I nie zapominajmy, że w błahostkach też nieraz bywa ukryty lew, tygrys, żmija.

Roby przyjechał tedy do Buenos Aires i zjawił się w ,,barcito'', gdzie urzęduję prawie co wieczór: chłopak ,,mocny w kolorze'', kruczo czarna czupryna, oliwkowo-ceglasta skóra, usta koloru pomidora, oślepiające uzębienie. Nieco skośny i nieco po indyjsku skulony, krzepki, zdrowy, z oczami sprytnego marzyciela, łagodny i uparty — w iluż procentach Indianin? I jeszcze coś, ważnego: żołnierz urodzony, nadający się do karabina, okopów, konia. Mnie zaciekawiło, czy w ciągu tych dwóch lat naszego niewidzenia coś ruszyło się w tym studencie? — Coś się zmieniło?

Albowiem w Santiago nic się nie rusza. Co wieczór wypowiada się tam w kawiarni Aguila te same śmiałe ,,interkontynentalne'' idee — Europa już się skończyła, nadszedł czas Ameryki Łacińskiej, musimy być sobą a nie naśladować Europejczyków, odnajdziemy siebie gdy nawiążemy do naszej tradycji indyjskiej, musimy być twórczy itd. Tak, tak, Santiago, kawiarnia Aguila, Coca-cola i te śmiałe myśli, powtarzane dzień w dzień z monotonią pijaka, który wysunął naprzód jedną nogę i nie wie, co począć z drugą, Santiago — ta krowa co dzień przeżuwająca swój lot, ta zmora senna w której pędzi się zawrotnym pędem, ale nie ruszając się z miejsca.

Wydawało mi się jednak prawie niemożliwe, aby Roby w swoim wieku mógł uchronić się od mutacji, choćby częściowej tylko, i o pierwszej nad ranem poszedłem z nim i z Gomą do innego baru, żeby podyskutować w ściślejszym kółku. Zgodził się najchętniej, był gotów przegadać całą noc, widać było że ,,gadanie genialne, szalone, studenckie'', jak pisze Żeromski w swoim dzienniku, weszło mu w krew. W ogóle oni przypominają mi czasem Żeromskiego i jego kolegów z lat 1890-ych: zapał, wiara w postęp, idealizm, wiara w lud, romantyzm, socjalizm, ojczyzna.

Wrażenia z tej rozmowy? Wyszedłem zniechęcony i zaniepokojony — znudzony i rozśmieszony — zirytowany i zrezygnowany — i jak zmyty, jakby mi pokazano figę.

Ten głuptas niczego sobie nie przyswoił odkąd go zostawiłem w Santiago. Nawiązał tę samą dyskusję sprzed dwóch lat, jakby była z dnia wczorajszego. Kubek w kubek — widziałem tylko, że jest bardziej zagospodarowany w swoim głupstwie, więc i bardziej zarozumiały i apodyktyczny. I znów musiałem wysłuchiwać: — Europa się skończyła! Nadszedł czas Ameryki! Musimy stworzyć własną kulturę amerykańską. Ażeby ją stworzyć, musimy być twórczy — ale jak tego dokazać? Staniemy się twórczy, gdy będziemy mieli program, który wyzwoli w nas siły twórcze itd. itd. Malarstwo abstrakcyjne jest zdradą, jest europejskie. Malarz, pisarz, powinni uprawiać tematy amerykańskie. Sztuka musi się związać z ludem, z folklorem... Musimy odkryć naszą wyłączną, amerykańską, problematykę itd.

Znam to na pamięć. Ich ,,twórczość'' na tych deklamacjach zaczyna się i kończy. Cóż za bieda z nędzą — ludzi, którzy mi to recytowali, liczę na dziesiątki i nigdy nie usłyszałem nic, coby nie dało się streścić w tym jęku: ,,jesteśmy nietwórczy, trzeba coś zrobić żeby zdobyć oryginalność, osobowość... trzeba coś począć...''. Śmieszności tych biadoleń nie czują. Nie wiedzą, dziecinni, że twórczości nie uzyskuje się na obstalunek. Nie widzą groteskowości tego owczego chóru, beczącego jak Ameryka Południowa długa i szeroka: oryginalność, osobowość! Widzą jedynie, że Europa tworzy, więc i oni chcieliby tak samo — ale nie skapowali jeszcze, że to pragnienie oryginalności to też naśladowanie Europy. Nie pojęli dotąd kompromitacji, zawartej w tej retoryce, poza którą nie są w stanie nosa wychylić. Nie

czują niepowagi wyrażającej się w tym, że pragną ,,żyć własnym życiem'' nie z istotnej potrzeby, a tylko aby rywalizować z Europą — kto lepszy! Wymyka się im naiwność postulatu, który głoszą, że to niby ,,musimy odkryć i określić, kim jesteśmy, aby wiedzieć co mamy tworzyć'' (nie jestże na odwrót — człowiek, naród, kontynent, dopiero tworząc dowiaduje się kim jest, twórczość go wyprzedza). Słowem: zawiść, kompleks niższości, płycizna, słabizna i mętlik.

Tandenta. Ani marzyć, abym mógł go przekonać.

— Jesteś *europeo*. Nie jesteś, w stanie nas zrozumieć.

Albo: — Nie chwytasz, że świadomość naszego momentu historycznego określa nas w naszym samostwarzaniu się i w naszej podświadomej mitologii (bo, oczywiście, to wszystko musi być straszliwie toynbeejowskie, spenglerowskie, freudowskie, z Marxa, z Junga, fenomenologiczne, heideggerowskie, sartrowskie, sorelowskie). Rozpacz! Jego pasja drapuje się w każdy przeczytany papier. Jest tak nadziany ,,myślami'', że stracił smak, słuch, węch i wzrok i dotyk, gorzej — przestał czuć siebie.

Kair, Chiny, Bombaj, Turkiestan, ale i przedmieścia paryskie, i robotnicze dzielnicze dzielnice Londynu — wszystko to ,,myśli'', wszystka niższość świata pogrążona w takim ,,myśleniu''. Jak to jest, że Europa — nie ta geograficzna — duchowa — wytrzymuje dotąd parcie zachłannych fermentów, którym przyświeca jeden cel: wedrzeć się na Olimp, lub go zniszczyć? I to ma przykry smak — to, że wyższość ducha i intelektu, owoc rozwoju, nie może liczyć na posłuch, szacunek i wdzięczność, ale staje się przedmiotem żądzy, dzikiego łakomstwa, pragnącego jej miejsca, jej honorów. Przykry smak tej brudnej roboty, która zastępuje rzetelny wysiłek (do tego nie są zdolni) miksturą z namiętności i fałszu.

Tandeta. Niesłychana, dodajmy, naiwność, dla której owo ,,tworzenie nowych kultur'' — jest łatwe.

Ten Roby pchnął mnie w przeszłość. W hitleryzm. Pamiętam: ta sama bezsilność, kiedy ten mody Austriak upajał się, ku zbudowaniu Brochwicza-Kozłowskiego, (w pociągu który nas wiózł z Wiednia do Tarvisio) krachem zgniłej Europy i nadchodzącym triumfem nowego ducha. To było w 1938-ym. Ta sama niemoc wobec innego języka, ,,ich'' języka. To zdumienie, iż tandeta może być aż tak mocna i napastliwa. I natrętne podejrzenie, że jakość haseł, prawd, ideologii, programów, ich sens, ich prawdziwość, nie ma tutaj najmniejszego znaczenia, gdyż to służy do czegoś innego; do rzeczy jedynie ważnej — do skupienia ludzi, wytworzenia masy, siły masowej, siły stwarzającej. Ach! Być niczym więcej, jak tylko sobą, swoim ,,ja'' jedynie — jakież to piękne! Jasne, niedwuznaczne. Mocno stoi się na własnych nogach. Wiesz, co to rzeczywistość — twoja rzeczywistość. Jesteś z dala od bełkotu, wrzasku, upajania się, oszukiwania, deklamacji, terroru... Przeżyłem w okresie przedwojennym i wojennym zwycięstwo siły zbiorowej, oraz jej klęskę i rozprężenie, kiedy to znowu odrodziło się nieśmiertelne ,,ja''. Stopniowo osła-

bły we mnie tamte strachy — aż tu znowu, z Roby, zaleciało mnie tym samym diabelskim swędem!

Nie jest to sympatyczne odkrycie. Masz wrażenie, że jeszcze raz poczyna się wokół ciebie potworny spisek, aby cię schwycić i poddać ślepym siłom Zbiorowości i Historii. Słowa, pojęcia, wszystko uzyskuje wówczas inne znaczenie, moralność, nauka, rozum, logika, wszystko, wszystko staje się narzędziem jakieś innej, nadrzędnej idei, wszystko jest zamaskowane, wszystko pragnie cię zdobyć, posiąść. Jakaż to idea? Na próżno jej szukasz, nie istnieje, istnieje tylko sama Zbiorowość, nic więcej, skupienie ludzi, masa, stwór z masy powstały, masę wyrażający. Siedziałem przy piwie naprzeciw tego studenta, ujmująco młodego i tak bezbronnego, a tak niebezpiecznego. Patrzyłem na jego głowę i jego rękę. Jego głowa! Jego ręka!

Ręka gotowa zabić w imię dzieciństwa. Przedłużeniem bzdury, przez niego rojonej, był skrwawiony bagnet... Dziwna istota — o głowie zamroczonej i błahej, o ręce groźnej. Nasunęła mi się myśl, niezbyt wyraźna i niedomyślana, którą jednak pragnę tutaj zanotować... To brzmiałoby mniej więcej tak: jego głowa jest wypełniona chimerami, więc godna politowania; ale jego ręka ma dar przetwarzania chimer w rzeczywistość, jest zdolna do stwarzania faktów. Nierzeczywistość zatem od strony głowy, rzeczywistość od strony ręki... *i powaga od jednego końca...*

Może i wdzięczny mu jestem, ze mnie przywrócił dawnym niepokojom. Pewność siebie inteligenta, intelektualisty, artysty, która mi narasta z wiekiem, jak brzuch! To kiepskie! Pamiętać, że ci, co nie piszą atramentem piszą krwią.

Poniedziałek

Nie wiedzą, że jestem poniekąd specjalistą od ich głównego problemu — niedojrzałości — i że cała moja literatura jest w nim zadomowiona. Paradoksalne, że w Ameryce Południowej Borges, abstrakcyjny, egzotyczny, zupełnie nie związany z ich kłopotami, jest na świeczniku, a ja mam tylko garstkę czytelników. Paradoks, który przestaje nim być, gdy się zważy, że Borgesem mogą się popisać w Europie. Mną — nie, bo jestem Polak, nie jestem *valor nacional.*

To, że oni nie chcą być potulnymi uczniami obcych kultur, uważam za słuszne. A także zgadzam się, że mają własną rzeczywistość i że tylko opierając się na niej mogą stać się kimś w świecie... Ale, moim zdaniem, popełniają jeden błąd, dramatyczny...

Mianowicie, zamiast powiedzieć ,,ja'', mówią ,,my''. My, Amerykanie. My, Argentyńczycy. Otóż, gdy człowiek pojedynczy mówi ,,my'', popełnia nadużycie, nikt go do tego nie upoważnił, jemu wolno przemawiać tylko we własnym imieniu. A już ten, kto pragnie dojść do ,,swojej rzeczywistości'' i oprzeć się na niej,

powinien jak ognia unikać formy mnogiej. Co to jest „nasza rzeczywistość"? Ja mogę być pewny tylko „mojej rzeczywistości". Co to jest Ameryka, Amerykanie? Pojęcie, uogólnienie, abstrakcja. Co to jest „rzeczywistość amerykańska"? Coś, co każdy może rozumieć, jak chce.

Różnica pomiędzy nimi, a mną sprowadza się do tego, że oni chcieliby *naprzód* odkryć rzeczywistość amerykańską i wyzwolić Amerykę od zależności europejskiej, a dopiero w następstwie ma się wytworzyć nowy typ Amerykanina — dojrzałego. Ta nowa Ameryka, odkryta i zdefiniowana, stworzy swoich ludzi. A według mnie trzeba zacząć od człowieka, pojedynczego człowieka i więcej powiem: rozwój Ameryki może być tylko dziełem ludzi, którzy Amerykę w sobie przezwyciężyli.

Mówisz, że ta twoja Ameryka zacofana, niedojrzała? Dobrze. Ale w takim razie pierwszym twoim zadaniem byłoby wyzwolić się spod jej hamującego wpływu. Jako człowiek, jesteś równie dobry, co Anglik, czy Francuz. Jako Kubańczyk, czy Paragwajczyk, jesteś gorszy. Poczuj się tedy człowiekiem, umieść się powyżej tej Ameryki niedorozwiniętej, nie pozwól, żeby cię spętało środowisko i sposób myślenia amerykański. A jeśli myślisz, że postęp ekonomiczny, zwykła zmiana warunków materialnych życia może sama przez się wytworzyć ten nowy typ człowieka amerykańskiego?... Bóg z tobą! To jest idiotyzm. Dojrzałości nie wytwarza się mechanicznie, to sprawa wolności duchowej.

Tylko, że... im ta niedojrzałość właśnie narzuca słówko „my". Są w fazie stadowej, ta faza jest fazą południowej Ameryki i nie są w stanie z niej wybrnąć. „Ja" jest dla nich za dojrzałe, za swobodne. Oni są „my". Są Ameryką. A będąc Ameryką, jakże mogą ją ruszyć z miejsca? Ugrzęźli wraz z nią w historii. Amen.

Wiele z tego nadawałoby się do Polski i Polaków.

Wtorek

Na statku „General Artigas" w drodze do Montevideo. Noc. Burza. Ksiądz czyta gazetę. Dziecko płacze. Rozmowa kelnerów w kącie. Statek trzeszczy.

Melodia z czwartej symfonii Brahmsa, prześladująca mnie odkąd wyruszyłem z Buenos. Myślę o tematach Brahmsa i tematach Beethovena. Dziwne robi wrażenie Beethoven na tle tego stałego brahmsowego zagrożenia, że dzieło będzie niedość organiczne — tematyka Brahmsa, ostrożna i wyrachowana, jest przeniknięta troską o jednolitość kompozycji, widać jak ten architekt boi się, żeby budynek mu się nie zawalił. Ale Beethoven ładował w utwór śpiewy, które mu duch podsuwał — i z całą pewnością, że to co z ducha poczęte nie może urodzić się martwe. I to wdzieranie się tematu beethovenowskiego w utwór, jakby z zewnątrz, aby zaraz zapuścić weń korzenie, wydaje mi się jakieś

szczególne, szczególnie śmiałe, zdobywcze, gdy uprzytamniam sobie jak Brahms narasta stopniowo, ostrożnie sam z siebie i nigdy, aby tak się wyrazić, nie wychyla nosa poza siebie.

Jak łomocze wiatr płachtami na pokładzie! Znużenie. Dlaczego przypomina mi się teraz melodia zachwycająca, drugi temat z allegro trzeciego koncertu. Zachwycająca?

Czemu — chciałbym wiedzieć — w analizach muzycznych, w uczonym komentarzu, pomija się piękność i urok takich melodii? Nie ulega kwestii, że gdy jesteśmy jeszcze w fazie początkowej wsłuchiwania się w utwór takie przejmująco śpiewne wejścia orkiestry i fortepianu są tym czym być powinny: efektem dominującym, najważniejszym, najbardziej porywającym. A dopiero w miarę oswajania się z dziełem wyczerpuje się ich urok, inne, trudniejsze wartości przykuwają naszą uwagę. Oto czemu znawcy przemilczają swe pierwsze wrażenia. Czy jednak jest słuszne, aby utwór miał być oceniany uchem, które się zmęczyło i nie potrafi już doznać świętości pierwszych uniesień?

Światła mrugają. Przednia ściana salonu jeździ z dołu do góry i z góry w dół. Statek jest przewiany na wskroś i wiatr w nim gwiżdże. W ,,Pornografii'' usiłowałem powrócić do takich melodii... melodyjnych, porywających... przyciągających...

Nie tylko w ,,Pornografii''. A ,,Ferdydurke''? A inne moje rzeczy? Ale w ,,Pornografii'' zdobyłem się na odwagę, zrezygnowałem z humoru, który izoluje.

Kelner przynosi czarną kawę. Coś stuka o ścianę, jakby dobierając się do mojej głowy. Jakaż to bezczelność z mojej strony — uciekać się do tak porywająco-melodyjnych tematów! I to dziś, gdy nowoczesna muzyka boi się melodii, gdy kompozytor, zanim jej użyje, musi ją wytrzebić z atrakcji, uczynić suchą. Nieinaczej w literaturze — nowoczesny a szanujący się pisarz unika przynęt, jest trudny i woli odstręczać, niż kusić. A ja? Ja właśnie na odwrót, pakuję w tekst wszystkie smaczne smaki, wszystkie uroczne uroki, faszeruję podnieceniami i krasami, nie chcę pisania suchego, niezachwycającego... szukam melodii najchwytniejszych... aby dojść, jeśli się uda, do czegoś bardziej jeszcze ,,biorącego''...

Syrena. Wychodzę na pokład. Statek boleśnie jęczy, ciężko nurza się we wzburzeniu wytryskającym wokół pod kopułą księżycowej pełni, udręczony wodą. Boże! Co za ból! Co za rozpacz! W tym dążeniu moim, ciężkim, bolesnym, do odmłodzenia, odświeżenia mojej sztuki, nie cofnąłem się nawet, ach, wyznajmy... przed chłopcem z dziewczyną! O, wstyd! Któż w literaturze dzisiejszej jest bardziej odważny? Na taką zdobyłem się śmiałość! Rzeka-ocean ryczy. Ale, ale... wyznajmy i to na tym grzmiącym szlaku wodnym, zbielałym od złości, wyładowującym rozpacz pod księżycem cichym... ja, przeklęty, mogłem zbliżyć się do ich nagości tylko w stroju bardziej wyrafinowanym niż to, na co się zdobywa najnowocześniejsza awangarda, najsuchszy intelekt! Ja ich wziąłem w nawias!

W nawias wziąłem, nie mogłem inaczej wyśpiewać!

Środa

Przechadzka po mieście schludnym, o dziwacznych balkonach i ludziach pogodnych. Montevideo. Tu jeszcze króluje dawna przyzwoitość, wyświęcona z wielu innych obszarów południowej Ameryki.

Twarze życzliwe, ubrania dostatnie, plaża o 20 minut autobusem, żyć nie umierać! A gdybym się przeniósł tutaj na stałe?

Avenidy wybiegające na ocean-rzekę.

Świat napisany jest na dwa głosy. Młodość uzupełnia Pełnię Niepełnią — to jest jej genialne zadanie. O tym właśnie mowa w ,,Pornografii''.

Za jedno z kapitalnych moich zadań estetycznych i duchowych uważam: znaleźć podejście do młodości bardziej ostre i dramatyczne, niż to, które obecnie jest w użyciu. Pchnąć ją w dojrzałość! (tzn. ujawnić jej związki z dojrzałością).

Czwartek

Spokój? Niepokój! Trochę mnie niepokoi zupełny brak ,,dreszczu metafizycznego'' w urugwajskiej stolicy, gdzie żaden pies nigdy nikogo nie ugryzł.

,,Pornografia''. Ściąganie w dół dwóch starszych panów... w ciało, zmysły, nieletność... Kiedy to pisałem, czułem się niewyraźnie. Ale ,,fizyka'' była mi potrzebna, koniecznie nawet, jako przeciwwaga metafizyki. I na odwrót — metafizyka wołała o ciało. Nie wierzę w filozofię nieerotyczną. Nie ufam myśleniu, które wyzwala się z płci...

Trudno oczywiście wyobrazić sobie heglowską Logikę, lub Krytykę Czystego Rozumu bez wycofania się z ciała. Ale czysta świadomość musi być znowu zanurzona w ciele, w płci, w Erosie, artysta musi ponownie pogrążyć filozofa w uroku. Świadomość dyktuje nam przeświadczenie, że jest ostateczna i niemożliwa byłaby jej praca bez tej pewności — ale rezultaty tego jej działania mogą być przywrócone życiu, ujęte z innej pozycji, przez innego ducha, tutaj duch sztuki może się przydać duchowi myśliciela. A gdyby nawet istniała między nimi sprzeczność nieuleczalna — czyż nie jesteśmy chodzącą sprzecznością, czyż nie musimy żyć w rozdwojeniu, którym jesteśmy?

Swoisty absolut płci, absolut erotyczny. Ten świat rozdwojony popędu płciowego, który dzięki rozdwojeniu właśnie staje się samowystarczalny, absolutny! Jakiż inny absolut jest potrzebny tam, gdzie spojrzenie pożądającego utonęło w oczach pożądającej?

Słońce. Śniadanie z ministrem Mazurkiewiczem i z długoletnim konsulem honorowym w Montevideo, Józefem Makowskim, który pełni rolę amfitriona. Wspominamy czule Straszewicza i innych przyjaciół.

Piątek

Plucha i wieje ze wszystkich stron. Siedzimy w Tip Topie, Dipa i ja (Dipa, zwany także przez przyjaciół ,,Asno'') i popijamy kawę wgapiając się w brudne fale pod dżdżem. Zaglądam do gazety. Ach, wieczorem w Związku Pisarzy ma się odbyć odczyt przybyłego z Argentyny Dickmana, której to sesji przewodniczy znana mi z dawnych czasów poetka urugwajska, Paulina Medeiros. Pójdziemy — ja nietyle ze względu na Dickmana, ile żeby zobaczyć się z Pauliną.

Skończyło się dramatycznie (wszystkie zetknięcia moje z *escritores* tego kontynentu kończą się dramatycznie).

Zjawiamy się w połowie odczytu. Dickman opowiada o dwudziestu pięciu latach swojej pracy pisarskiej. Literaci urugwajscy — ani jednej ciekawszej twarzy — i w ogóle grzeczność, zdawkowość i nuda zawisły w powietrzu. Czuję, że widok gremium pisarskiego zaczyna — jak zawsze — działać na mnie podniecająco. Dotknięty jestem alergią na punkcie pisarzy w kupie, w ich aspekcie gremialnym, kiedy oglądam ,,kolegów'', jednego z drugim, robi mi się słabo. Ale, nie wiem czy będę jasny, wydźwięk słowa *escritor* (pisarz) w poł. Ameryce jest bodaj głupszy, niż gdzie indziej, ten fach pływa tutaj w jakimś specjalnym sosie pompatycznie fikcyjnym, górnolotnie serdecznym, jełkim i słodkawym. I ta śmieszność, parująca z *escritores* mnie rozśmiesza. Oklaski. Skończył.

Wstaje Paulina Medeiros i obwieszcza, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności Związek gości dzisiaj jeszcze jednego pisarza zagranicznego, Gombrowicza, którego witamy etc. — A teraz może pan Gombrowicz zechciałby nam coś powiedzieć?... Milczenie. Oczekiwanie. Przyznaję, że niezbyt właściwie się zachowałem. Zamiast wygłosić kilka słów uprzejmych, że pozdrawiam itd. mówię do Pauliny: — No, dobrze, Paulina, ale co ja właściwie napisałem? Jakie są tytuły?

Pytanie mordercze, gdyż w Ameryce nikt nic o mnie nie wie. Konsternacja. Czerwoność i bełkot Pauliny, zupełnie zbitej z tropu. Dickman przychodzi jej w sukurs: — Ja wiem, Gombrowicz wydał powieść w Buenos Aires, przekład z rumuńskiego, nie, z polskiego, Fitmurca... nie, Fidafurca... Ja z zimnym sadyzmem siedzę, nic nie mówię, ludzie z zażenowania zaczynają się ruszać, wstawać, w końcu prezes, czy też sekretarz, przynosi wielką księgę, gdzie Dickman wpisuje stosowny aforyzm, ja zamieszczam podpis — po czym przekazuję księgę Dipie, aby też podpisał. Co znowu wywołuje niepokój szanownego grona, bo Dipa jest w wieku poborowym i na literata jeszcze nie wygląda. Podpisuje się z rozmachem — ten podpis jest chyba najbardziej majestatyczny z całej księgi — a ja tłumaczę, że od czternastego roku życia zajmuje się pisaniem powieści i ma już cztery w swoim dorobku.

Paulina zabiera Dickmana i nas na kolację.

Dalszy ciąg nastąpi.

Sobota

Cocktail w Carrasco. Źle znoszę tę burżuazję komfortową, z *aire acondicionado*, z elektrycznym ogrzewaniem, z dwiema łazienkami dla służby i z widokiem na morze.

Dawid Michała Anioła, uświetniający plac przed magistratem. Nagła inwazja renesansu, wzruszająca — odczucie, jakieś skrótowe, bezliku rozkoszy zawartych w stylu w ogóle, w tym stylu w szczególności, tak szczęśliwie odnalezionym po wiekach! Rozmowa z Asnito (Dipa) na temat renesans — barok — Cézanne — sztuka konkretna. Zastanawia mnie wrodzona łatwość, z jaką ten młody piskorz pływa w skomplikowanych odmętach dzisiejszości.

List od pewnego literata.

„Jak pan wie, od czasu „Ferdydurki" żywo i stale interesowałem się twórczością pana. „Trans-Atlantyk" i „Ślub" stawiam bardzo wysoko (niedoceniony „Ślub" wydaje mi się pana tytułem do nieśmiertelności)".

„Przed kilku dniami ukończyłem lekturę „Pornografii". Anons „Kultury", nie wątpię że w uzgodnieniu z panem, mówi o metafizycznym sensie tej książki... Dotychczas zdawało mi się, że zawsze potrafiłem doczytać się znaczeń ukrytych pod powierzchnią utworów pana, ale w „Pornografii" po raz pierwszy nie potrafiłem takiego ukrytego sensu wyśledzić. Dlatego pozwalam sobie zwrócić się wprost do pana o pomoc, z prośbą o wskazanie, w czym należy szukać metafizycznego wątku „Pornografii".

Ależ owszem! Ten list bardzo mi na rękę. To mi pozwala jeszcze raz przypomnieć, kim jestem i jakie moje umieszczenie na mapie duchowo-artystycznej.

Odpowiadam:

„Nie miałem nic wspólnego z układaniem tego anonsu w „Kulturze", ale najchętniej powiem jakie, według mnie, są związki „Pornografii" z metafizyką".

„Spróbujmy to tak wyrazić: człowiek, jak wiadomo, dąży do absolutu, do Pełni. Do absolutnej prawdy, do Boga, do pełnej dojrzałości etc. Objąć wszystko, urzeczywistnić w całości proces rozwoju — taki jest ten imperatyw".

„Otóż w „Pornografii" (starym moim zwyczajem; bo już „Ferdydurke" gęsto tym nasycona) ujawnia się inny, chyba bardziej tajony i mniej legalny cel człowieka, jego potrzeba Niepełni... Niedoskonałości... Podrzędności... Młodości...".

„Jedna ze scen kluczowych utworu, to ta w kościele, gdy pod naciskiem świadomości Fryderyka załamuje się Msza, a wraz z nią Bóg-Absolut. Wtedy z ciemności i próżni kosmosu wyłania się nowe bóstwo, ziemskie, zmysłowe, nieletnie, złożone z dwojga istot niedorozwiniętych, tworzących świat zamknięty — bo wzajemnie siebie przyciągają".

„Inną sceną kluczową są narady, poprzedzające zamordowanie Siemiana — gdy Dorośli nie są w stanie popełnić morder-

stwa ponieważ zanadto dobrze wiedzą, czym ono jest, jaką ma wagę, i muszą tego dokonać rękami nieletnich. To morderstwo musi więc zostać strącone w sferę lekkości, nieodpowiedzialnośc — tam dopiero staje się możliwe".

,,Przecież ja nie od dzisiaj o tym piszę, w całej mojej pro dukcji te idee są dominujące. I w dzienniku o tym mowa, np zwierzenia na str. 196 i nast. polskiego wydania paryskiego ,,Młodość ukazała mi się jako najwyższa i absolutna wartość życia... Ale ta ,,wartość" miała jedną cechę, wymyśloną chyb przez samego diabła — będąc młodością, była czymś poniże wartości".

,,Te ostatnie słowa (,,poniżej wartości") tłumaczą dlaczego mimo tak ostrego przeciwstawienia życia świadomości, nie wy lądowałem w żadnym ze współczesnych egzystencjalizmów. Ni przeciwstawiam jednych wartości — innym, moja antynomia t z jednej strony Wartość, a z drugiej Niedo-wartość... Niedos tateczność... Niedorozwój... To jest, jak myślę, we mnie naj ważniejsze, najbardziej osobiste i odrębne. Niepowaga jest dl mnie równie potrzebna człowiekowi, co powaga. Jeśli filozo mówi, że ,,człowiek chce być Bogiem", to jabym to uzupełnił ,,człowiek chce być młody".

,,I według mnie jednym z narzędzi tej dialektyki Pełnia Niepełnia, Wartość-Niedowartość, są rozmaite okresy wiek ludzkiego. Dlatego tak niezmierną i dramatyczną rolę przyznaj wiekowi wstępnemu — młodości. I dlatego mój świat jest zde gradowany: to tak jakby pan złapał Ducha za kark i zanurzy go w lekkość, w niższość...".

,,Naturalnie ja w ,,Pornografii" nie tyle rozglądam się z tezami filozoficznymi, ile pragnę wydobyć artystyczne i psycho logiczne możliwości tematu. Szukam pewnych ,,piękności" ta kiemu konfliktowi odpowiadających. Czy ,,Pornografia" jes metafizyczna? Metafizyka, to znaczy ,,pozafizyczność", ,,poza cielesność", a moją intencją było poprzez ciało dotrzeć do naj bardziej zasadniczych antynomii ducha".

,,Ten utwór jest chyba bardzo trudny, choć ma pozór zwy kłej ,,powieści" i nawet dość nieprzyzwoitej... Czy ci, co twier dzą, że to najlepsza moja książka, wiedzą o niej więcej i lepie od tych, co się krzywią? Czekam z niecierpliwością na jej uka zanie się po francusku, niemiecku i włosku — to wydania ju się powoli robią — mam nadzieję, że na obcym terenie znajd więcej odbiorców, szukających, jak pan, jej prawdziwego sensu"

,,Niech pan mi wierzy, bardzo cenię sobie ten dowód zain teresowania, a także lojalności".

Niedziela

Malvin, dalsze plaże za Carrasco, rewelacja oceaniczna, na gła sól, zieloność fali, zdumienie, podziw, żal — zaprzepaszcze nie, za mną, olbrzymiej rzeki, jej zagłada w rozpluskanej, słone, zielonej nieskończoności, której szept niczego nie wyraża.

A może bardziej jestem sprzęgnięty z narodem, niż mi się daje? Znów to podejrzenie. A jeśli ,,Pornografia'' jest próbą odnowienia polskiego erotyzmu?

Próbą odnalezienia erotyzmu, który by bardziej odpowiadał naszemu losowi — i naszej historii z lat ostatnich, złożonej z gwałtów, niewolnictwa, poniżenia, walk szczenięcych, będącej wstąpieniem w ciemną krańcowość świadomości i ciała? A może ,,Pornografia'' to polski, nowoczesny, erotyczny, poemat narodowy?

Raczej niespodziewana i dziwna idea — ani przez sekundę nie zamarzyła mi się podczas pisania. Dopiero teraz. Ja nie piszę dla narodu, ani narodem, ani z narodu. Piszę sobą, z siebie. Ale czy mój gąszcz nie łączy się kryjomo z gąszczem narodu?

Ja, Amerykanin, ja, Argentyńczyk, kroczący wybrzeżem Oceanu Atlantyckiego. Jestem jeszcze Polakiem... tak... ale już tylko z młodości, z dzieciństwa, z sił okropnych, które mnie wtedy urabiały, ciężarnych tym co miało nastąpić... Tam, za Mal[illegible]inem, dumne wyniosłości gruntu, wyczarowane zachodzącym słońcem, jak najszlachetniejsza filozofia i najwspanialsza poezja. W dół! W dół! Degradacja! Ja jestem własną swoją degradacją! Jak nieubłaganie człowiek musi strącać siebie ze szczytów — kazić swoją szlachetność — gwałcić swoją prawdę — niszczyć swoją godność — aby duch indywidualny jeszcze raz zaznał niewolnictwa, poddał się stadu, gatunkowi...

Witold GOMBROWICZ

Granice mego świata

„Die Grenzen meiner Sprache bedeuten die Grenzen meiner Welt".
„The frontiers of my laguage mark the frontiers of my world".

(Ludwig Wittgenstein: *Tractatus logico-philosophicus*).

Na początku było słowo

Nigdy nie będziemy wiedzieli jak powstała mowa, tak jak nigdy nie będziemy znali pierwszego człowieka, ale jeśli puścić wodze fantazji (poetyckiej, nie naukowej) problem który się mieści w tym zdaniu można wyrazić obrazem. Obrazem pół człowieka pół zwierzęcia, który (czy które) nagle zrozumiał, że okrzyk towarzysza oznacza: „Uwaga! Niebezpieczeństwo" i, który dzięki temu na czas uskoczył przed padającym drzewem. Słowo „niebezpieczeństwo" jest symbolem niebezpieczeństwa. Jeśli nasz pierwotny człowiek zrozumiał, że okrzyk nie jest niebezpieczeństwem, nie jest padającym drzewem, lecz tylko symbolem ostrzeżenia, to następnym razem może zrozumiał, że okrzyk ostrzega go przed tygrysem, lub przed maczugą wroga, lub przed skorpionem, lub przed... zazdrosną żoną. Tak powstało pierwsze słowo. „Niebezpieczeństwo", „danger", „Gefahr", „pericolo"!

Możemy sobie jednak także wyobrazić, że pierwsze słowo powstało jak u dziecka. Niemowlę nie mówi (ta tautologia jest świadoma, panie korektorze), ale niemowlę od chwili przyjścia na świat umie używać głosu. Krzyczy, płacze, grucha, mamrocze, szemrze, papla, szczebiocze. Przyjmuje głosy świata i naśladuje głosy świata. Nieświadomie, półświadomie wreszcie świadomie. Nieświadomie grucha, krzyczy, mamrocze. Półświadomie płacze z bólu, głodu, niewygody, powtarzając odgłosy które przyniosły raz

w cudowny sposób ulgę kołysania, matczynej pieszczoty, pokarmu. Aż nagle, — ,,ma-ma-ma-ma-ma'' — nieświadoma paplanina zaświtała świadomością, że ,,ma-ma'' nie tylko przynosi w tajemniczy sposób ulgę,ale że nierozłącznie kojarzy się z jedną twarzą. Twarzą osoby, której na imię jest mama. Odgłos ,,ma-ma'' staje się pierwszym symbolem rozumienia, pierwszym słowem dziecka. Podobnie przemówił może ,,pierwszy'' człowiek po tysiącleciach niemowlęctwa. Może po dziesiątkach lub setkach tysięcy lat pół zwierzęcego stanu, w którym głos i dar paplaniny naśladującej odgłosy świata pozwalał mu okrzykiem dodawać sobie odwagi lub śpiewem wyrażać rozkosz życia. Nie nagle, ale po tysięcznych próbach, po niezliczonych i przemijających przebłyskach świadomości niejednego pół człowieka, gdzieś, kiedyś, ludzie — ludzie, nie jeden człowiek! — zaczęli mówić.

Ludzie, nie jeden człowiek! Mowa ma bowiem jeszcze inne podłoże. Nie tylko anatomia predestynowała do niej człowieka. Mowa mogła powstać, jak u dziecka, tylko jako oddźwięk zewnętrznej, *ludzkiej pobudki*. Dzieci które wychowały się w samotności nie umieją mówić. Znane są wypadki autentycznych Mowglich, dzikich dzieci wychowanych w puszczy. Żadne z nich nie umiało mówić: ani Piotr, znaleziony na polach pod Hannoverem w 1723; ani Wiktor, znany także jako ,,Dzikus z Averonu'', którego pojmano w południowej Francji w 1799; ani dwie dziewczynki, Amala i Kamala, znalezione w pobliżu Midnapur w Indiach nie dawniej jak w 1920. Pół człowiek, brakujące ogniwo ewolucji, także potrzebował jakiejś zewnętrznej pobudki zanim przemówił. Sam dar paplaniny nie wystarczał. Papugi także mówią, ale mowa papuzia nic nie znaczy. Mowa mogła powstać tylko w gatunku, który miał jakieś podstawy symbolicznego myślenia. Jakiś obrządek wyrażający się wspólną akcją. Może tańcem, może chórem, może wspólnym wyciem do księżyca. Dopiero symbioza dźwięku i symbolu w istocie, która umiała nadawać kształt dźwiękom i tworzyć symbole, mogła zrodzić mowę. I jak u dziecka, stworzyła ją szybko.

Pierwsze słowo było mozolne i powolne. Następne mnożyły się progresją geometryczną. Jedno słowo wiodło do dziesięciu. Naprzód może symbole rzeczy: drzewo, kamień, niedźwiedź, maczuga, woda, jaskinia. Potem może symbole akcji: pada, leży, rzuca, uderza, płynie, śpi. Wreszcie połączenie symboli: kamień wpada do wody; maczuga uderza niedźwiedzia śpiącego w jaskini; kamień leżący pod drzewem rzucam w niedźwiedzia płynącego wodą. Zdania wymagają słów pomocniczych, więc człowiek, który nauczył się myśleć symbolicznymi dźwiękami, stwarza symbole powiązań. Słowa pomocnicze, gramatykę, składnię. Progresja geometryczna postępu języka tłumaczy dlaczego współcześnie nie znamy prymitywnych języków mimo, że znamy prymitywnych ludzi. Antropologia zna pierwotne szczepy i kultury, zna ludzi żyjących współcześnie na poziomie jaskiniowców, ale nie zna prymitywnego języka. Język pierwotnych mieszkańców Australii, języki dzikusów z wysp Trobriandzkich,

języki eskimoskie, — wszystkie są arcydziełem złożoności. Stanisław Westfal, mówiąc o tzw. liczbie podwójnej (1), pisze: „Prawdziwe to błogosławieństwo Boże, że żaden język nie zna liczby poczwórnej, popiętnej... bo takiej mnogości form żadna pamięć ludzka by nie uniosła...", ale przyznaje w odsyłaczu, że zawiłość liczby potrójnej występuje w narzeczach pierwotnych mieszkańców Australii. Język eskimosów jest równie zawiły jak polski, angielski czy francuski choć jego semantyka kładzie nacisk na odmienne sprawy. Eskimoski zna nieskończoną zawiłość określeń na sprawy związane z rybołówstwem, podobnie, jak angielski epatuje zawiłością słownictwa inżynierskiego lub arabski, który ma podobne 1.000 wyrażeń na opisanie wielbłąda i jego ekwipunku. A słowa i ich powiązania są tylko częścią obrazu. Intonacja, gesty, mimika, składnia, gramatyka, nawet niedopowiedzenia dodają dalszą nieskończoność do tej i tak już niewymiernej zawiłości.

Nigdy nie będziemy wiedzieli jak powstała mowa, ale wiemy, że musiała powstać, że gdzieś, kiedyś, jakoś, człowiek przemówił po raz pierwszy do człowieka. To wynika z teorii ewolucji. I nie jest to jedyną rzeczą którą wiemy „na pewno". („Na pewno" w cudzysłowie, bo prawdy naukowe nie są wieczne lecz tylko tak długo prawdziwe jak długo są urodzajne). Wiemy np., że współczesny angielski i niemiecki pochodzą z zachodnio-germańskiego, który już dawno nie istnieje; że dzisiejszy duński, szwedzki, norweski i islandzki wywodzą się z martwego północno-germańskiego; że francuski, włoski, hiszpański, portugalski zrodziły się z łaciny. Zachodnio-germański i północno-germański wyrastają wspólnie z proto-germańskiego a łacina z italskiego. Italski i proto-germański mają wspólny pień języka indo-europejskiego z którego wyrastają także języki wschodnie: indo-irańskie i bałtycko-słowiańskie. I choć nie wiemy nawet kim byli i kiedy żyli owi mityczni Indo-Europejczycy, choć nie mamy pisanych dowodów ich języka,możemy porównując etymologicznie języki współczesne, wyszukując wspólne słowa, umiejscowić ich gdzieś w Europie Środkowej i możemy ustalić niektóre fakty ich życia. Jak blisko lingwistyka podeszła do scjentyfiki i jej metod świadczy, że używa się jej dzisiaj do datowania przeszłości na równi z fluorometrią, węglem 14 itp. Wiemy, że słownictwo codziennego życia zmienia się stale i regularnie. „Odsetek wspólnych codziennych słów zachowanych w pokrewnych językach pozwala więc na obliczenie kiedy społeczeństwo mówiące jednym językiem rozpadło się na dwa lub więcej. Można to obliczyć biorąc paręset podstawowych słów (jak liczby, ojciec, matka, woda, serce, dzień, noc, długi, krótki itd.) i porównując ilość słów fonetycznie podobnych w obu językach. 66 % tych podstawowych słów powinno być wyraźnie podobnych jeśli te języki były wspólnym językiem 1.000 lat przedtem. Ta technika nazywa się glotochronologią lub datowaniem lexyko-statystycz-

(1) Stanisław Westfal: *Rzecz o Polszczyźnie* (Veritas, London, 1956).

nym i dowodzi np., że eskimoski i aleutski były jednym językiem około 2.900 lat temu...". (Clyde Kluckhohn).

Z faktu, że języki się zmieniały, że stare umierały, a nowe się rodziły, nie wynika jednak, że ewolucja języków będzie trwała wiecznie. Jest nawet możliwe, że techniczne zorganizowanie współczesne zatrzyma dalsze przemiany językowe i utrwali parę współczesnych nad-języków jak angielski, rosyjski lub chiński. Ten wniosek jest zresztą równoległy z teoriami które przewidują, że dalsza fizyczna ewolucja człowieka jest także zahamowana.

,,Prawda" mowy jest mglista

Kalejdoskop słów, jak Mleczna Droga, rozbita w miliony gwazd, ogarnia nasze wczoraj, nasze dziś i nasze jutro wzorem którego symetria (lub logika — jak wolicie!) wyrasta z chaosu słów. Wydaje się nam, że mówimy aby się porozumiewać, ale porozumienie nie wymaga tak wielkiej zawiłości mowy. Paręset słów starczyłoby także na potrzeby przetrwania. Reszta, cała przeogromna reszta naszego słownictwa nie jest potrzebna do życia. Dziesiątki tysięcy słów każdego języka, pomnożone przez możliwe powiązania każdego słowa z każdym innym słowem, stworzyło narzędzie tak przerastające potrzeby ludzkości, że gubimy się w tej zawiłości, że nie rozumiemy setnej części tego co mówimy, że stosujemy mowę do spraw, do których nie ma zastosowania, że nadużywamy ją dla celów niewspółmiernych, nieraz niegodnych tego narzędzia tak wszechstronnego i tak doskonałego, że najzawilsze komputory elektroniczne są w porównaniu zabawką dziecięcą.

Człowiek posiadł nadludzkie narzędzie, które pozwala myśleć o sprawach których istnienia nie możemy doświadczyć. Zbierając myśli i przekazując je od człowieka do człowieka i od pokolenia do pokolenia, mowa umożliwia postęp i zapewnia nieśmiertelność. Ale chemia naszych mózgów i fizjologia naszego ciała, albo — kto wie?! — mutacja naszych genów i normalny tok ewolucji, nie dotrzymały kroku rozwojowi mowy. Mowa umie wyrażać więcej niż pojedyńczy człowiek może pojąć. Większość ludzi nie rozumie ani Platona, ani Szekspira, ani Tołstoja, a ci którzy ,,rozumieją", rozumieją ich rozmaicie. A Platon, Szekspir i Tołstoj zawdzięczają chyba także więcej natchnieniu, iskrze Bożej, intuicji, niż świadomie uszeregowanej logice słów. Poszczególne słowa znaczą tak wiele a składnia i sztuka literacka nadają każdemu zdaniu tyle odcieni, że ,,prawda" mowy jest zawsze mglista, niewyraźna, działająca na uczucia, na atawizmy, na przesądy, na widzimisię. Nie znaczy to, że nie ma możliwości obiektywnego porozumienia między ludźmi. Na poziomie codziennych potrzeb porozumienie niewątpliwie istnieje. ,,Jestem głodny" jest wystarczającym argumentem dla dobrej matki aby natychmiast gotowała obiad. ,,Stracił posadę" oznacza niedwu-

znacznie, że następna tygodniówka będzie musiała przyjść z innego źródła. Ale ,,jestem głodny'' może wyrażać całą gamę głodu, od beznadziejności głodujących mas Indii, przez stylizowany ,,Głód'' Hamsuna, aż po zdrowy apetyt 15-toletniego chłopca, a ,,stracił posadę'' może oznaczać i ,,szkoda go'' i ,,najwyższy czas'' i dziesiątkę innych komentarzy. Normalnie wiemy jednak dobrze o co chodzi, bo doświadczenie nauczyło nas rzutować stenografię mowy na płaszczyznę rozumienia. Jesteśmy uwarunkowani do rozumienia symboli życia codziennego wyrażanych mową. Wiemy patrząc na mówiącego czy jest głodny z nędzy czy z gimnastyki i umiemy zgadnąć dlaczego stracił posadę. Trudność zaczyna się dopiero gdy opuszczamy znajomą codzienność rzeczy i spraw i wkraczamy w dziedzinę abstrakcji. Słowa zaczynają się ustokrotniać. Demokracja jest czymś innym dla Rosjan i czymś innym dla Amerykanów a miłość jest czymś innym dla każdego. Słowa uwite w zdania ozdobione figurą literacką lub zbanalizowanym frazesem wywołują w mózgu reakcje równie trudne jak nieprzewidzialne. Co jeden człowiek mówi nie jest równoznaczne z tym co drugi człowiek rozumie. Słowa są wieloznaczne bo umysły ludzkie są kształcone rozmaitymi otoczeniami, doświadczeniem, genami. Wiemy z doświadczenia, że jeśli chcemy być rozumieni musimy się powtarzać. Musimy parokrotnie różnymi słowami wyrażać tę samą myśl. Musimy ją opisać. I tu zachodzi nowa trudność. Myślimy głównie mową, ale mowa ze swej strony kieruje naszymi myślami. Nasze słownictwo jest z natury rzeczy ograniczone. Język, — każdy język — ma wielokrotnie więcej słów niż jednostka potrafi zapamiętać. Używamy więc takich słów, zwrotów, intonacji jakie znamy, a znamy takie jakie dzieciństwo i społeczeństwo w którym żyjemy nas nauczyły. Ludzie wychowani w odmiennym otoczeniu inaczej wyrażają a zatem inaczej rozumieją tę samą myśl. Każda rodzina ma ulubione i wspólne powiedzonka, tak znamienne jak usterki każdej maszyny do pisania. Każdy zawód nadaje akcent słownictwu jednostki. Lekarza, inżyniera, wojskowego, rolnika, kupca, nawet złodzieja łatwo poznać po mowie (2). Podobnie gwara szkolna, uniwersytecka, sportowa zostawiają niezatarty ślad. Osławiona angielska debata ,,*U and non-U*'' wyraża tę samą myśl a dialekty regionalne są jeszcze innym przykładem tego poszufladkowania. Nasze doświadczenie emigracyjne z obcymi naleciałościami nie zawsze i nie koniecznie jest dowodem niechlujności językowej. Często jest koniecznością nie do zastąpienia. Pisać np. dla laików emigracyjnych o promieniotwórczości, energii jądrowej, ciążeniu, sprzężeniu zwrotnym, liczydle elektronowym itp. automatycznie zwęża krąg zrozumiałości, bo scjentyfika dochodzi do nich w innych

(2) C.P. Snow zwraca uwagę na ciekawą mutację znaczeń w języku angielskich scjentystów. *Subjective* (subiektywny) używają w znaczeniu *divided according to subjects; objective* (obiektywny) jako *directed towards an object; philosophy* jako ogólne podejście np. *philosophy of guided weapons* itd.

językach, które nie znają tych źródłosłowów. W tych warunkach radioaktywność, energia nuklearna, grawitacja, *feed-back*, komputory elektronowe etc. są lepiej zrozumiałe a zatem bardziej poprawne, cokolwiek o tym bzdurzą zakute, purystyczne pały. Makaronizm emigracyjny — w scjentyfice i poza nią — jest faktem językowym, którego nie zmienią najbardziej przemyślne egzorcyzmy, bo ludzie nie mówią aby mówić poprawnie, lecz aby się porozumiewać.

Język — mowa danego społeczeństwa — nie jest rzeczą stałą i niezmienną. Czas kształtuje jego postać i rysuje jego wzory. Każdy język jest współżyciem przeszłości i teraźniejszości, i podobnie jak solera hiszpańskiego sherry zawiera bodaj kroplę każdego wina, które kiedykolwiek w beczce się starzało, tak język gra atawizmem całej swej przeszłości. Gdy więc wyrażamy myśl w jakimkolwiek języku, mimo woli kształtujemy ją we wzór jaki przekazała nam tradycja tego języka. Słowa ,,ojczyzna'', ,,wolność'' ,,patriotyzm'' mają zupełnie inne znaczenie — sentymentalne i rzeczowe — dla Polaka, Anglika, Szweda, Kanadyjczyka i miały inne znaczenie dla Polaków ery Jagiellońskiej, ery Sienkiewicza i ery Gomułki. Słowo ,,czas'' rozumiemy do dziś dnia jako coś co płynie niezmiennie w jednym kierunku a słowo ,,przestrzeń'' jako coś nieskończonego, mimo, że od pół wieku jest to sprzeczne z teoriami scjentyficznymi. Teorie muszą się jednak uleżeć zanim przejdą we wzorzec języka. Większość pojęć scjentyfiki łatwiej wyrazić i łatwiej zrozumieć matematyką, której symbolika nie jest skalana życiowymi przesądami. Dlatego tak trudno popularyzować scjentyfikę dla ludzi którzy w życiu codziennym posługują się językiem przesiąkniętym przeszłością. Jeszcze trudniejsza jest — w podobnym znaczeniu — popularyzacja nauk o człowieku. Scjentyfikę można wyrazić matematyką, nauki o człowieku nie zawsze mają tę korzyść. Historia, ekonomia, socjologia, psychologia, antropologia, muszą, gdy podejmują jakiekolwiek badania, badać słowami. Słowami ułomnymi u źródła — w języku, jego składni i gramatyce — i słowami paczonymi u ujścia — w umysłach słuchaczy i czytelników. Każda nauka humanistyczna cierpi więc na nieuniknioną dozę nieścisłości. Mniej lub bardziej dużą, zależnie od talentu pisarskiego uczonego. A wiemy, że uczeni humaniści zbyt często zawodzą jako pisarze.

Porozumienia i nieporozumienia

Język nie jest tylko narzędziem porozumienia i myślenia, lecz ma jeszcze inną rolę. W pewnym zawiłym sensie, ważniejszą. Język tworzy społeczeństwa i kultury. Wspólny język jest potężnym wiązadłem. Każda rodzina ma swe prywatne, intymne powiedzonka, słowa lub imiona które dziwią lub rażą gdy obcy je wymawia.

„W istocie w tym mieszkaniu dziwne było życie:
W ceratowej kanapie czarnego koloru
Mieszkał chciwy — Kanapon, a zaś po suficie
Biegał mały pan Pimper, zręcznie się przemykał,
Lecz gdym oczy podnosił, to natychmiast znikał...

„Kanapon kradł przedmioty, zwłaszcza scyzoryki,
I chował je w kanapę albo w foteliki.

Bracia Polatkiewicze w przedpokoju stali.
Siedmiu różnej wielkości, każdy z czarnym wąsm.
Ojciec z nimi rozmawiał — nie odpowiadali.
Matka o tych rozmowach mówiła z przekąsem.
Gdym brał udział w dyskusjach z Polatkiewiczami —
„Zwariowali" — krzyczała i trzaskała drzwiami.

(Antoni Słonimski)

Gwara szkolna, żargon zawodowy, regionalizmy, mają nie tylko odrębne, charakterystyczne słownictwo, lecz także całą gamę gestów, akcentów, mimiki, które podkreślają wspólnotę społeczną grupy i które choć często nie mają nieodzownej wartości porozumiewawczej, grają ważną rolę w kształtowaniu życia społecznego.

Podobnie ważną rolę spełnia rozmowa towarzyska (którą język angielski o tyle trafniej nazywa „small talk"). Zwyczaj, który każe mówić, pozornie bez celu, banalne i nic nie znaczące głupstewka o pogodzie, o meczu footbalowym, o operacji sprzed czterech lat, o modzie, o polityce (typu „Chińczycy trzymają się mocno"), ale który, jak europejska kawiarnia, stwarza nieuchwytny klimat wspólnoty tak konieczny dla równowagi duchowej.

Język jest ważny jako archiwum przekazujące przeszłość przyszłości. Nie tylko w dokumentach historycznych czy w literaturze, ale także w przysłowiach i przypowieściach, w rymach dziecięcych, w baśniach i legendzie, w zwrotach i formułkach grzecznościowych.

Istnieje jednak także druga strona tego medalu. Antropologia widzi bardzo ścisłą różnicę rasową, kulturalną i językową między rozmaitymi grupami etnicznymi. Rasa, kultura i język nie muszą grać unisono. Amerykanie są tego najlepszym przykładem. Ich rasa, kultura i język wywodzą się z różnych źródeł i przypisywanie Amerykanom identyczności rasowej czy kulturalnej z Anglikami, dlatego, że mówią tym samym językiem, jest oczywiście groteskowe. Podobnie powinowactwa kulturalne czy rasowe Francuzów z Kanadyjczykami Quebec'u, Hiszpanów z mieszkańcami Argentyny, Portugalczyków z mieszkańcami Brazylii, Arabów z Marokka z Arabami Egiptu, Libanu czy Iraku, nie wynikają z wspólnego języka. Niestety współczesna obsesja

nacjonalistyczna stapia te różne i odrębne cechy grupowe w monolit ,,narodowościowy'', a wiemy jak trudno dyskutować logiką z fanatykami nacjonalizmów. Jedność ,,rasowa'' czy ,,kulturalna'' uzasadniana jest wspólnotą językową więc wspólny język staje się ogniwem łączącym naród w jakąś mistyczną (i mityczną) całość, której przeszłość wydaje się równie ,,czysta'' (i biała) jak przyszłość różowa.

Innym przykładem podobnego zboczenia jest fanatyzm purystów językowych, którzy zaprzeczając oczywistym faktom nie uznają językowych nowotworów i plenią gorliwie obce naleciałości zapominając o tym, że języki nie są z jednej bryły. Każdy język wywodzi się z innego lub innych i nawet w *historycznych* czasach (*dziejowych* brzmi ,,czyściej'', ale gorzej) doświadczył tyle przeobrażeń i tak wiele zapożyczył, że każdy doświadczony etymolog-lingwista znajdzie w nim pokaźną domieszkę obcości. ,,Rzecz o Polszczyźnie'' Stanisława Westfala poświęca ,,obcym słowom'' jedną trzecią swej treści, i dobitnie podkreśla, że zapożyczenia językowe są wynikiem zderzeń kulturalnych, a więc sprawą naturalną. Walka z nimi jest donkiszoterią równie naiwną jak bezcelową.

Podobieństwo rodzinne

Sprawy języka wydają się tak znajome, że aż banalne. Ich prostota jest jednak pozorna. Wszyscy ludzie mówią, więc wszystkim wydaje się, że rozumią co inni mówią. Nieporozumienie jest wynikiem tego co Wittgenstein nazywa ,,Familienähnlichkeiten''. Każde słowo ma rozmaite funkcje, używa się je w rozmaitych zwrotach i dla rozmaitych celów. Funkcje, zwroty i cele nadają słowu charakterystyczne znamię, które odróżnia je od tego samego słowa użytego inaczej. Podobieństwo jakie widzimy jest może nawet istotne, ale jest jak podobieństwo rodzinne ,,zachodzące za siebie, krzyżujące się: czasem podobieństwo ogólne, czasem podobieństwo w szczególe''. Podobieństwo rodzinne zawiera zawsze także różnice, ale różnica nie jest sprawą charakterystyczną. ,,Przędąc nić zawijamy włókno na włókno, ale siła nici nie polega na tym, że jedno włókno biegnie przez całą nić, lecz że wiele włókien zachodzi na siebie''.

Wittgenstein pozostawił po sobie dwie książki, ale swą reputację filozoficzną ugruntował właściwie wykładami w Cambridge. G.E. Moore, starszy wiekiem i rangą, mówił o nim: ,,Zmusił mnie do rozumienia, że czego trzeba dla rozwiązania problemów filozoficznych, które mnie niepokoją jest metoda zupełnie odmienna od tych, które używałem, metoda którą on sam bardzo skutecznie stosuje, ale której nie umiałem nigdy dość jasno zrozumieć aby ją samemu używać''. (Cytowane według Morton White'a: The Age of Analysis). Gdy czytamy Witt-

gensteina wydaje się, że rozumiemy Moore'a... choć nie zawsze rozumiemy Wittgensteina. Analizując poszczególne słowa czy zwroty prześlizguje się niemal niepostrzeżenie w sprawy na pozór zupełnie odrębne, które jednak po chwili wydają się znajome, niemal pokrewne, aby w końcu po wielu zawrotach i dygresjach zostawić czytelnika pod wrażeniem, że rozumie doskonale o co autorowi chodzi, ale... nie umie powtórzyć argumentu. Taka metoda drażni w książce, gdzie możemy wracać do stron poprzednich i konfrontować poszczególne zdania, ale fascynuje słuchaczy wykładów. I fascynuje słusznie! Jak można bowiem inaczej dyskutować o sprawach mowy i języka. Zrodzone w pra-historii ze związku biologii i symbolicznego myślenia, kształtowane atawizmem całej przeszłości ludzkiego gatunku, niepokojone wszystkimi kompleksami jednostki, mowa i język wyrażają coś tak nieuchwytnego, że jest cudem, że się ludzie nawzajem rozumieją a nie, że się nie rozumieją. Porozumienie w życiu codziennym jest łatwe. ,,Jestem głodny'' domaga się pożywienia ale nie wymaga precyzji, ,,czerwona suknia'' jest kwestią gustu i wyboru ale nikt nie oczekuje definicji czerwoności. Podobnie opis wszystkich rzeczy i spraw z którymi spotykamy się w życiu. Znamy je z doświadczenia więc wystarcza szablon słowny aby rozumieć o co chodzi, tym bardziej, że pożytek tych spraw nie zależy od ich precyzji. Inaczej w filozofii i naukach. Tu rozmaitość znaczeń poszczególnych słów i zwrotów i rozmaitość reakcji każdego człowieka na te słowa i zwroty wymaga precyzji której sam język dać nie może. Wymaga jakiejś magii albo matematyki. Bertrand Russell poszedł drogą matematyki, Wittgenstein wybrał drogę magii. Paradoksalne, gdy się wie, że rozpoczął swą karierę jako wojujący logiczny pozytywista. ,,Magia'' jest złym słowem, sugeruje szarlatanerię, której u Wittgensteina nie ma, ale użyłem tego kiepskiego słowa celowo aby raz jeszcze podkreślić nieuchwytną trudność precyzji językowej. ,,Magia'' wykładów Wittgensteina jest wyrazem humanizmu. Matematyka Russella (i nowoczesnej logiki) jest wypadem filozofii w scjentyfikę. Obie metody są scjentyficznie popłatne. Współczesna fizyka, chemia, astronomia bardzo wiele zawdzięczają logicznemu pozytywizmowi, ale scjentyficzne podejście do spraw społecznych, do polityki, etyki, estetyki, — gdzie musimy argumentować słowami języka — domaga się raczej metody Wittgensteina.

Jeszcze jedno. Metoda Wittgensteina wygląda często jak bardzo uproszczona popularyzacja spraw znajomych i prostych. To jest zrozumiałe! Jesteśmy tak ostrzaskani z wyrażeniami mowy codziennej, że każda próba analizy wydaje się banalna. Powtarzanie w kółko truizmu, że słowa są wieloznaczne, jest nudne. ,,A czy znacie? Znamy, znamy! No, to posłuchajcie!'' Bronimy się kompleksami, które wyrosły z języka przeciw zarzutom, że nie rozumiemy tego co mówimy. Stąd żywiołowa donkiszoteria purystów zwalczających ,,zanieczyszczenia językowe'', stąd kurczowe przywiązanie do wytartych liczmanów typu

„ojczyzna, nauka, cnota", stąd egzaltacja wzniosłości i zawstydzone zażenowanie gdy mowa o sprawach trywialnych.

Najłatwiej byłoby wytłumaczyć to przykładami, ale obawiam się, że *highbrow* czytelnicy „Kultury" — pożeracze wzniosłości — przyjęliby przykłady niechętnie. Są zbyt pospolite, codzienne, łatwo zrozumiałe, banalne.

Posłowie

Podstawą każdego problemu jest człowiek. Bez człowieka nie byłoby problemów. Świat jest tym, czym zrobiła go ludzka myśl. Dla innych istot myślących — jeśli takie żyją we wszechświecie — świat i problemy świata także istnieją, ale istnieją na ich własne podobieństwo i kształt tak jak problemy ziemskie istnieją na kształt i podobieństwo człowieka. Ten antropomorfizm nie jest naskórny. Nie jest uproszczeniem zewnętrznego podobieństwa. Myśl ludzka — czymkolwiek jest to zjawisko jak dotąd nierozumiane — działa na skutek pewnych praw fizycznych, chemicznych i pewnie jeszcze innych, więc myśl posłuszna tym prawom musi mieć takie ograniczenia jakie tymi prawami rządzą. Jak w pryzmacie sprawy świata przełamują się w ludzkiej myśli. Myśli zależnej od chemii i fizyki naszego ciała.

Myśli rozmaitych ludzi zależą jednak także od wykształcenia, otoczenia i języka. Dlatego wyobrażamy sobie, że znamy „prawdę" która jest w istocie tylko sumą wiedzy ludzkiej w danym okresie. „Prawdę" wyrażamy słowami języków. „Myślimy słowami...". Słowa-symbole, nawet najbardziej rzeczowe, są wieloznaczne, pełne tendencji i emocji. Gdy usiłujemy wyrazić myśl słowami mimo woli naginamy ją do słów. Słów jakie znamy! Zmieniamy ją jak fotony światła zmieniają orbitę obserwowanego elektronu. Dlatego poprawniej można myśleć matematyką. Poprawniej, ale nie szerzej, mądrzej, czy bardziej lotnie. Język matematyki i język logik formalnych jest ograniczony więzami swej jednoznaczności. Wyraża ściśle sprawy ograniczone. Mowa, — wieloznaczna, nieścisła i zmienna — rozwijając tęczę swych kolorów, szereguje swą nieskończoną i ciągłą odmienność i jak fotony sugeruje możliwość innego podejścia. Podejścia, które dla literackiej konsekwencji metafory można porównać z dualizmem kwantów i fal współczesnej fizyki. Ze sprawami których logika już dawno prześcignęła sylogizmy języków Zachodu.

Języki są rządzone prawami których reguły i sens zaczynamy rozumieć. Współczesna antropologia, lingwistyka, psychologia, cybernetyka, wsparte filozofią, zajmują się bardzo intensywnie językiem i wiedzą o tych sprawa dużo więcej niż się wydaje specom z domowym wykształceniem, którzy na emigracji sprawują rządy dusz. Nie są to nawet sprawy nowe. Russell, Whitehead, Moore, Carnap, Wittgenstein, Ayer — a z Polaków Łukasiewicz i Tarski — filozofowie naszej, ale już

mijającej generacji, kładli podstawy pod scjentyfikę języka. A Sapir, Whorf, Malinowski, Ogden, Richards, Wiener, Bridgman — w lingwistyce, antropologii, semantyce, cybernetyce, matematyce, fizyce, tłumaczyli te sprawy tak ważne dla mechanizmu ludzkiej myśli. Mimo to rozumiemy je tylko urywkowo. Scjentyfika języka jest wciąż jeszcze tylko drogowskazem do celu, którego nie zna. Tylko literatura i poezja widzą mistycznie i intuitywnie ,,prawdę'' — słowami. Słowami ułomnymi i nieścisłymi. Słowami języków których przeszłość przenika sprawy dzisiejsze i których zacofanie paczy współczesną myśl, ale bez których nie bylibyśmy ludźmi.

Henryk SCHOENFELD

Historie żydowskie

Niebo warszawskie ma specjalną, dziwną właściwość — ciągle się zmienia, jest coraz to inne. Tak przynajmniej uważał Adam Roesner, który całe życie spędził w Warszawie, nigdzie nie wyjeżdżając — najwyżej do Otwocka lub Milanówka. Lecz mimo to nie nudził się wcale — zależnie od kolorytu warszawskiego nieba wyobrażał sobie, że mieszka w różnych stolicach Europy. Czasem niebo było ciepłe i szare jak w Paryżu, czasem panowała wilgotna, gęsta mgła — to był Londyn; czasem w zimie, puszysta białość śniegu i krystaliczność powietrza tworzyły w Warszawie — Moskwę. Tej jesieni, po kapitulacji miasta, gdy zaczęła się cała sprawa, październikowe niebo Warszawy było jasne, bladobłękitne, szkliste i chłodne i dął suchy, lodowaty wiatr. — Jak w Helsingforsie — myślał sobie Roesner, włócząc się po zasypanych gruzem i zalanych tłumem ludzkim ulicach — a przecież nigdy nie był w Finlandii.

Roesner był Żydem i w dodatku obrzezanym. Ów dodatek był ważną rzeczą, bo poza tym nikt nigdy nie poznałby w nim Żyda. Był blondynem o niebieskich oczach i energicznej twarzy. Nos miał duży, ale ,,kartoflowaty'' — zupełnie nie semicki. Nazwisko — Roesner — też nie było żydowskie — ludzi o takich z niemiecka brzmiących nazwiskach było mnóstwo. Toteż Roesner w różnych środowiskach mógł długi czas uchodzić za Polaka — ale zawsze w końcu go zdemaskowano. W szkole przez pierwsze dwa lata nie robiono żadnej różnicy między nim a kolegami — był katolikiem, uczęszczał ,,na religię'', w jego wyglądzie, wymowie i sposobie życia nie było nic żydowskiego. Starał się aby nikt nie zauważył jego obrzezania, do pisuaru chodził tylko wtedy, gdy nikogo tam nie było, od badań lekarskich wykręcał się jakoś; ostrożność swą posunął tak daleko, że formalnie zabronił rodzicom pokazywania się w szkole. Dopiero w trzeciej klasie zwróciło uwagę kolegów nazwisko panieńskie matki, które figurowało w ewidencji szkolnej: Rosenblum. Jeden z uczniów rzucił straszną myśl: rozebrać Roesnera i obejrzeć.

Schwycili go w dziesięciu i ściągnęli spodnie. — Żyd, żydziak, parch, obrzezaniec — krzyczeli z bezwzględną zajadłością, właściwą temu wiekowi. Odtąd był już Żydem i to jeszcze gorszym, bo usiłującym udawać Polaka.

Na uniwersytecie z początku unikał niebezpieczeństwa; obracał się w towarzystwie Polaków i pomimo silnego antysemityzmu wśród studentów nikt nigdy nie poznałby w nim Żyda. Lecz i tu stopniowo zaczęło się wszystko wykrywać: znalazło się kilku kolegów ze szkoły, znów wyszło na jaw kompromitujące nazwisko matki. Roesner czuł, że wyrasta koło niego na pozór niewidoczny, lecz jednak wyczuwalny mur niechęci i nieufności. Ten i ów unikał rozmowy z nim, słyszał wciąż jakieś ironiczne szepty i chichoty za plecami — powoli zaczęła go otaczać pustka. Zaś Żydzi bojkotowali Roesnera demonstracyjnie — uważali go za zdrajcę. A przecież mimo to należał do nich — świadczył o tym znak, którym był napiętnowany na całe życie.

Usiłował zgłębić tę sprawę. To nie mógł być przypadek, że Żydzi zawsze wyróżniali się spomiędzy innych narodów, że pomimo rozproszenia nie mieszali się z nimi, że stale byli prześladowani, że wreszcie sami dobrowolnie odróżnili się od innych przez obrzezanie. Coś w tym musiało być, ale co? Czyżby fantastyczne tłumaczenie, które podawała religia — o narodzie wybranym, Judaszu, ukrzyżowaniu zawierało odrobinę prawdy? Roesner w to nie wierzył, szukał innych wyjaśnień — szukał ich w psychice Żydów. Ale nie znajdował. Nie byli wcale demoniczni, byli zwyczajni, nieszkodliwi i na ogół tylko nudni, skąd więc ta powszechna nienawiść?

On sam psychicznie na pewno nie różnił się w niczym od swych kolegów Polaków — choć może to było tylko takie typowo żydowskie złudzenie: w każdym razie zewnętrznie nie różnił się wcale — mógłby uchodzić za „aryjczyka", gdyby pojechał gdzie indziej, gdzie go nie znają — przeszkadzałoby tylko obrzezanie. Czasem zamykał się w pokoju, rozbierał do naga i długi czas przeglądał się w lustrze. To była jednak jakaś szatańska sprawa: kto postanowił okaleczyć i zeszpecić ciała Żydów i odróżnić ich przez to na zawsze od innych ludzi? Roesner uporczywie wpatrywał się w dziwaczny, niepojęty znak na swoim ciele. — To ściągnie na mnie kiedyś nieszczęście — myślał i był tego zupełnie pewien — nieszczęście było nieuniknione, czuł jego nieuchronne, powolne ale stałe zbliżanie się: kto nosi znak nieszczęścia na swoim ciele, tego nic nie ocali — chyba zniszczenie ciała.

Toteż pojawienie się Niemców w Warszawie nie zdziwiło go wcale: nawet lepiej, że wiadomo było skąd przyjdzie katastrofa — co do samej katastrofy Roesner nie miał najmniejszej wątpliwości, choć ojciec twierdził, że jest ona niemożliwa — „żyjemy bądź co bądź w XX-tym wieku". Jednak Adam wiedział swoje: dwudziesty czy inny wiek nie miał tu nic do rzeczy. Fizyczne napiętnowanie Żydów było sygnałem, biegnącym przez wszystkie wieki, tajemniczym sygnałem do upokorzeń, prześla-

owań, nienawiści i — śmierci. Ale jak i którędy nadejdzie śmierć? Roesner czuł, że przybyła ona już na miejsce, że chodziła po ulicach, mieszając się z tłumami przechodniów, widział ciemny zarys trupich oczodołów w każdej żydowskiej twarzy. W rodzinie nazywali go histerykiem — ale on wiedział. Tylko jak i kiedy nastąpi uderzenie?

Wprowadzenie opasek dla Żydów to był drugi sygnał. Roesnerowie nie włożyli wprawdzie opasek, lecz nie wiadomo było, czy długo im się uda tego uniknąć. Opaska z gwiazdą — to dalsze ogniwo w tajemniczym złowieszczym szeregu symbolicznych znaków, w który zostało wplecione życie Adama Roesnera bez jego wiedzy i woli — wszak skazano go już jako niemowlę. Niebieska sześcioramienna gwiazda na ramieniu — anachroniczny symbol na tle racjonalnego, trzeźwego i rozsądnego XX wieku obnażała niemoc i bezradność ludzką wobec ciemnych sił fatalistycznej kabały, która w istocie rządzi naszym życiem. Ludzie z gwiazdą na ulicach wesołej i prozaicznej Warszawy, średniowieczne, dekoracyjnie zagadkowe postacie z getta na tle komercjalnego jarmarku współczesności, to niebywała maskarada, jakiś fantastyczny, biblijny czy średniowieczny sen na jawie — złowróżebne „mane-tekel-fares" przeniesione we współczesność. Na jawie — w tym zawierał się właśnie dziwaczny i straszny patos. Roesner mimo woli napawał się tym patosem. Całymi dniami włóczył się pod chłodnym, finlandzkim niebem Warszawy i wypatrywał ludzi z gwiazdami. Patrzył im ostro w oczy — natychmiast spuszczali wzrok i odwracali się. Wstydzili się — mężczyźni wstydzili się tego drugiego znaku, który mieli na ciele, a którego istnienie obnażała widoczna dla wszystkich gwiazda na ramieniu; a kobiety wstydziły się, że urodziły lub urodzą takich właśnie mężczyzn. Tylko Roesner nie wstydził się niczego — był teraz bezpieczniejszy, bo *odróżniał się* od Żydów. Bał się tylko spotkania ze znajomymi, którzy wiedzieli o jego pochodzeniu. Dlatego też przeważnie włóczył się po dzielnicach, gdzie nie spodziewał się spotkać nikogo takiego. Roesnerowie i ich znajomi mieszkali na Marszałkowskiej — wobec czego Adam chodził głównie do dzielnicy żydowskiej. Tłumy ludzi, powódź sześcioramiennych gwiazd, brud, wrzask, hałas, zaduch, twarze nerwowe, skurczowe grymasem zastygłego krzyku, oczy jarzące się niezdrowym blaskiem, postacie nędzne, garbate, powykrzywiane, potworne, zawalone ludzkim ruchomym ścierwem podwórza i bramy, tajemnicze, wstrętne spelunki, suteryny, podziemia, nory ludzkie, labirynty smrodu i lepkiej ciemności, a wszędzie Żydzi, Żydzi, Żydzi. A nad nimi, wśród nich, w powietrzu — śmierć, śmierć, śmierć. Roesner chodził po tych ulicach jak gość z innego świata, wolny, swobodny, niezależny i czuł dumę, czuł swoją bezgraniczną nad nimi przewagę: nie był Żydem, nie był napiętnowany, patrzył im w oczy a oni — spuszczali wzrok.

W tym czasie postanowił wyprowadzić się z domu. W domu było nudno, jałowo, beznadziejnie i coraz bardziej żydowsko,

w dodatku żydowskie przeznaczenie wyciągało już po nich swoje czarne łapy. W kamienicy wciąż szeptano o nich, sąsiedzi demonstracyjnie nie odpowiadali im na ukłony, nieznana ręka codziennie rysowała im na drzwiach fatalną gwiazdę. Ojciec oburzał się i chorował na serce, matka płakała ciągle, a Wanda, siostra Adama, ratowała się narkotykiem lektury: czytała po całych dniach, prawie nie wychodziła z domu i nie chciała o tych wszystkich sprawach słyszeć ani przez chwilę. Żyli ze sprzedaży kosztowności, bo sklep prawie nie funkcjonował. Gdy wreszcie administrator domu zaczął przebąkiwać o obowiązku noszenia opasek — Adam postanowił wyprowadzić się. Nic nie wiązało go z rodziną: nawet nazwisko panieńskie matki zmienił w swoich papierach już dawno — jeszcze przed wejściem Niemców.

Zamieszkał na Wspólnej w sublokatorskim pokoju u pewnej rodziny. Pokój był nieco ciemny, ale za to miał osobne wejście z korytarzyka. Roesner czuł się tu dobrze — jak w swoje norze — nikt go nie krępował, nikt nie narzucał mu żadnych myśli z zewnątrz, nie widział wciąż koło siebie Żydów, mógł swobodnie odpoczywać po długich spacerach, jakie zajmowały mu większą część dnia. Włóczęga po mieście stała się jego pasją; układał sobie drobiazgowo skomplikowane marszruty, zwiedzał najbrzydsze, najbardziej opuszczone zaułki, znał Warszawę w deszczu, w słońcu, w czasie mgły, mrozu, odwilży, w dnie szare i posępne, krystaliczne, błękitne dni słoneczne, o świcie, w południe, o zmroku, latem, zimą, wiosną. Raz była Paryżem raz Brukselą, Londynem, Wiedniem, Chicago, Moskwą, Marsylią — a zawsze pełne w niej było — gwiazd. Niebieskich sześcioramiennych gwiazd, które poruszały się i wirowały po ulicach pojedynczo, w kilka, tłumami. Czasem spotykał ojca lub matkę z gwiazdą — patrzył im prosto w oczy i nie kłaniał się — tak im zapowiedział, tak się umówili. Adam Roesner raz na zawsze zerwał z żydostwem.

Płynęły miesiące i lata, płynęły wypadki. Dużo zmieniło się na świecie, wojna toczyła się z kraju do kraju, padały stolice rozsypywały się armie, uciekały rządy. Lecz Roesner mało myślał o tych rzeczach: świat przysłaniała mu — niebieska gwiazda. Los żydowski dopełniał się z powolną ale nieubłaganą konsekwencją. Stworzono getto — ta średniowieczna dziwna nazwa była na wszystkich ustach. Odgrodzono murami północną, hałaśliwą i dziwaczną dzielnicę miasta, stłoczono w niej Żydów i — zamknięto. Rodzina Roesnerów także poszła do getta — pozostał tylko Adam, o którym dalej nikt nie wiedział, że jest Żydem. Czuł się teraz jeszcze bezpieczniej — Żydzi byli daleko — za murem. Czasem tylko, po nocach, miewał wizję ich życia w tym upiornym mrowisku: widział brudne, posępne ulice, natłoczone tłumem ludzi wychudzonych, nerwowych, czarnych, histerycznie ruchliwych — ludzi z gwiazdami na ramionach i obłędną trwogą w oczach. Podobno umierali z głodu na ulicach, szerzyły się choroby, wywołane straszliwą ciasnotą, podobno panowało sza

ństwo, trwoga i bijąca do nieba wzajemna nienawiść; groza, roza i męczeństwo prowadzące ten naród poprzez karty historii koncentrowały się na jednym pokoleniu, w jednym mieście, w dnej dzielnicy. Miasto Warszawa — cóż za straszna nazwa!

Adam rzadko miewał wiadomości od rodziców. Porozumie-ał się z nimi telefonicznie: narzekali na ciasnotę, na drożyznę, a złe samopoczucie i potworne stosunki. Adam drętwiał na yśl, że mógłby znaleźć się razem z nimi. Umacniał jeszcze wój mur bezpieczeństwa, przystosowując się jak najbardziej do olaków, u których mieszkał. Brał udział w ich rozmowach poli-cznych, pochwalał i akceptował wszystko co mówili o Żydach. mówili z bezgraniczną pogardą, ze wstrętem, cieszyli się, że h zamknięto, że odebrano im przemysł i handel. Żydzi to ro-actwo — mówił pan Wojnowski, gospodarz Adama, trzeba wydusić — bo inaczej nas pożrą. — Nawet teraz mają się piej od nas, a nienawidzą nas bardziej niż Niemców. Adam uchał i potakiwał a jednocześnie myślał, co by też powiedział an Wojnowski, gdyby dowiedział się — o nim. A przecież - wystarczyłoby, żeby zobaczył go bez ubrania. Kawałek ma-riału decydował o wszystkim. Cóż za demoniczna fantazja wy-yśliła świat, w którym możliwe są takie sprawy!

Adam starał się teraz nie zbliżać nigdy do murów getta — ko teren dla swych spacerów wybierał południową dzielnicę iasta i wyobrażał sobie, że jest w Danii, w Holandii, w Nor-egii. Ale podświadomie brakowało mu czegoś — może właśnie etta, może Żydów, gwiazd, głodu, chorób i szaleństwa? Cza-m pędzono przez miasto Żydów z Gdańska, z Pomorza, ze ląska — wszyscy szli tam, za mur. Adam stał na brzegu chod-ka i chciwie patrzył im w oczy; i nagle przychodziła mu sza-ńcza chętka: wmieszać się pomiędzy nich, pójść z nimi, znaleźć ę tam. Nie mam wprawdzie opaski, ale wylegitymowałbym ę łatwo — myślał z dziwaczną satysfakcją. Lecz nie — z nie-snym uczuciem odwracał się, patrzył na błękitne, włoskie tego nia niebo i — odchodził. Nie należał ani tu ani tam. Był nie wia-omo kim. Ale był bezpieczny.

Pewnej wiosny wreszcie — stało się. Głucha z początku, otem coraz donośniejsza wieść pobiegła po mieście: wywożą ydów, wywożą masami, stłoczonych, upchanych w bydlęcych agonach. Podobno na wschód — do kopania rowów. Lecz Roes-er wiedział: wywożą ich na śmierć. Telefon rodziców zamilkł awno — wszelki kontakt się urwał. Tak. Roesner wiedział na ewno: śmierć zaczęła pracę — to było jasne. Jak odbywała się odróż? Co myśleli ludzie, oczekujący na swoją kolej, ludzie, la których nie było ratunku nigdzie, nigdzie w Europie — nie yło ucieczki, nie było sposobu ukrycia się, bo swoje nieszczę-ie nosili — w sobie?

◆

Pewnego wieczora Adam siedział w swoim pokoju nie za-alając światła. Myśli miał nieokreślone, raczej jakąś chłodną

mgłę psychiczną. Nagle ktoś zapukał do drzwi: to była pani Wojnowska. — Jedna pani do pana — powiedziała dziwnym głosem Coś zadrgało w Adamie. Szybko wyszedł do przedpokoju: przy drzwiach wejściowych stała, zasłaniając twarz chustką, jakaś drobna, ciemna, skurczona postać. Adam zdrętwiał, przeszło po nim zimno, lodowaty, straszliwy skurcz; przeszywająca, krótka a całe światy perspektyw zawierająca myśl: matka!

Pani Wojnowska ociągała się z odejściem, patrząc wciąż na Adama. Matka stała uporczywie przy otwartych drzwiach, zakrywając twarz ruchem przerażającym w swej niemej wymowie. Wreszcie Adam opanował się: — Dzień dobry — powiedział głosem jakimś jakby z daleka, nie z jego ust, pochodzącym. — Pani pozwoli.

Wojnowska zabierała się do odejścia, lecz jeszcze stała. Matka poruszyła się wreszcie z miejsca i pokulała w stronę pokoju Adama. Za chwilę znaleźli się sami. Adam zamknął starannie drzwi — Wojnowska odchodziła wreszcie. Gdy odwrócił się znowu, ujrzał, że matka, dalej zasłaniając twarz, stoi pośrodku pokoju. — No siadaj, powiedział twardo, podsuwając jej fotel. Matka nagle gwałtownym ruchem upadła na fotel i wybuchnęła strasznym, starczym, żydowskim, niepohamowanym płaczem. Właściwie nie był to płacz: to jakiś jazgot, zgrzyt, skrzek — nie było w nim nic ludzkiego. Plecy jej, zeschły kark i rzadkie włosy trzęsły się i poskakiwały. Adam poczuł smak żółci w ustach. Przenikał go strach, bezgraniczny strach; od razu zmierzył w myśli perspektywy nieszczęścia, otwierające się przed nim. Wojnowscy się zorientują, dadzą znać na policję — dla Żydów nie ma litości! Cały jego tak starannie zbudowany mur bezpieczeństwa zwali się w jednej chwili. A wtedy? Śmierć — wstrętna, ohydna, żydowska śmierć. Co zrobić z matką? — jak uwolnić się od niej? A gdzie ojciec i Wanda?

Matka wreszcie uspokoiła się nieco. Adam zaczął zadawać pytania, lecz to nie było potrzebne. Matka rozgadała się, mówiła z charkotem i jękiem — nigdy jeszcze nie wydawała mu się taka żydowska. Ojca i Wandę zabrano z domu parę dni temu, ona poszła jeszcze do mieszkania, aby wziąć dla nich coś z ubrania, gdy wróciła — już ich nie było. Plątała się wśród piekielnego chaosu dwa dni, aż wreszcie znajomy adwokat Adler (Adam znał go dobrze), który wraz z żoną postanowił wydostać się z getta, zabrał ją z sobą. Po różnych strasznych przygodach dotarli do granic getta, do domu, którego piwnice łączyły się z piwnicami już po polskiej stronie położonych kamienic. Gdy po długim błądzeniu wyszli wreszcie na ulicę Krochmalną, rzuciła się czyhająca tam banda łobuzów i zabrała im wszystko, co nieśli ze sobą. Adwokat Adler miał bardzo semicką twarz; musieli pojechać dorożką — ale dorożkarz zgodził się jechać tylko za dziesięć dolarów. No i wreszcie — przyjechali.

— A gdzież adwokat z żoną? — spytał Adam z rosnącym przerażeniem. — Pojechali do teściowej ich syna, który jest

za granicą, Polki. Ale jeśli ona ich nie przyjmie, to mogą przyjechać... tutaj. Dałam im adres.

Niepohamowany gniew wstrząsnął Roesnerem. Jak mogłaś to zrobić — syczał prawie — ja nie mogę ich tu przyjąć. Ja nie mogę, ja nie chcę mieć u siebie — Żydów! Chcecie ściągnąć na mnie nieszczęście! Jak mogłaś tu przyjść w ogóle?

Matka patrzyła nań ze strachem, z pokornym, żebraczym strachem. To go nieco otrzeźwiło. Poczuł, że sam mówi okropnie po żydowsku — zapluwając się z histerycznym niepohamowaniem. Więc i ja wsiadam w tę śmiertelną karuzelę — pomyślał — nikt nie ujdzie swemu losowi — a już Żyd — na pewno nie. Zaczął spokojnie tłumaczyć matce, że nie może mieć u siebie na noc tylu osób, że to wzbudziłoby podejrzenia gospodarzy, a w konsekwencji — grozi śmiercią. Jeśli przyjdą tu — odeślę ich — niech idą na ulicę, powiedział znów brutalnie. — Ależ oni uratowali mi życie — jęknęła matka. Mało z tym — mruknął Adam, a w duszy aż przeląkł się swojej myśli: myśl ta była szybka, spontaniczna, niemal niezdefiniowana — ale była. Mówiła ona: cóż po życiu jednej starej Żydówki! Matka wyczuła tę niedopowiedzianą myśl i zamilkła. Adam milczał także: długo tak siedzieli bez słowa w ciemności pokoju, pokoju, który z przytulnej nory stał się — pokojem śmiertelnej trwogi.

Wreszcie Roesner spojrzał na zegarek. — Już niedługo godzina policyjna — powiedział. Jeżeli nie przyjdą w ciągu dwudziestu minut, nie przyjdą już w ogóle. I dalej siedzieli w głuchym milczeniu, nadsłuchując cichego tykania wskazówek.

Zegar na ulicy wybił godzinę. Już nie przyjdą, odetchnął Adam. Ale to była tylko częściowa ulga. Co zrobić z matką, co powiedzą Wojnowscy? Czuł do matki wstręt fizyczny, niechęć i urazę. Po co przyszła tutaj ta stara Żydówka — myślał z nienawiścią. Siebie nie ocali a mnie pogrąży. Wstydził się trochę tych myśli, ale strach i gniew silniejsze były od wstydu. Trudno, widocznie nic mnie nie łączy z Żydami — stwierdził wreszcie.

Matka była głodna i zmęczona, lecz udawał, że tego nie widzi. Wszczął z nią rozmowę o jutrze: jakie ma plany. — Tu pozostać nie możesz — powiedział sucho i nagle przyszła mu wspaniała myśl: — ja jestem zaangażowany w ,,robotę'' — rozumiesz? — polityczną.

Matka ożywiła się: Ach, moje dziecko — jęknęła. No tak, ja teraz wszystko rozumiem — wy musicie... Tak, tak — ale uważaj — pamiętaj, że tylko ciebie mam teraz jednego. — Tu zachlipała cicho — Adam słuchał jej z wrogim wstrętem, zmuszając się do zachowania opanowanej miny. Nagle matka jakby powzięła jakąś decyzję. — Więc wiesz co — powiedziała — ja nie mogę rzeczywiście być ci tutaj ciężarem. Jutro pójdziemy do mecenasa Adlera, tam do jego teściowej — oni coś nam poradzą. Zresztą jest tu jeszcze panna Białostocka, która nie poszła do getta. Pójdziemy i do niej — mam jeszcze trochę złota — musimy coś postanowić. Nie bój się, nie będę ci przeszkadzała. Tylko dzisiaj Adasiu, tylko dzisiaj! Roesner rozchmurzył się

nieco. Zaczął udawać synowskie uczucia, których przecież wcale nie doznawał. Należało zrobić jakąś herbatę — w tym celu pójść do kuchni. Na myśl o spotkaniu z Wojnowskimi poczuł znowu dreszcz trwogi — jak im wytłumaczyć obecność matki? — już pewno się wszystkiego domyślili. W żadnym wypadku nie może się przyznać, że to jest matka — powie im, że to jego stara służąca. Nie powinni mówić sobie z matką ,,ty'', bo ktoś gotów usłyszeć; matka nie może chodzić do ustępu, który się mieści naprzeciwko drzwi kuchni. Rano muszą wyjść jak najwcześniej. Udzielał matce tych instrukcji gorączkowym szeptem. Potem wyszedł do kuchni. Wojnowska była tam — zmywała talerze. Adam starał się zachowywać jak najnaturalniej, lecz był cały w śmiertelnym napięciu. Wojnowska nie pytała o nic, ale, jak mu się zdawało, rzucała nań spojrzenia dziwne przenikliwe. Wychodząc już powiedział jej od niechcenia, że przyjechała dawna służąca jego rodziców, która dzisiaj zanocuje. — Ależ proszę bardzo — powiedziała Wojnowska głosem nienaturalnie grzecznym. Adam wrócił do pokoju z czajnikiem wrzącej wody — twarz paliła go, ręce dygotały.

Noc spędzili niemal bezsennie. Matka przycupnęła na sofie, on leżał na łóżku i myślał. Potworność położenia stawała mu przed oczami coraz dobitniej. Skończyła się jego ,,wspaniała izolacja'', swoboda i spokój: Żydzi znaleźli go znowu, tak jak w szkole, tak jak na uniwersytecie — i teraz już się od nich nie uwolni. Różne projekty przebiegały mu przez głowę: wysłać gdzieś matkę, wyjechać samemu; nagle przeszyła go myśl dziwaczna — wydać matkę policji! Myśl była straszna, ale w swoim okrucieństwie perwersyjnie kusząca — mimowoli zaczął sobie wyobrażać scenę aresztowania matki. Nagle wstrząsnął się — nie był przecież zbrodniarzem — a — zresztą — matka wzięta na tortury wydałaby i jego, wtedy zaś... Cóż za niesamowite myśli nawiedzały go tej nocy!

Rano zaczęli szykować się do wyjścia. Ze względu na Wojnowskich lepiej było wyjść wcześniej, ze względu na obawę zdemaskowania lepiej poczekać, aż na ulicach będzie większy ruch. Adam długo wahał się między tymi dwoma alternatywami, w rezultacie postanowił wysłać matkę wcześnie — samą. On miał pójść za nią w odległości dwustu metrów — spotkają się w bramie domu, gdzie zatrzymali się Adlerowie.

Wreszcie matka wyszła. Adam zamknął za nią cicho drzwi wejściowe, odczekał pięć minut, potem ostrożnie wysunął się na schody i zeszedł na ulicę. Drobna skurczona figurka wędrowała w oddali, Adam ruszył przed siebie nie spuszczając jej z oczu. Ostatnio w ogóle bał się trochę chodzenia po ulicach: przecież sporo ludzi wiedziało o jego żydostwie, mógł go ktoś zaczepić, mogli go szantażować. I tak dotąd udawało mu się doskonale. Teraz szedł za matką z szalonym napięciem — ta malutka — ledwo z daleka widoczna figurka, to był jego los. Na chwilę serce zamarło w nim, gdy obok matki przeszli dwaj rośli Niemcy, lecz nie — nic się nie stało.

W końcu matka zniknęła z zasięgu wzroku Adama: weszła do bramy. Adam podążył teraz szybciej w tym kierunku. — Po co ja tam właściwie idę — myślał — a może by zostawić matkę jej losowi? Lecz nie — na pewno wróciłaby do Wojnowskich — konsekwencje tego mogły być nieobliczalne.

W bramie spotkali się i weszli na kręte ciemne schody. A więc tutaj są Żydzi, myślał Adam — gdybyż mieszkańcy tego domu wiedzieli, że między nimi mieszka — śmierć. Matka ciężko dyszała, Adam był sprężony, jak do ucieczki. — To tutaj — wychrypiała wreszcie, wskazując jakieś drzwi. Chwilę stali przed nimi oddychając ciężko, w końcu Adam zastukał cicho. Długo, bardzo długo, panowało za drzwiami głuche milczenie; nagle matka zatoczyła się i oparła o futrynę drzwi. — Może już nie żyją? — załkała cicho. Adam poczuł zimny dreszcz w plecach, lecz zastukał jeszcze raz. Po długiej chwili wewnątrz rozległo się ciężkie człapanie. — Kto tam? — zapytał jakiś opryskliwy głos. — Swój, swój — odpowiedział z ulgą Adam. Lecz dopiero po dłuższych perswazjach właścicielka głosu zdecydowała się uchylić drzwi, nie spuszczając zresztą łańcucha. Przez szparę długo lustrowała wzrokiem Adama i matkę. — Do kogo? — spytała niechętnie. — Do mecenasa Adlera — jęknęła matka. Kobieta za drzwiami żachnęła się. — Tu nie mieszka żaden Adler — warknęła. — Mieszka od wczoraj — wtrącił się Adam — niech pani się nie obawia — my jesteśmy swoi. Osoba za drzwiami — zdawało się — wpadła w furię. — Już zaczynacie się tu schodzić! — syczała — ja nie chcę was tutaj, nieszczęście na mnie ściągniecie, dosyć mam już ich! Proszę odejść!

Nagle z głębi, za jej plecami, otworzyły się jakieś drzwi i rozległ się cienki, znany Adamowi głos mecenasowej Adlerowej. — O co chodzi? Po dłuższym szeleście i szeptach za drzwiami łańcuch opadł wreszcie. Matka i Adam weszli do ciemnego przedpokoju, na końcu, którego widać było otwarte drzwi. — Tędy, tędy — szeptała mecenasowa, prowadząc ich — przeszli obok owej jejmości, która nie chciała ich wpuścić. Adam spojrzał jej w oczy: były rozszerzone obłędnym strachem.

W ciemnym, zastawionym meblami, pokoiku okna zasłonięto ciężkimi, żółtymi firankami. Dopiero po dobrej chwili Adam rozróżnił adwokata Adlera, który siedział skurczony w rogu skórzanej sofy. Był blady i zgarbiony, oczy paliły mu się gorączkowo. Ten sam blask płonął we wzroku mecenasowej. To pewno jest gorączka śmierci — pomyślał Adam. Wybuchła gwałtowna bezładna, dzikim szeptem prowadzona rozmowa. Sytuacja Adlerów była fatalna — właścicielka mieszkania, choć powinowata, przyjęła ich dopiero po długich i dramatycznych błaganiach, gdy zagrozili jej, że położą się pod drzwiami. Absolutnie nie zgadzała się na ich dalsze przebywanie w mieszkaniu, truchlała o syna, wpadła w istną histerię. — Powinniśmy już stąd wyjść — mówiła adwokatowa — czy można by do pana? Z kolei Adam wpadł w nieopanowany gniew — ci ludzie zupełnie nie rozumieli sytuacji, nie rozumieli nic, nic —

swoją wstrętną, przerażającą, podłą śmierć chcieli roznieść wszędzie, jak zarazę — cóż za potworny egoizm — ale tak, to była psychika umierających — było im wszystko jedno, że umrą i inni — straszliwa obojętność zarażonych trądem. Należało uciekać stąd za wszelką cenę — ale co zrobić z matką?! Chciał ją tu zostawić — tymczasem nie tylko nie było o tym mowy, lecz głucha na wszystkie argumenty adwokatowa wciąż zamierzała udać się do Adama. Adam pienił się. Cała rozmowa, która nie wychodziła poza ramy głośnego, skrzeczącego szeptu, miała w sobie coś niesłychanie dzikiego i brutalnego — obnażony strach przed śmiercią, groza nieistnienia, otwierająca się jak przepaść pod nogami — wszystko w tym ciemnym, dusznym pokoiku, w starej, brudnej, strasznej kamienicy — piekło, żydowskie piekło, kraina odwiecznych tortur, w którą wstąpił oto Adam Roesner.

Dlaczego pan nie może nas przyjąć?! — ziała jakimś nieprawdopodobnym, wynaturzonym skrzekiem adwokatowa. Adwokat zachowywał się spokojnie, milczał — od czasu do czasu wydobywał chustkę i ocierał z czoła kroplisty pot. Adamowi żal go było trochę — za to mecenasowej nienawidził. Tłumaczył jej po raz nie wiadomo który, że Wojnowscy to antysemici, że ani chwili nie zawahają się przed wezwaniem policji, że mieszkanie u nich jest absolutnym niepodobieństwem. Lecz Adlerowa nie wierzyła mu. — Mamy pieniądze, dużo pieniędzy — powtarzała w kółko z bezmyślnym przejęciem. Nagle odezwała się matka, która dotąd, przerażona, nie brała udziału w rozmowie. — Ja wiem, dlaczego Adaś nie może nas wziąć — powiedziała. On jest zaangażowany politycznie.

Zapadło milczenie. Adam ze zdumieniem przypomniał sobie to nędzne kłamstwo, które już wyleciało mu z głowy. Widocznie jednak zrobiło ono wrażenie na Adlerach, bo zamilkli całkiem. Po długiej chwili dopiero zabrał głos mecenas.

Teraz pana rozumiem — powiedział. Lecz skoro pan pracuje w konspiracji, to chyba zna pan jakieś drogi, jakieś środki pomocy, aby nas ukryć i przechować. Organizacja musi mieć na to sposób — a pieniądze przydadzą się każdemu. Zresztą chodzi przecież o pana matkę!

Znowu zapadła cisza. Przerwał ją Adam. Równym spokojnym głosem, wymierzając każde słowo, mówił:

— Tak, sposoby się znajdą, muszą się znaleźć, ale na to potrzebuję trochę czasu. Rozumiecie państwo chyba, że w warunkach konspiracyjnych nie da się nic załatwić w godzinę lub dwie. Poproście gospodynią, niech was tu zatrzyma choć parę dni, a z wami moją matkę — wtedy poszukam dróg ratunku, a sądzę — że je znajdę.

Matka załkała z radości. Mecenasowie też byli poruszeni. Zaczęli mówić jedno przez drugie gorączkowym, radosnym szeptem. — Tak, tak, racja — pan Adam ma rację. Trzeba poprosić gospodynią — niech pan ją przekona. To jasne, że potrzeba czasu. Tak, tak.

Dalszy ciąg tej sceny Adam przebył w natchnieniu. Sam nie wiedział co mówił, jakich argumentów używał wobec zmartwiałej ze strachu gospodyni, lecz wreszcie przekonał ją. Zgodziła się przechować u siebie mecenasów i matkę Adama trzy dni i przynosić im ze sklepu żywność. Oni za to zobowiązali się nie ruszać za próg, nie rozmawiać głośno, nie zbliżać się do okna i zapłacić jej hojnie dolarami za każdy dzień. — Panie Adamie — w panu cała nasza nadzieja — mówiła patrząc mu teraz pokornie w oczy adwokatowa; Adler mocno uścisnął mu dłoń, matka obejmowała go długo. Adam przyjmował te hołdy jako należne mu i same przez się zrozumiałe; ucałował rękę gospodyni, obiecał przyjść pojutrze, zdać sprawę ze swych starań i wyszedł — poważny; skupiony. Schodził powoli po ciemnych, krętych schodach, niby zamyślony a w gruncie rzeczy z głową pustą lecz ciężką, chwiejąc się lekko i zataczając. Wreszcie znalazł się na ulicy; nagle owionął go znany, ulubiony rytm warszawskiej ciżby. Był znowu u siebie — jakby wrócił z innego świata.

Całą resztą dnia spędził w bezmyślnym osłupieniu. Zmysły przynosiły mu wrażenia ze świata zewnętrznego, świadomość automatycznie notowała je, lecz nie budziła się w nim żadna myśl, był pozbawiony wszelkich zdolności reakcji — był pusty. Jednak w gruncie rzeczy nie był pusty — to tylko pozór. Nosił w sobie myśl nienazwaną, niesformułowaną, lecz którą mimo to znał na wylot, jakby obcował z nią całe życie. I gdy na drugi dzień zbudził się z ciężkiego, głuchego snu, myśl ta stanęła przed nim jako oślepiający imperatyw działania — jako pewnik, tysiące razy uzasadniony i przemyślany, jakby ognistymi literami wyryty pod czaszką: *Trzeba wydać Żydów policji.*

Teraz zaczął myśleć — myśleć trzeźwo i precyzyjnie. Jeśli matka i mecenasowa przyjdą do niego po upływie terminu — co jest nieuniknione — to życie ich wszystkich można liczyć na dni: Wojnowscy od razu domyślą się całej sprawy, wtedy o zachowaniu tajemnicy nie ma mowy. Zginą wszyscy i on także — a tak on przynajmniej się ocali, odetnie się raz na zawsze od żydostwa, zerwie te przeklęte nici, które go oplątują. A jednocześnie — jest przecież Żydem i pozostanie nim — przechowa w swojej osobie tępiony przez Niemców pierwiastek żydowski, a ocali się — co za wspaniały paradoks — posłużywszy się ślepą siłą niemieckiego terroru. Zapanuje nad tą siłą — a oni o tym nie będą wiedzieć — będzie jedynym Żydem, dysponującym siłą, żydowskim Wallenrodem. Oczywiście — na pozór będzie to zbrodnia, — podła i odrażająca — lecz tylko na pozór. W istocie będzie to czyn rozumu i silnej woli, czyn, który odwróci wyrok, wiszący nad nimi wszystkimi od jego piersi, a przyspieszy tylko jego wykonanie — na tamtych. Roesner zakładał z góry, że trapić go będą wyrzuty sumienia — lecz zwalczy je — to nie było istotne wobec nieodpartej logiki, konsekwencji i mocy jego rozumowania. Cel był na pewno wielki — środki też będą wielkie, silne, siłą przezwyciężenia tradycjonalistycznych,

martwych, nie mających w tym wypadku zastosowania zasad moralnych. Pamiętał losy Raskolnikowa — lecz to było co innego. W tej sytuacji bez precedensów nie było innego wyjścia. Wyda Żydów policji — i to nie policji polskiej — mogliby go potem szantażować — pójdzie w tej sprawie do Gestapo.

Odtąd zaczyna się nowa, najkrótsza ale najintensywniejsza faza historii Adama Roesnera; wypadki popędziły naprzód — jak w zgęszczonym, nerwowym śnie. Popołudniu tego dnia szedł już Adam równym krokiem przez Aleję Szucha. To tutaj mieścił się oddział dla spraw żydowskich, gdzie można było składać doniesienia. Wartownik w hełmie, z automatycznym rewolwerem w ręku, spojrzał nań szarymi plamami oczu, jakby, niewidzących, pozbawionych blasku i wszelkiej zdolności reakcji, oczyma z drzewa. Adam drżał wewnętrznie, lecz serce jego opancerzyło się twardym puklerzem decyzji. Był odważnym Żydem — jedynym odważnym Żydem w tym mieście. Gdzieś na dnie serca miał paniczną myśl o obrzezaniu, lecz tłumił ją wysiłkiem woli. Wartownik zrewidował go, wylegitymował i przepuścił. W środku zatrzymał go woźny mówiący po polsku: sprawa żydowska? Do lejtnanta Kubicy — pokój siódmy.

Adam nabrał powietrza w piersi, zastukał i wszedł. Był to olbrzymi, pusty niemal pokój. W drugim, bardzo dalekim jego rogu siedział przy biurku Niemiec. Adam przeszedł pokój powolnym krokiem i zatrzymał się przed biurkiem, — *Setzen* — mruknął Niemiec, wskazując krzesło.

,,Lejtnant'' Kubica — był szerokim, grubokościstym mężczyzną o twardych rysach i tak samo jak wartownik — drewnianych oczach. Głos miał niespodziewanie cichy, mruczący. — *Sie wollen?* — mruknął znowu, gdy Adam usiadł. Roesner zaczął wyłuszczać sprawę niepewną niemczyzną, lecz Kubica zagadał nagle po polsku — mówił bez cienia obcego akcentu. — Acha, chce pan wydać Żydów — mówił. I potem badał rzeczowo: kto, gdzie, ilu, od kiedy. Roesner oczywiście zmienił nazwisko matki. Nagle lejtnant spytał: — A dlaczego pan chce ich wydać? I wpatrzył się w Adama swymi drewnianymi oczami. Adam zdrętwiał — to był moment krytyczny. Niemiec patrzył weń uparcie, nagle opuścił wzrok na leżące przed nim papiery. — To zresztą wszystko jedno — nagrodę pan dostanie — powiedział. Ale...

To ,,ale'' znów zawieszone zostało na długiej pauzie. Adam kamieniał wewnętrznie, przez głowę przelatywały mu strzępki myśli: — Już po mnie; to było szaleństwo przychodzić tutaj — to specjalista — on pozna Żyda w każdym wypadku — teraz każe mi zdjąć spodnie i...

Nagle Kubica zaczął mówić dalej. — Może pan zna jeszcze więcej Żydów? Adam wzdrygnął się protestująco. — No, nie o to chodzi — mówił lejtnant — ale ci pańscy Żydzi na pewno znają jeszcze innych Żydów. A tu jest pewna sprawa — pewien interes.

Adam nie wiedział, co o tym myśleć. Kubica zniżył głos jeszcze bardziej.

— Amerykańscy Żydzi, którzy tu mają krewnych, przysłali dla nich karty, uprawiające ich do wyjazdu do Ameryki. Oczywiście krewnych nie podobna znaleźć, ale te karty sprzedajemy — po 50.000 sztuka. Jeśli by się zebrała większa grupa, można by ich wysłać — a my zarobimy. Tylko właśnie potrzeba nam agentów, którzy by tę sprawę załatwiali — naturalnie mocno na tym zarabiając.

Adam myślał gorączkowo. A więc — gdyby mecenasowie i matka zapłacili, mogliby wyjechać. Tylko — czy to nie podstęp?

Kubica zdawał się czytać w jego myślach. — Boi się pan o nich, czy nie będą jednak zatrzymani? — zapytał. — A dlaczego pan się boi? — Adam wzdrygnął się wewnętrznie — pytanie było szatańskie — tamten coś podejrzewał. — Nie boję się — odpowiedział chłodno — tylko ciekaw jestem, czy naprawdę pojadą do Ameryki?

— Co nas to obchodzi — mruknął pojednawczo lejtnant — w każdym razie stąd wyjadą — a czy do Ameryki, czy do nieba — co to ma za znaczenie? Więc gdyby pan mógł dostarczyć mi taką grupę, powiedzmy dziesięciu osób? Zapłacą pół miliona, dostaną amerykańskie papiery i zgłoszą się do hotelu dla amerykańskich Żydów na Długiej. Pan dostanie po dziesięć tysięcy od głowy. No — zgoda?

Adam myślał prędko: odmawiać było niebezpiecznie. — Postaram się, jeśli będę mógł — nie wiem, czy mi uwierzą — mówił z wahaniem.

— No, niech pan się postara — ucieszył się lejtnant. Tych pańskich Żydów nie ruszymy — niech pan od nich wyciągnie adresy innych. Na pokazanie daję panu taki jeden amerykański dokument. O — proszę. Może pan się niczego nie bać — nawet jak pana przypadkiem złapią z Żydami, przywiozą pana tu — a my pana zwolnimy. Więc — niech pan przyjdzie od dziś za tydzień. Tylko — chwileczkę — zapiszę pańskie nazwisko i adres — odtąd przecież jest pan naszym pracownikiem — dodał z przerażającą serdecznością.

Na pożegnanie podał Roesnerowi rękę. Adam wyszedł z pustką w głowie. Szedł powoli Alejami Ujazdowskimi, usiłując myśleć i nagle główna myśl pojawiła się z oślepiającą jasnością: rozpoczął oto straszliwą grę ze śmiercią — teraz już nie ma dlań rady. Zamiast uwolnić się od Żydów, związał się z nimi siecią kłamstwa, obłudy i prowokacji. Była tylko jedna droga: stać się stuprocentowym agentem, wykonać zadanie, nałożone nań przez Kubicę, a potem, za zarobione pieniądze — wyjechać, ukryć się. Musi się uratować — zbrodnia, którą przedsięwziął nie może być dokonana na próżno. — A jednak zadrwię sobie z nich — powiedział nagle głośno.

Sen biegł dalej — jak na skrzydłach. Cały następny tydzień Adam spędził bardzo czynnie. Mecenas Adler od razu zapalił

się do projektu — uwierzył bez zastrzeżeń — Adam przedstawił całą rzecz jako dokonywującą się za pośrednictwem organizacji — Niemcy tolerują sprawę, bo chcą zarobić, zresztą muszą liczyć się z potężną Ameryką. Mecenasowa była bardziej podejrzliwa, lecz w Adama jakby wstąpił duch przenikliwości i przebiegłości. Przekonał ją — przekonał i matkę, że powinna jechać. Miała jeszcze około dwudziestu tysięcy w złocie — resztę ofiarowali się pokryć mecenasowie. Matka błagała Adama, żeby jechał także, lecz on zasłonił się swą pracą w organizacji — zresztą nic mu nie groziło — uchodził za Polaka. Po dramatycznej scenie matka zgodziła się wreszcie. Pieniądze przygotować mieli za parę dni — uwiadomiona o wszystkim gospodyni postanowiła — za hojną zapłatą oczywiście — przedłużyć im ,,prawo pobytu'' w mieszkaniu.

Pozostawała sprawa zwerbowania innych Żydów. Miała się tym zająć mecenasowa Adlerowa — (ostatecznie typ jej nie był zbyt semicki — od biedy mogła wyjść na ulicę) i — Adam. Żydów zamożnych było trochę tu i ówdzie — panna Białostocka, którą Adam znał dobrze wskazała parę adresów. Pewien inżynier mieszkał w piwnicy, wychodząc na ulicę tylko o zmierzchu; siostra jego nocowała w sklepie, gdzie ją zamykano z zewnątrz, zaś cały dzień spędzała w niemieckich lokalach, uważając, że tam jej nic nie grozi, bo kto by coś podobnego przypuścił. Adam poznał też doktora, Polaka, który miał żonę Żydówkę — oboje z żoną byli ofiarami służącej, szantażującej ich systematycznie. Idąc ulicą Adam umiał już wyłowić wzrokiem z przepływającej fali ludzkiej, twarze podejrzane — żydowskość, choć tak na pozór różnorodna — była jednak wszędzie ta sama. Na czym to polegało — trudno było określić — a jednak to był pewnik. — Naród wybrany, naród napiętnowany — myślał Roesner.

Żył w gorączce, podnieceniu. To naprawdę chyba był sen. Trzeba już było kończyć — Żydzi otoczyli Adama — miewał kłopotliwe wizyty, panowie w kapeluszach, naciśniętych na oczy zaczepiali go na ulicy — stał się dla nich wcieleniem ratunku, pomocy, ucieczki. Był ,,wodzem ukrywających się Żydów'', był dzielnym Machabeuszem i Dawidem — tak sądzili, bo nie wiedzieli, czym był w rzeczywistości. W rzeczywistości jednak też wziął na swoje barki ciężar niebylejaki.

Oznaczonego dnia stawił się u Kubicy. Miał walizkę z pieniędzmi (sześćset tysięcy w złocie i dolarach!) i listę adresów. Lejtnant przejrzał listę, wynotował adresy i wydawał się zadowolony. Wręczył Adamowi owe amerykańskie papiery na różne nazwiska i wyznaczył dzień, w którym wszyscy zainteresowani mieli się stawić na Długiej. Wieczorem tego dnia Adam miał przyjść do lejtnanta pod odbiór pieniędzy i dalsze instrukcje. Kubica traktował go z porozumiewawczą poufałością. — Pracuję w Gestapo — myślał Roesner — ja, Żyd, syn narodu słabego i pomiatanego, jestem przy samym źródle energii i siły — kieruję nią tak, jak chcę, jak mi potrzeba. Ja — Żyd.

•

Wieczór był deszczowy, ale ciepły — samochody z cichym szelestem sunęły po mokrym asfalcie ulicy. Adam długo całował ręce matki w bramie „hotelu" na Długiej.

Rozglądał się, czy nikt nie patrzy — ale nie — wszyscy sprowadzeni przez Adama Żydzi weszli już na schody. Nie czuł ani wyrzutów sumienia, ani zwykłego wstrętu fizycznego do matki; czuł — choć sam nie wiedział, jak to było możliwe — dumę i ulgę. Nareszcie będzie wolny — lejtnant Kubica wręczy mu pieniądze, a potem — Adam wyjedzie — zerwie ostatnie nici z Żydami — on, Żyd, który stanął ponad swoim narodem.

Nareszcie matka oderwała się od niego i łkając podreptała na ponure, kamienne schody. Adam odprowadził ją wzrokiem i powoli skierował się w stronę Alei Ujazdowskich. Szedł miarowym krokiem po znajomych, ciemnych, szumiących deszczem ulicach. Warszawa leżała teraz w Irlandii — była Dublinem — a on — Adam Roesner — był wolnym i niezależnym człowiekiem.

Pokój lejtnanta Kubicy miał dziś wygląd trochę przeinaczony. Stał w nim drugi stół, zastawiony wódką i zakąskami. Usiedli doń we dwóch: Kubica nalał — wypili, trącając się. — Prost! powiedział lejtnant. Wypili drugi raz. Adam poczuł znajome, fascynujące podniecenie. Jakiż ciekawy i barwny był świat, jak wiele kuszących obietnic i możliwości zawierało życie. Oto siedział tu naprzeciwko szerokokościstego człowieka w siwym mundurze i patrzył bez bojaźni w jego drewniane oczy. On — Adam Roesner, obrzezany Żyd z matki Rozenblum, siedział oto obok źródła przerażającej siły, przed którą drżała Warszawa. On, swoim rozumem i wolą ujarzmił, obłaskiwał tę siłę — on — nędzny Żydek warszawski.

— A więc skończyliśmy z tymi Żydami — powiedział Kubica po którymś tam kieliszku. Będą zlikwidowani — wywiezie się ich pod granicę a stamtąd — do nieba!

Roesner roześmiał się — nie wiedział co odpowiedzieć. Lecz Kubica mówił dalej. Zniszczymy ten naród oszustów i bandytów, którzy rządzili Europą, którzy wywołali tę straszną wojnę. Prawda?

— Tak, zniszczymy — poświadczył gorliwie Roesner i chciał jeszcze dodać coś w tym duchu, lecz lejtnant mówił znowu.

— Niech żaden Żyd nie myśli, że ujdzie swemu losowi. Muszą zginąć jak robactwo. Nie ocali się żaden, rozumie pan — żaden. Czy pan to dobrze rozumie?

W głowie Kubicy było coś dziwnego. Roesner podniósł nań zmącony wódką wzrok i ujrzał blisko swej twarzy dwoje oczu bez blasku, jak dwa matowe krążki. W oparach alkoholu te nieruchome oczy trwały tuż przed twarzą Roesnera, jak oczy potwornego sfinksa. Lejtant coraz bardziej przybliżał doń twarz.

— Czy pan to zupełnie dobrze rozumie?

Roesner poczuł nagły, przeszywający strach, tętna w skroniach zagrały mu jak alarmowe trąbki. Otworzył usta, aby coś

odpowiedzieć, gdy nagle targnął nim straszny, rozwalający mu czaszkę ból — potem niepojęte gorąco w skroniach i coś wilgotnego, lepkiego w ustach. To lejtnant przechylił się przez stół i trzasnął go w twarz. Adam chciał powstać, gdy drugi cios zwalił go z krzesła. Upadł bokiem na podłogę i w następnym momencie poczuł świdrujący, niewyobrażalny wprost ból pod żebrami. A więc to jest żydowska śmierć? zaskowytała w nim myśl krótka jak błysk iskry elektrycznej. A potem nastąpiła gruba ciemność, jakby czarny worek zasunięto na głowę Adama Roesnera, Żyda, który nie chciał być Żydem.

Teodor KLON

Archiwum polityczne

Sumienie i atomy

W roku 1923 Sidney i Beatrice Webb napisali książkę, która przez wielu uważana jest za ich najlepsze dzieło. Książka nosi tytuł „The Decay of the Capitalist Civilization". W latach dwudziestych Webbowie byli przekonani, że patrzą na ostateczny rozkład i upadek kapitalistycznej cywilizacji.

Dziś po latach niemal czterdziestu jesteśmy w Anglii świadkami upadku nie tyle cywilizacji kapitalistycznej — ile upadku największej w świecie partii socjalistyczno-demokratycznej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że kryzys nie powstał na tle doktrynalnym. Słynna klauzula nr IV konstytucji Labour Party, której autorem był Sidney Webb — dotycząca uspołecznienia środków produkcji — nadaje się do kompromisowych rozwiązań. Lecz nie wszystkie różnice w zapatrywaniach można zabrukować kompromisem. Tam gdzie wchodzi w grę sprawa osobistego sumienia i indywidualnego osądu moralnego kompromis nie jest możliwy.

Cudzoziemcy, którzy nie znają dobrze Anglii — nie dostrzegają ani nie rozumieją problemu moralnego, leżącego u podstaw ruchu CND (*Campaign for Nuclear Disarmament*). Dla większości Polaków — neutralizm i rozbrojenie atomowe to są manifestacje negatywnych uczuć, przejaw ślepoty politycznej, tchórzostwa i oczywiście fellow-travellerstwa. Dla nas bomba atomowa nigdy nie była problemem moralnym. Bronie nuklearne mieszczą się znakomicie zarówno w naszym katolicyzmie jak i w naszym nacjonalizmie. Byliśmy zawsze nacjonalistycznymi katolikami a nie katolickimi nacjonalistami.

Problem moralny jest autentyczny — choć odpowiedź angielska w naszym zrozumieniu jest błędna. Można (a nawet należy) nie zgadzać się z proponowaną odpowiedzią, ale nie wolno negować problemu moralnego. Nie wszystkim bowiem nienawiść do Sowietów zastąpić może etykę i normy moralne.

Zagadnienie nie jest nowe. C.P. Snow w swojej powieści pt. ,,New Men'', która stanowi jeden z tomów wielkiego cyklu powieściowego — (,,*Strangers and Brothers*'') — opisuje narodziny tego problemu. W czasie ubiegłej wojny w Anglii grupa uczonych pracowała nad wyprodukowaniem pierwszej bomby atomowej. Chodziło o to, by ubiec Niemców, którzy, jak się wówczas wydawało — byli bliscy ostatecznego rezultatu. Uczeni pracujący w absolutnej tajemnicy i izolacji zdawali sobie sprawę, że wyprodukowanie bomby atomowej jest już tylko kwestią czasu i pieniędzy. Snow opisuje dyskusję nad zupełnie nowym i bez precedensu problemem etycznym, który zaciążył nad ludzkim sumieniem od pierwszych dni ery atomowej. Fizycy byli tymi, którzy w przeciwieństwie do polityków w pełni zdawali sobie sprawę ku czemu zmierzamy. Bomby zrzucone na Hiroshimę i Nagasaki przemieniły teoretyczne rozważania w problem aktualny i praktyczny. Już wówczas byli w Anglii atomowi neutraliści. Martin Eliot — czołowa postać powieści ,,New Men'' — rezygnuje z świetnej posady w zakładach atomowych i wraca na skromne stanowisko i jeszcze skromniejszą pensję do Cambridge, by się poświęcić ,,czystej nauce''. A Martin Eliot nie był bynajmniej przewrażliwionym intelektualistą. Wyszedł z biedy, wszystko zawdzięczał sobie i swojemu niezmiernie realistycznemu i praktycznemu umysłowi.

Nie brakło jednak reakcji odmiennych. Wielu uczonych pozostało w zakładach atomowych wierząc, że na tej drodze zapewnią sobie wpływ na przyszłą politykę atomową Wielkiej Brytanii.

Brytyjczycy, którzy popierają CND — czynią to z różnych przyczyn (sympatii pro-komunistycznych nie wyłączając). Ale niewątpliwie argument moralny stanowi jeden z najsilniejszych motywów zwłaszcza w kołach intelektualnych. Zwolennicy tego poglądu sądzą, że Anglia powinna podjąć moralną krucjatę przeciwko broniom nuklearnym — tak jak niegdyś podjęła krucjatę przeciwko niewolnictwu i handlowi niewolnikami. Moralny gest Anglii w sprawie niewolnictwa wstrząsnął sumieniem świata i przyniósł pozytywne rezultaty. Analogicznie w sytuacji obecnej, jeżeli Anglia jednostronnie wyrzeknie się baz i broni atomowej — skupi wokół siebie państwa neutralne, które pod jej przewodnictwem utworzą potężny blok pokojowy dysponujący większością głosów w ONZ. Na tej drodze Anglia — by użyć słów Sir Stephen King-Hall — przestanie być wielkim mocarstwem, ale stanie się wielkim narodem.

Gdyby Sir Stephen był Polakiem lub Węgrem — gdyby dysponował naszym doświadczeniem historycznym — patrzyłby na te sprawy nieco inaczej.

Jakie praktyczne rezultaty przyniósł wspaniały moralny gest węgierskiego powstania? I analogicznie przyjąć można za pewnik, że gdyby w ubiegłym stuleciu nie Anglicy, lecz Węgrzy podjęli krucjatę przeciwko niewolnictwu — ich gest moralny nie przyczyniłby się w niczym do zniesienia niewolnictwa. Węgrzy nie dysponowali bowiem największą flotą wojenną świata

i swojej decyzji moralnej nie mieliby możliwości wcielić w życie.

Prywatny obywatel w społeczeństwie demokratycznym ma zawsze prawo wyboru. W sytuacji bez precedensu może się wycofać i umyć ręce — tak jak postąpił Martin Eliot w powieści C.P. Snow. Ale w ramach polityki światowej „gest moralny" jest proporcjonalny do wagi danego państwa.

Rozumowanie moralistów z CND jest słuszne, tylko ich ocena politycznego statusu Anglii jest wadliwa. Ci panowie mieliby stuprocentową słuszność, gdyby Anglia była największą potęgą atomową świata, przed którą drżałyby wszystkie narody. Ale Wielka Brytania nie jest pierwszym ani nawet drugim atomowym mocarstwem świata.

Gdyby Rosja zdobyła się na taki gest moralny i jednostronnie rozbroiła się atomowo wywarłoby to olbrzymie wrażenie. Ci, którzy sądzą, że Amerykanie mogliby wówczas wysłać Rosji atomowe ultimatum — są w błędzie. Gdyby Sowiety rozbroiły się atomowo i otwarły drzwi dla międzynarodowej kontroli — jednego dnia miałyby opinię całego świata za sobą, Anglii nie wyłączając. Zatrzymując bronie konwencjonalne Rosja byłaby nadal potęgą i równocześnie dysponowałaby moralnym poparciem wszystkich narodów. Ameryka miałaby wówczas do wyboru albo pójść śladem Rosji albo powrócić do całkowitej izolacji. To byłby oczywiście koniec NATO i wszystkich baz amerykańskich. Taki gest ze strony Rosji stanowiłby rewolucję w skali międzynarodowej i kto wie czy nie wróżyłby triumfu komunizmu w bliskiej przyszłości.

Ale Rosjanie nie zdobędą się na taki gest. Przywódcom sowieckim nie zależy na poparciu moralnym ani ich własnego społeczeństwa ani obcych społeczeństw. Inicjatywa tego typu stanowiłaby zaprzeczenie całej tradycji imperializmu tak rosyjskiego jak sowieckiego. Możemy spać spokojnie — triumf komunizmu poprzez moralną krucjatę sowiecką nie jest rzeczą ani prawdopodobną ani realną.

Anglicy, którzy sądzą, że jednostronne rozbrojenie Wielkiej Brytanii byłoby decyzją moralną o światowych konsekwencjach — są megalomanami. Nie widzą międzynarodowej pozycji Anglii w właściwych proporcjach. O ile jednostronne atomowe rozbrojenie Rosji oznaczałoby rewolucyjną zmianę w sytuacji światowej — o tyle analogiczny gest ze strony Anglii oznaczałby tylko dodatkową komplikację. I to wszystko.

Rozbrojenie Wielkiej Brytanii prowadzić by musiało do neutralizmu. Termin „neutralizm" nie schodzi ostatnio z łamów prasy. Codziennie w setkach artykułów słowo to tonie coraz głębiej w morzu wieloznaczności. Wszyscy mówią o neutralizmie choć każdy autor ma co innego na myśli.

Niedawno otrzymałem list od zatroskanego czytelnika, który oskarża „Kulturę" o „szerzenie ideologii neutralizmu" — czemu oczywiście należy się przeciwstawić.

Mówienie o „ideologii neutralizmu" jest nonsensem. Neutralizm jest postawą polityczną państwa czy bloku państw w stosunku do dwóch państw czy dwóch koalicji państw będących w stanie konfliktu. Tam gdzie nie ma konfliktu, względnie sporu — nie ma i neutralności. Gdyby świat był rządzony przez Waszyngton albo przez Moskwę nikt nie mógłby być neutralny i nikt nie miałby powodu do neutralności.

Z powyższej definicji wynika jasno, że polityka neutralizmu nie dla wszystkich jest dostępna i choćby z tego względu nie może być „ideologią". Przyjęcie postawy neutralnej nie może przesądzać wyniku konfliktu — gdyż w takim wypadku mijałoby się z celem. Gdyby Europa kontynentalna wraz z Anglią przyjęły status neutralny — równowaga sił pomiędzy Sowietami a Ameryką zostałaby tak zachwiana, że neutralność byłaby de facto przechyleniem szali na korzyść Rosji i w konsekwencji kapitulacją.

Z tych przyczyn jesteśmy zwolennikami pasa neutralnego w Europie środkowo wschodniej a jesteśmy przeciwnikami neutralizacji Anglii. Zneutralizowanie Polski, Czechosłowacji i Węgier z jednej strony, a Niemiec z drugiej strony — nie naruszyłoby istotnie równowagi sił, a przyczynić by się mogło do ustabilizowania sytuacji w Europie. Neutralizacja Anglii natomiast byłaby jednostronnym poważnym osłabieniem obozu zachodniego — co jest oczywiście sprzeczne z interesami brytyjskimi. Wystąpienie Anglii z NATO i likwidacja baz amerykańskich stanowiłyby bardzo realne przesunięcie w „balance of power" na korzyść Sowietów. A neutralność — jak starałem się to wykazać — nie może w sposób zasadniczy naruszać istniejącej równowagi sił bo inaczej status neutralny traci swój cel i sens. Jeżeli naszą postawą przechylamy wyraźnie szalę na korzyść jednej ze stron w sporze — nie wyłączamy się z konfliktu tylko torujemy drogę do kapitulacji przed stroną, która dzięki naszej postawie neutralnej zyskała przewagę. Z powyższego wynika jasno, że nie dla każdego państwa polityka neutralności jest dostępna. Dla Anglii polityka neutralności jest zarówno niedostępna jak i niecelowa.

W gruncie rzeczy ani lewe ani prawe skrzydło Labour Party nie ma realistycznego poglądu na problem atomowy. W swoim przemówieniu na kongresie Labour Party H. Gaitskell powiedział między innymi: „I think we are agreed that we want to see the emphasis shift from the early use of nuclear weapons, so that if a conflict arose it could be handled conventional forces for a time at least so that a pause could be obtained before the ghastly possibilities of using nuclear weapons arrived".

To jest ukłon pod adresem tych, którzy sądzą, że nacisk należy położyć na bronie konwencjonalne, a nie na strategiczne bronie atomowe. W razie wybuchu konfliktu walczyć należy broniami konwencjonalnymi, a bronie nuklearne traktować wyłącznie jako instrument odwetu w razie gdyby Rosjanie użyli pierwsi bomb nuklearnych.

10-cio megatonowa bomba przemienia 3.250 mil kwadratowych „w powierzchnie nie nadającą się do zamieszkania”. Obszar Anglii wynosi nieco ponad 58.000 mil kwadratowych. Tuzin bomb wystarczyłby zupełnie do przemienienia wyspy... w powierzchnię nie nadającą się do zamieszkania. Nie byłoby komu nas pogrzebać a cóż dopiero mówić o „odwecie”.

Anglia jest w fatalnej geopolitycznej sytuacji i przed tym faktem nie ma ucieczki. Polityka brytyjska musi więc zmierzać do utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa. Pytanie więc brzmi: która z proponowanych koncepcji zapewnia najwyższy procent bezpieczeństwa.

Analizę tego zagadnienia rozpocząć należy od stwierdzenia, że nie ma w obecnej sytuacji koncepcji, która mogłaby Anglii zapewnić stuprocentowe bezpieczeństwo. Szukanie nieosiągalnego stuprocentowego bezpieczeństwa jest ucieczką od rzeczywistości i prowadzi do atomowego „surrealizmu”. Mieszkańcy Lagos mogą niewątpliwie spać spokojniej niż mieszkańcy Londynu i być może ten stan rzeczy trwać będzie jeszcze dosyć długo.

Skrzydło umiarkowane Labour Party potępia unilateralistów — domaga się jednak zapewnienia, że w razie wybuchu konfliktu siły NATO nie użyją broni nuklearnych pierwsze — to znaczy zrezygnują z broni atomowych jeżeli nie wprowadzą ich do gry Sowiety. Praktycznie rzecz biorąc jest to polityka na równi samobójcza jak jednostronne rozbrojenie. Gdyby dowództwo NATO nie mogło użyć nawet taktycznych broni atomowych jako pierwsze — można przyjąć za absolutnie pewne, że Sowiety podjęłyby próbę podbicia Europy armiami konwencjonalnymi i rezultat operacji jest łatwy do przewidzenia. Dlatego osobiście uważam, że stanowisko unilateralistów jest znacznie bardziej logiczne. Zarówno bowiem koncepcja unilateralistów, jak i koncepcja „umiarkowanych” stanowią zaproszenie do inwazji i torują drogę do okupacji z tą jednak różnicą, że okupacja w wydaniu unilateralistów odbyłaby się bezkrwawo. Jeżeli decydujemy się na okupację, niewątpliwie należy wybrać model bezkrwawy.

Nie rozumuję jako polski emigrant dyszący nienawiścią do Sowietów, lecz rozważam te sprawy jako człowiek osiadły na tej wyspie. Choć nie jestem obywatelem brytyjskim dzielę solidarnie z Brytyjczykami ich los — tak dobry jak i zły. To samo dotyczy całej Polonii brytyjskiej, która nie jest mi obojętna. Innymi słowy rozważam te zagadnienia mając na względzie wyłącznie bezpieczeństwo Anglii.

Rozwiązaniem generalnym byłby prewencyjny, atomowy „knock-out”. Ale to jest rozwiązanie, które właśnie ze względów moralnych nie może być brane pod uwagę. „Knock-out” musiałby być w takiej skali by uniemożliwić Sowietom odwet. Operacja tych wymiarów — jeżeli technicznie jest możliwa — pociągnęłaby za sobą dziesiątki, a może setki milionów ofiar. Nie możemy naszego bezpieczeństwa okupywać śmiercią dziesiątków milionów ludzi, z których 90 % nie żywi do nas żadnych złych zamiarów.

Przyjmujemy zatem, że w żadnym wypadku nie uderzymy pierwsi. Ze względów moralnych rezygnujemy świadomie i otwarcie z największej strategicznej korzyści w wojnie atomowej to znaczy z zaskoczenia. Ale w tym miejscu kropka. Każde dalsze ustępstwo nie ma już nic wspólnego z moralnością i jest zwykłym kapitulanctwem.

Czasem kapitulacja jest jedyną rozsądną polityką ratującą przed zagładą. Japonia postąpiła rozsądnie i celowo kapitulując po zbombardowaniu Hiroszimy i Nagasaki. Zaoszczędziła sobie bowiem dalszych atomowych bombardowań. Bertrand Russell jeden z czołowych przywódców CND — oświadczył swego czasu, że mając do wyboru sowiecką okupację lub wojnę atomową — należy wybrać okupację. Absurdalność tego stwierdzenia jest oczywista — nie wybieramy bowiem między wojną a okupacją. Z koncepcji polityczno-strategicznych wybrać natomiast musimy koncepcję, która w maksymalny sposób (w ramach istniejących możliwości) byłaby zdolna ochronić nas zarówno przed wojną, jak i przed okupacją.

Obrona jest jedyną „ideologią" Zachodu. Jest jedyną płaszczyzną, na której można zjednoczyć 80 % mieszkańców zachodniego świata. Kapitulanci i krypto-kapitulanci stanowią głośną, ale nieliczną mniejszość. „Daily Mail Gallup Poll" — przeprowadzony po katastrofalnej konferencji w Scarborough — wykazał, że tylko 28 % społeczeństwa brytyjskiego popiera obecnie Labour Party. Kilkanaście miesięcy temu jeszcze niemal połowa Brytyjczyków opowiadała się za Labour Party — dziś jedna czwarta. Cyfra zwolenników Labour Party maleje nie z miesiąca na miesiąc, ale z tygodnia na tydzień.

Doktryna totalnej obrony — tj. wszystkimi rozporządzalnymi środkami moralnie jest kryształowo czysta. Ci którzy głoszą, że moralnie usprawiedliwiona jest tylko obrona broniami konwencjonalnymi — w gruncie rzeczy rezygnują w ogóle z jakiejkolwiek obrony, bo jest bezspornie oczywiste, że ani Europa kontynentalna ani Anglia nie są w możności obronić się broniami konwencjonalnymi przed otwartą w pełnej skali agresją sowiecką.

Niestety amerykańska polityka atomowa pozostawia również niezmiernie wiele do życzenia. Krytycy gen. de Gaulle zapominają o tym, że Waszyngton nigdy nie stwierdził autorytatywnie, iż sojusznicy zachodni winni zrezygnować z produkcji własnych broni atomowych i oprzeć się na „deterrent" amerykańskim. Ale „oprzeć się" musiałoby oznaczać mieć udział w decyzji. Karabin nie jest żadną obroną jeżeli skrzynie z amunicją trzyma pod kluczem ktoś inny. W takiej sytuacji można być narażonym na odwet sowiecki za lot zwiadowczy podjęty z bazy amerykańskiej, ale nie ma się absolutnie pewności czy w godzinę „O" z tejże bazy amerykańskiej zostanie podjęty odwet atomowy przeciwko Sowietom. Lecz to jest kompleks zagadnień, które wybiegają poza ramy niniejszego artykułu.

Zbrojenia i wola obrony prowadzić mogą (zależnie od polityki sowieckiej) albo do wojny albo do układu rozbrojeniowego. Rozbrojenie jednostronne prowadzić może tylko do kapitulacji a nie do układu rozbrojeniowego.

Problem obrony nie nadaje się do kompromisu. Nie można być w NATO i nie być w NATO. Nie można mieć broni nuklearnych i nie mieć broni nuklearnych. I dlatego w moim przekonaniu jedynym wyjściem dla lewicy brytyjskiej byłby rozłam.

Labour Party była zawsze koalicją różnych ugrupowań. W ramach partii ścierały się często skrajne poglądy co stanowiło źródło dynamizmu i intelektualnego bogactwa. W imię instynktu jedności można łączyć formą kompromisu skrajne poglądy, które jednak w istocie swej nie są ze sobą sprzeczne. Lecz w sprawie obrony prawdziwy kompromis jest nieosiągalny ponieważ walczą ze sobą nie dwa skrajne poglądy, lecz dwa antagonistycznie sprzeczne poglądy. Pytanie więc brzmi — czy jest lepiej mieć dwie partie lewicowe w ramach jednej Labour Party czy mieć dwie Labour Party. Osobiście uważam, że jest lepiej mieć dwie Labour Party o jasno określonych celach i poglądach.

Centralnym problemem naszej epoki nie jest ani socjalizacja gospodarki, ani społeczeństwo bezklasowe, ani ,,welfare state'' — lecz kontrola atomowa i układ rozbrojeniowy. Ustalenie pokoju i bezpieczeństwa jest zagadnieniem, które w świadomości mas ludzkich góruje nad wszystkimi innymi sprawami.

Lewica europejska, a w szczególności Labour Party jako największa spośród partii socjalistycznych — były szczególnie powołane do odegrania czołowej roli w budowie trwałego pokoju. Partie socjalistyczne są niesplamione kolonializmem i z definicji swojej ideologii są za równouprawnieniem rasowym i niepodległością. Socjaliści europejscy mieliby szansę skupienia wokół programu budowy pokoju wszystkich państw neutralnych i niezaangażowanych. Mieliby możliwość zmobilizowania neutralistów w aktywny blok, który mógłby wywrzeć decydujący wpływ w ONZ na rzecz rozbrojenia. Mogliby ofiarować światu coś znacznie więcej niż archaiczne recepty gospodarczo-społeczne sprzed 40 laty — gdyby mieli program, cel i poczucie kierunku.

Niepokojący jest brak poczucia kierunku wśród tzw. postępowych intelektualistów. W Anglii wybitni intelektualiści domagają się jednostronnego rozbrojenia atomowego — we Francji 121 intelektualistów nawołuje do dezercji. Należy rozwiązać zarówno problem zbrojeń atomowych jak i problem wojny w Algierii — ale nie poprzez proklamowanie anarchii. Protest nie zawsze jest aktem moralnego heroizmu. Czasem jest tylko gestem przysłaniającym moralny chaos.

Lewica europejska rozkłada się od głowy. Francuscy intelektualiści chcieliby zachować państwowe posady i równocześnie nawoływać do dezercji. Polscy intelektualiści w Kraju chcieliby zachować wszystkie przywileje oferowane im przez partię i ustrój i równocześnie być w opozycji. Brytyjscy intelektualiści chcie-

liby zachować ,,British way of Life'' bojkotując zarówno wysiłek jak i ryzyko obrony.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest rozpad i topnienie europejskiego socjalizmu. Socjalizm europejski zawiódł w chwili kiedy otwierały się przed nim doniosłe perspektywy. Państwa neutralne, których pozycja międzynarodowa rośnie — są w poszukiwaniu programu i ,,leadera''. Lewica europejska gdyby była zjednoczona wokół programu budowy nowego systemu międzynarodowego — miałaby szanse pociągnięcia za sobą bloku państw neutralnych.

Kryzys lewicy jest kryzysem intelektualistów. Jak niezmiernie słusznie zauważył John Strachey — wielu byłych komunistów uważało komunizm za najwyższy przejaw racjonalizmu. W konsekwencji przez odrzucenie komunizmu rozumieli również odrzucenia racjonalizmu.

Koestler w swych esejach wprowadził bliżej nieokreślony ,,Oceanic sense'' — jako termin określający mistyczne doznanie. Chambers sądzi, że odrzucenie komunizmu jest równoznaczne z akceptacją czynnika nadprzyrodzonego.

Innymi słowy racjonalizm należy odrzucić ponieważ doprowadzony do swych logicznych konsekwencji zaprowadzić by nas musiał do komunistycznego millennium. To ,,bankructwo'' racjonalizmu zaciążyło fatalnie na ewolucji lewicowej myśli europejskiej. Jeżeli skończył się racjonalizm to skończył się i jego pierworodny syn — zachodni socjalizm. Nie można mieć socjalizmu bez racjonalizmu.

Niewątpliwie obserwujemy bankructwo pewnych racjonalistów. Ale intelektualnie bankrutują tylko ci racjonaliści, którzy od racjonalizmu odeszli. To samo dotyczy komunizmu. Odejście od racjonalizmu przemieniło komunizm w utopię ponurej anegdoty. ,,Absolutne prawdy'', ,,kult jednostki'', półinteligencka mistyka ,,praw historycznych'' — to jest dżungla nie mająca nic wspólnego już nie tylko z racjonalizmem, ale nawet ze zwykłym zdrowym rozsądkiem. Dlatego komunizm kwitnie w krajach w których racjonalizmu nigdy nie było. Im dany kraj jest bardziej zapóźniony w rozwoju — im wątlejsza jest jego tradycja racjonalistyczna tym podatniejszy stanowi teren dla ,,nowej wiary''.

Fałszywym mistykom komunizmu, zachodnim katastrofistom od Spenglera po Huxley'a, moralistom doradzającym jednostronne rozbrojenie, intelektualnym anarchistom nawołującym do dezercji — przeciwstawić musimy chłodny, zrównoważony racjonalizm. Tylko racjonalizm może nas uratować zarówno przed komunizmem jak i przed koszmarem ,,Nowego Wspaniałego Świata''. Racjonalizm jest fundamentem humanizmu, a bez humanizmu nie ma ani cywilizacji ani religii, ani życia, którego warto byłoby bronić.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

TEMAT ODWIECZNY

Czy jesteśmy emigracją zarobkową — czy polityczną? Ilekroć w prasie krajowej ukaże się artykuł pomawiający nas o zarobkowość — natychmiast w polskim Londynie pojawia się fala protestów.

Wiem od dziennikarzy krajowych, że od lipca br. nie wolno pochwalić żadnej książki wydanej na emigracji. Jeżeli cytuje się w odsyłaczu książkę wydaną na emigracji — cenzura skreśla miejsce wydania. Nie wiadomo wówczas czy książka została wydana w Londynie, w Paryżu czy w Warszawie. W Polsce Ludowej nikt żadnych przepisów nie bierze dosłownie — dzięki czemu i w tej dziedzinie są na szczęście liczne wyjątki.

Ale nie łudźmy się — rodacy krajowi bardzo niechętnie i w rzadkich tylko wypadkach przyznają nam status polityczny.

Przyjeżdża do Londynu młody pisarz niekomunistyczny. Jest to pierwsza jego wizyta na Zachodzie. Jest olśniony wystawami sklepowymi, samochodami, plastykami (dziwna jest owa słabość rodaków do wyrobów z plastyku). W pewnym momencie młody człowiek wyciąga paczkę papierosów „Piast". Zwracam uwagę, że papierosy są nowocześnie opakowane w celofan. Na twarzy mojego rozmówcy pojawia się uśmiech zadowolenia. Zaczyna mnie gorąco zapewniać, że w Polsce jest już wiele celofanów, plastyków, nowoczesnych artykułów estetycznie opakowanych. To jest zdrowa reakcja którą cenię.

Sprawa się komplikuje gdy ją przesuniemy o szczebel wyżej. Polacy do wszystkiego muszą dorabiać „ideologię". Wszystkie ideologie cechuje pryncypialność. Szkielet każdej ideologii przedstawia się następująco: „jeżeli my mamy rację to znaczy, że wszyscy inni nie mają racji. Jeżeli tylko my mamy rację to znaczy, że za nami jest moralność, legalizm, tysiąc lat Historii Polski i Pan Bóg".

Istnieją w Londynie ugrupowania, które rozumują dokładnie podług powyższego schematu. Według ich opinii w karygodnych błędach trwają komuniści, paxowcy, „Tygodnik Powszechny", August Zaleski, „Kultura", Londyńczyk, Kisiel, „Kontynenty" i „Współczesność" z Jerzym Sito. Nie dość być Polakiem, katolikiem i piłsudczykiem. Trzeba być piłsudczykiem specjalnej maści. Bo jak wiadomo są i piłsudczycy nieregularni.

Ci panowie nasze cechy narodowe doprowadzili do karykaturalnej doskonałości. Ale my wszyscy w pewnej mierze jesteśmy do nich trochę podobni.

Przed kilku laty jeden z moich kuzynów, mieszkający stale w Polsce, odwiedził Londyn. Wielogodzinną rozmowę — dobrze zakropioną — mój gość (raczej już dość sfatygowany) zakończył następującym wyznaniem: „Nie przekonasz mnie, że emigracja ma jakiś sens. Bo gdybyś mnie przekonał musiałbym wybrać wolność, a tego zrobić nie mogę".

W tej rozpaczliwie naiwnej wypowiedzi jest wszystko. Mój kuzyn mieszkając w Kraju pragnie mieć przekonanie, że postępuje słusznie, etycznie, patriotycznie i w zgodzie z historią i tradycją. By się upewnić w tym przekonaniu konieczny mu jest argument negatywny — to znaczy stwierdzenie że każde inne rozwiązanie jest fałszywe. Życie nad Wisłą jest rzeczą chwalebną tylko dlatego ponieważ życie nad Tamizą jest rzeczą zdrożną. Gdybyśmy wysunęli teorię, że życie nad Tamizą może również być chwalebne — rzucilibyśmy cień na Wisłę i wprowadzilibyśmy do naszego rozumowania relatywizm, który jest czymś wstrętnym dla pryncypialnej duszy polskiej.

Jeszcze inaczej na te sprawy zapatrują się literaci. Jeżeli kochany pan X grzmi, że ,,Kultura'' jest bez sensu a cała emigracja to banda nieszkodliwych pomyleńców — oznacza to ponad wszelką wątpliwość, że jest byczo. Honoraria wpływają, książki wychodzą, z cenzurą życie się jakoś układa. Bywa jednak, że kochany pan X zmienia nagle opinię i głosi, że ,,Kultura'' jest najlepszym polskim pismem na świecie. Co to oznacza? Oznacza to w 99 wypadkach na 100 — że kochanemu panu X cenzura odrzuciła ważną książkę.

Czy pan X jest cynikiem? Ach, nie — *he is only human* — jakby powiedział Anglik. W ,,Farmie Zwierzęcej'' wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze od innych. Podobnie wszyscy jesteśmy *human* ale literaci niewątpliwie są bardziej *human* niż wszyscy inni.

Nasi rodacy w Kraju w 95 % są przeciwnikami komunizmu. Politycznie nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy Polakami na emigracji a pomiędzy Polakami w Kraju. Polityczne emigracje reprezentują zwykle mniejszość. Tak było zarówno z Leninem jak i z białą carską emigracją rosyjską. Ci emigranci rosyjscy, którzy podtrzymują wiernie carską tradycję z całą pewnością nie dysponują poparciem większości narodu rosyjskiego. Podobnie Lenin-emigrant i jego polityczni towarzysze nie mieli za sobą większości swego narodu.

Nasza sytuacja jako emigracji jest nietypowa ponieważ politycznie reprezentujemy *znakomitą większość* naszego narodu. Możemy się różnić w orientacjach, w poglądach czy programach — ale negatywny stosunek do komunizmu charakteryzuje większość Polaków tak w Kraju jak i zagranicą.

Z politycznego i socjologicznego punktu widzenia niepomiernie normalniejszą byłaby sytuacja odwrotna od obecnej. Na emigracji winni przebywać polscy komuniści reprezentując mniejszość, a my reprezentując większość powinniśmy siedzieć spokojnie w Warszawie. I tak z całą pewnością sprawy by się ułożyły, gdyby nasi komuniści byli skazani na prawdziwą rewolucję. Ale los im tego zaoszczędził. Poparcie większości zastąpili poparciem Sowietów i akt przemocy przemianowali na rewolucję. I w rezultacie sytuacja komunistów w Polsce jest również absurdalna jak nasz pobyt na Zachodzie. Komuniści stanowiący minimalną mniejszość rządzą — a my należąc do przytłaczającej większości — przebywamy zagranicą.

Sytuacje absurdalne niekiedy utrzymują się długo, a czasem bardzo długo. Ale nigdy nie wykazują cech trwałości. W procesie historycznym na dalszą metę nie można opierać się na fałszach. Rozumieli to wszyscy wielcy inżynierowie Historii. Stalin posługiwał się fałszem, ale nie ufał tej metodzie. Wolał operować faktami dokonanymi — czystkami i ludobójstwem. Od egzekucji nie ma odwołania — fałsz zawsze domaga się rewizji.

Fakt, że emigracja myśli i czuje identycznie jak 95 % narodu polskiego — stanowi źródło zarówno naszej siły jak i słabości. Nasz program jest tak oczywisty w swojej słuszności, że nie budzi sprzeciwu a bez sprzeciwu nie ma dynamiki. Gdyby komuniści w Polsce mieli za sobą przynajmniej 50 % społeczeństwa — dynamika emigracji jako siły politycznej byłaby niepomiernie większa. Wówczas musielibyśmy walczyć a tak wyżywamy się w werbalizmie antykomunistycznym starając się przekonywać przekonanych.

W Polsce nie było rewolucji i dlatego nie może być mowy o żadnej kontr-rewolucji. Komunizm polski jest uwarunkowany sytuacją zewnętrzną. W moim przekonaniu każdy ideowy polski komunista winien uważać to za nieszczęście. Gdyby Rosja była mocarstwem kapitalistycznym, a Stany Zjednoczone mocarstwem komunistycznym — perspektywy polskiego komunizmu byłyby korzystniejsze. Rozpatrywalibyśmy wówczas komunizm jako ideologię, a nie jako geopolitykę. Ale to jeszcze nie wszystko. W takiej sytuacji geopolityka grałaby istotnie na korzyść ideologii. Sympatie prokomunistyczne byłyby manifestacją antyrosyjską i niepodległościową. W takiej sytuacji — śmiesznie pomyśleć — nasi dzisiejsi ,,niezłomni'' byliby prawdopodobnie fellow-travellerami.

Jeżeli przez ,,polityczność'' rozumieć kontr-rewolucyjność to nie jesteśmy emigracją polityczną. Komunizmu w sensie ideologicznym nikt na emigracji nie traktuje za polski problem wewnętrzny. Przyjmujemy za pewnik, że zmiana uwarunkowania zewnętrznego wystarczyłaby zupełnie, by komunizm w Polsce upadł bez kontr-rewolucji.

Kim więc jesteśmy? Jesteśmy emigracją antykolonialną. Podobnie jak emigranci i polityczni zbiegowie z krajów afro-azjatyckich walczymy o przywrócenie naszej ojczyźnie minimum niezbędnej wolności. Krótko — domagamy się równouprawnienia białych z czarnymi.

Gdybym był politykiem i działaczem emigracyjnym — uważałbym, że należy szukać jak najbliższego porozumienia z blokiem państw afro-azjatyckich. Ponieważ większość przywódców tych państw pragnie zachować pozycję neutralną w ideologicznym konflikcie Wschód-Zachód — należy to uszanować. My również bylibyśmy neutralni, gdybyśmy po temu mieli możliwości.

Jeżeli nasi działacze podejdą do tej sprawy w roli zawodowych antykomunistycznych propagandystów na pensjach amerykańskich — inicjatywa spali na panewce. Do afro-azjatów należy podejść we własnym imieniu a nie ,,z ramienia'' takiej czy innej propagandowej instytucji. Należy tym przywódcom powiedzieć, że uważamy ich za naszych naturalnych sojuszników ponieważ Polska jest dziś w takiej sytuacji, w jakiej ich kraje były do wczoraj. Kraje kapitalistyczne nie mają monopolu w dziedzinie kolonializmu. W rzeczywistości Rosjanie górują w tej technice nad Zachodem, podobnie jak i w wielu innych dziedzinach.

Walter Kolarz w jednym ze swych doskonale opracowanych artykułów w ,,The Listener'' zwrócił uwagę na fakt, że pomoc ekonomiczna udzielana szczodrobliwie przez Sowiety krajowe afro-azjatyckiem — przynosi bardzo skąpe polityczne dywidendy. Chińczycy są nawet skłonni uważać, że sowiecka teoria rewolucji jest bez sensu — ponieważ pomoc techniczna i gospodarcza wzmacnia rządy nacjonalistów i niepodległościowców w krajach afro-azjatyckich, a tym samym utrudnia zamiast ułatwiać dojście komuni-

stów do władzy. Tak czy inaczej — wydaje się, że nasz przykład, a w szczególności Węgier — przemawia bardziej przekonywująco niż wszystkie propagandy.

Bez wielkich słów winniśmy się starać wzbudzić wśród przywódców afro-azjatyckich poczucie międzynarodowej solidarności antykolonialnej. Kolonializm należy zwalczać po obu stronach barykady. Jeżeli można być neutralistą zwalczając kolonializm zachodni — to można być również neutralistą zwalczając kolonializm wschodni. Nie angażując się w konflikcie Wschód-Zachód i nie wypowiadając sądu ani o kapitalizmie ani o komunizmie — można i należy zwalczać kolonializm, który jest jeden bez względu na to czy się go stosuje w Azji, w Afryce czy w Europie.

Inteligencja, politycy i przywódcy krajów afro-azjatyckich z całą pewnością zainteresowani są kolonializmem. Nie oznacza to jednak, że interesują się skarbami wawelskimi, Radą Trzech i ACEN. I na pewno inaczej należy z nimi rozmawiać niż z Czang-Kaj-Szekiem.

ORWELLIANA

Utopie (pisze Leszek Kołakowski w październikowych „Polish Perspectives") do początku 20 wieku były optymistyczne i pogodne. Od Thomasa More po Jules Verne'a i Wellsa. Natomiast nasza epoka specjalizuje się w utopiach negatywnych: Spengler, Huxley, Orwell, Zamiatin. Cechą owych utopii — według Kołakowskiego — jest pogląd, że wszystkie wartości do tej pory wysoko cenione przez humanistów skazane są przez Historię na zagładę.

Do pewnego stopnia istotnie tak jest. Ale z jednym ważnym wyjątkiem. Utopia Orwella nie stanowi potępienia wartości, które ceniliśmy do tej pory. Wprost przeciwnie, przestrzega nas przed katastrofą, która grozi nam, jeżeli te wartości porzucimy. Tym różni się Orwell od wszystkich utopijnych negatywistów naszej epoki.

„Rok 1984" odmalowuje świat, w którym pogrzebano racjonalizm i zastąpiono go mistyką władzy. W utopii orwellowskiej totalna władza jest nie tylko celem sama w sobie — ale i jedynym celem. Historia — ów bożek marksistów — została całkowicie zdemaskowana. Orwell pokazał jak historię można nakręcać i wiecznie fałszować jeżeli dysponuje się totalną władzą. Pomiędzy dyktaturą a racjonalizmem istnieje podstawowy konflikt. Absolutną władzę można uzasadnić tylko poza-racjonalnymi argumentami. W „Roku 1984" partia walczy z każdym przejawem racjonalizmu i stawia sobie za cel wychowanie nowego pokolenia w pojęciowym analfabetyźmie. Narzucenie nowego języka ma w dalszej perspektywie doprowadzić do re-prymitywizacji umysłowej. Innymi słowy celem partii jest wykorzenienie w ludziach zdolności posługiwania się rozumem.

Orwell nie odpowiada na pytanie: do czego doprowadzi nas racjonalizm? Orwell odpowiada na pytanie do czego doprowadzić nas musi porzucenie racjonalizmu. Komunizm dla Orwella nie jest racjonalizmem doprowadzonym do logicznej konsekwencji — lecz przeciwnie wypaczeniem racjonalizmu.

Niedawno utworzono w Londynie „George Orwell Archive Trust", który zajmie się redakcją i wydaniem niepublikowanych materiałów pozo-

stałych po wielkim pisarzu. Niestety Orwell nie był świadom wartości swoich manuskryptów i po wydrukowaniu danego utworu oryginał wrzucał do kominka. Uratowaną z pogromu partię manuskryptów „1984" — wdowa po pisarzu, p. Pitt-Rivers, sprzedała na cele dobroczynne.

Wśród papierów „Orwell Archive Trust" znajduje się również list Aldous'a Huxley'a, w którym starał się on przekonać Orwella, że świat zmierza raczej ku utopii „Brave New World", a nie do widma „1984".

Na szczęście jesteśmy dość daleko tak od pierwszej wersji katastrofy, jak i od drugiej. Ale gdy w czasie 15 sesji ONZ usłyszałem w radio przemówienie Chruszczowa, w którym groził powołaniem do życia nowej organizacji narodów zjednoczonych — zdałem sobie nagle sprawę, że premier sowiecki jest o krok od zrealizowania jednej z utopii. Zacząłem wertować dzieła katastrofistów i znalazłem to czego szukałem. Chruszczow groził utworzeniem organizacji, która istniała już w „The Age of Longing" Koestlera i nosiła nazwę „Commonwealth of Freedom Loving People".

O KSIĄŻKACH NIENAPISANYCH I NAPISANYCH

I

Przed kilku dniami w jednym z londyńskich dzienników — w artykule nawołującym do wzmożenia ofensywy eksportowej — natknąłem się na następującą uwagę: „Jeżeli któraś z naszych firm wykazuje dynamizm i przedsiębiorczość to można przyjąć za pewne, że na jej czele stoi albo Amerykanin albo uchodźca (*refugee*).

Tak pomału zaczyna gruntować się w świadomości brytyjskiej przekonanie, że fala powojennych uchodźców wywarła wielki wpływ na całokształt życia brytyjskiego.

Czytając w maszynopisie niezmiernie interesującą książkę Czaykowskiego i Sulika o Polakach w Wielkiej Brytanii, która w niedługim czasie ukaże się w ramach „Biblioteki Kultury", — przyszło mi na myśl, że autorzy powinni wejść w spółkę z dwoma młodymi socjologami angielskimi i zobrazować wpływ, jaki na formację życia brytyjskiego wywarli emigranci z kontynentu. To mogłaby być pasjonująca książka.

Postęp europeizacji Anglii przybrał w ostatnich dziesięciu latach tempo katastrofalne. Doszło do tego, że wśród obcokrajowców z dawna tu osiadłych — budzić się zaczyna nostalgiczny konserwatyzm. Mnie osobiście irytują wszystkie pomylone zamachy na „stopy", „jardy" czy poczciwe „pinty". Każdy wie co to jest „pinta" piwa — po co to zmieniać na jakieś litry. W dniu, w którym funt angielski liczył będzie oficjalnie 100 centów czy 100 pensów — spakuję manatki i wyemigruję do Norwegii. Tam nic się nie zmienia, ludzie cenią tradycję i ta sama partia sprawuje łagodne rządy od 27 lat.

Nie ma co ukrywać — staroświecka Anglia, jaką pamiętamy z zamierzchłych lat 40-tych — odchodzi w przeszłość. Pamiętam Londyn z setką tramwajów i jednym gatunkiem sera we wszystkich sklepach. Dziś w sklepach londyńskich są setki gatunków serów, ale na ulicach nie ma ani jednego tramwaju.

Zmienili się również nasi gospodarze — zwłaszcza młode pokolenie. Byłoby rzeczą ciekawą uchwycić w serii dokumentacyjnych reportaży, popartych socjologiczną analizą, owe przemiany ze szczególnym uwzględnieniem wpływów emigracji z kontynentu. Polacy stanowią w Anglii największą obcą grupę narodowościową i z całą pewnością odgrywają znaczną rolę w procesie tej ewolucji. Pomysł tej interesującej pracy odstępuję Czaykowskiemu i Sulikowi — gratis i franco.

II

Gdy w jesieni br. opracowywałem moją książkę niemiecką nie miałem złudzeń, że przez adresatów przyjęta zostanie jak najgorzej. Ale wiem z własnego doświadczenia, że nie zawsze książki, które były dobrze przyjęte, o których czytałem pochlebne recenzje i które sam chwaliłem wywarły na mnie poważniejszy wpływ. Nieraz książka, która budzi nie tylko sprzeciw, ale i oburzenie przyczynia się w istotny sposób do rewizji panującego poglądu. Osobiście uważałem, że neutralizm jest w Niemczech definitywnie pogrzebany i właśnie dlatego należy o nim pisać. Gdyby 80 % Niemców wypowiadało się za polityką neutralizmu — nie byłoby najmniejszego powodu wydawać na ten temat książek.

A jednak — pomyliłem się. W końcu października br. w Niemczech zachodnich ogłoszono apel podpisany przez kilkadziesiąt osób (w tym wiele głośnych nazwisk) nawołujący do utworzenia anty-atomowej, neutralistycznej partii politycznej. Powyższy apel podpisali pastor Niemoeller, znany neutralista niemiecki dr Hermann Etzel, czołowy działacz anty-atomowy prof. Gollwitzer, dr R. Scholl (którego syn i córka należeli do antyhitlerowskiej „Białej Róży"), spiskowiec antyhitlerowski Hans von Stauffenberg i wielu innych.

Jak wiadomo w Niemczech zachodnich istniały już dwie partie neutralistyczne. Żadna z nich nie zdobyła masowego poparcia. To jest trzecia inicjatywa po tej linii, która w pewnej mierze ma przed sobą korzystniejsze perspektywy rozwoju. Jest bowiem prawdopodobne, że nowy ruch neutralistyczny zagarnie pod swe skrzydła tych socjal-demokratów, którzy pozostali przeciwnikami atomowego zbrojenia Niemiec i udziału NRD w NATO.

Jest zbyt wcześnie by wypowiadać ostateczny sąd w tej sprawie. Jednak pewne nazwiska pod cytowanym apelem budzić mogą niepokój.

Przed trzema miesiącami w artykule pt. „Podstawy polityki neutralizmu" wyraziłem pogląd, że Ameryka musi zacząć grać kartą neutralizmu albowiem w przeciwnym wypadku atut ten w całości wygrają Sowiety. Neutralizm nie tylko nie musi być antyamerykański, ale nie powinien być antyamerykański. Dopóki jednak w Waszyngtonie obowiązywać będzie bezsensowna doktryna Dullesa — neutraliści z mocy oficjalnej amerykańskiej definicji będą antyamerykańscy, a więc automatycznie pro-sowieccy.

Amerykanie zainteresowani są w udziale Niemiec w NATO. To jest zrozumiałe w obecnej sytuacji. Ale bazy i NATO nie mogą stanowić ani w Niemczech ani gdziekolwiek indziej jedynego i wyłącznego sprawdzianu pro-zachodniej orientacji. Jeżeli Niemcy miałyby kiedyś w przyszłości przy-

jąć status neutralny — w znacznej mierze zależeć będzie od polityki amerykańskiej co owa neutralność naprawdę będzie oznaczać.

Geopolityczna sytuacja Niemiec jest całkowicie inna niż Ameryki i można przyjąć za prawdopodobne, że jeżeli nasilenie potencjałów broni nuklearnych po obu stronach będzie rosło, a równocześnie perspektywy układu rozbrojeniowego będą maleć — koncepcja neutralizmu zyskiwać będzie na popularności. Byłoby wówczas wielkim błędem ze strony Ameryki ową falę neutralizmu niemieckiego skierować na młyn sowiecki.

LONDYŃCZYK

Pięta achillesowa ZSSR

W sprawozdaniu z sesji ONZ w New Jorku wysunęłam tezę, że Chruszczow podejmując frontalny atak w sprawie kolonializmu wstąpił na śliską drogę. Problem, jaki poruszam obecnie, jest tylko fragmentem ogólnego zagadnienia kolonialnego i jego reperkursyj w odniesieniu do Związku Sowieckiego, ale fragmentem bardzo ważnym.

Na Zachodzie, a tym bardziej w krajach afro-azjatyckich przemilczano fakt, że przemówienie premiera Kanady Johna Diefenbakera, które wygłosił dnia 26 września w czasie generalnej debaty ONZ w Nowym Jorku, odbiło się niezwykle silnym echem na Ukrainie. Jeśli chodzi o Zachód, to fakt że sprawie, o której piszę, nie poświęcono należytej uwagi, wiąże się z tym bardzo prostym zjawiskiem, że akredytowani w Moskwie dyplomaci i korespondenci posługują się z reguły pismami centralnymi, w których wydarzenia z rozmaitych części kolonialnego imperium Sowietów bywają często przemilczane.

Ktoś, kto analizując rozwój sytuacji w Związku Sowieckim, posługuje się wyłącznie ,,Prawdą'' i ,,Izwiestiami'', nie może oczywiście wiedzieć, że przemówienie premiera Kanady, a ściślej mówiąc jedno jedyne wypowiedziane przez niego zdanie, wywołało na Ukrainie Sowieckiej lawinę artykułów, komentarzy radiowych, wieców protestacyjnych i rozmaitych innych reakcji.

Diefenbaker, w swojej replice na antykolonialne tyrady Chruszczowa, powiedział, że Ukraińcy nie mogą korzystać z prawa do samostanowienia, czym oczywiście dotknął najbardziej newralgicznego miejsca w sowieckim systemie. Już w Nowym Jorku opowiadano w kołach dziennikarskich, że po wystąpieniu polityka kanadyjskiego wśród delegacji sowieckiej nastąpiła konsternacja.

Działająca w Monachium radiostacja amerykańska ,,Liberty'', w ramach polityki wschodniej Stanów Zjednoczonych nadająca programy dla

narodów ZSSR, poświęciła wypowiedzi Diefenbakera wiele audycji, które najwidoczniej dotarły do Ukraińców. Reżym sowiecki musiał więc zorganizować kontrofensywę: Najpierw w ONZ wystąpił Pidhornyj, szef delegacji ukraińskiej. Mówił on zresztą nie po rosyjsku, a po ukraińsku. Pidhornyj jest Pidhornym tylko na Ukrainie, a w Rosji Sowieckiej i w innych republikach czy w państwach satelickich używa się w stosunku do niego nazwiska Podgornyj, stąd też powstało wśród Ukraińców zagranicą, a później i na Ukrainie Sowieckiej, podejrzenie, że jest to Rosjanin. Z tego względu szef delegacji ukraińskiej wygłosił mowę w najczystszym języku kijowsko-połtawskim, a na Ukrainie ,,zglajchszaltowana'' prasa zrobiła z tego wydarzenie o wadze historycznej. W swoim przemówieniu Mykoła Pidhornyj prawie półgodzinny wykład poświęcił jednemu zdaniu, które Diefenbaker użył w odniesieniu do sprawy ukraińskiej. Nie odważył się jednak na rzeczową dyskusję w dziedzinie państwowoprawnej, a zadowolił się frazesem, że ,,Ukraińska Radziecka Republika Socjalistyczna jest wolnym i pełnoprawnym członkiem potężnej wspólnoty republik radzieckich i że my nie potrzebujemy ani pomocy ani pieczy ze strony samozwańczych opiekunów''.

W kilka dni po tym przemówieniu, począwszy od 6 października, na Ukrainie rozlała się potężną falą akcja propagandowa, której celem było zadokumentowanie, że oświadczenie Diefenbakera jest pozbawione wszelkich przesłanek. Zmobilizowano prasę kijowską i prowincjonalną, puszczono w ruch machinę radiową rozgłośni kijowskiej oraz stacji lokalnych od Dniepropetrowska po Lwów i Użhorod. Takiego szału propagandy Ukraina już dawno nie widziała. Wypowiedź Diefenbakera wystarczyła, aby poderwać na nogi cały aparat propagandowy podległy KC Komunistycznej Partii Sowieckiej Ukrainy. Na łamach pism ukazały się niewybredne kalambury ze sławetnym listem Zaporożców do sułtana. Opublikowano karykatury przedstawiające premiera Kanady w roli sługusa amerykańskich koncernów zbrojeniowych. Autorzy wspominali o bohaterskiej walce narodu ukraińskiego przeciwko sułtanom tureckim i ,,polskim magnatom'', ale na wysunięcie argumentu o walce przeciwko Rosji carskiej, nie starczyło już oddechu. Zasłużony artysta scen ukraińskich, Hnat Jura, wystąpił z pogróżką, że Ukraina odpowie premierowi kanadyjskiemu na jego oszczerstwa... czym? Cytuję dosłownie ,,następną dekadą literatury i sztuki ukraińskiej w Moskwie''. W tym jednym powiedzeniu kryje się cała głębia kolonialnego stosunku podbitego terytorium do metropolii!

Zabawną historią był wiec kołchoźników dawnej wsi Kozarywka, obecnie kołchozu ,,Sztandar komunizmu'', położonego w pobliżu Czerkasów. Wiec zwołany był przez miejscowego sekretarza partii, Sokoła, a pismo ,,Kołhospne Seło'' zaopatrzyło reportaż swojego specjalnego korespondenta ilustracjami kilkuset, bardzo biednie zresztą ubranych, bab i chłopów, którzy dziękowali Chruszczowowi za opiekę i swobodne życie na własnej roli wykrzykując podobno pod adresem Diefenbakera: ,,Hańba!''. ,,Oszczerstwa!'' ,,Posłać protest łobuzowi!''. ,,Ocknij się pan, panie Diefenbaker'', wołał Artem Piweń. — ,,Jam gospodarz swojej doli całą gębą'', mówił podobno Mykoła Basystyj, a Maria Temczenko oświadczyła: ,,Pomagajmy naszą praca Nikicie Sergiejewiczowi!''. Sekretarz partyjny, Sokoł, zaczął wiec przeciwko premierowi Kanady od tego, że przeczytał prośbę pradziadów dzisiejszych kołchoźników z roku 1860, w której skarżyli się gubernatorowi kijowskiemu na swego pana-niecnotę Adolfa Pruszyńskiego. A od Pruszyń-

skiego do Diefenbakera wiadomo tylko skok przez miedzę, choć przedtem padły jeszcze oskarżenia i na Petlurę i na Piłsudskiego.

Mimochodem warto wspomnieć że, w związku z wystąpieniem premiera Kanady w ONZ, w piśmie ,,Radiańska Kultura" ukazał się paszkwil przeciwko emigracji ukraińskiej, a zwłaszcza jej działalności naukowo-literackiej, pióra Aleksandra Mazurkiewicza. Uważał on za celowe oczernić piękny przykład współpracy polsko-ukraińskiej, jakim było wydanie przez ,,Kulturę" Antologii ,,Rozstrzelane Odrodzenie". Zacytuję w całości jeden ustęp: ,,Niedawno ukazała się, ułożona w Nowym Jorku, przygotowana do druku w Paryżu i wydrukowana w Monachium, ,,Antologia" Ju. Ławrinenki. Ten polityczny recydywista i dywersant literacki, przejąwszy od Ohijenki maskę ,,bezpartyjności" i odpisawszy z ,,Comics'ów" nazwę dzieła, wypełnił go niesłychanymi kłamstwami i karkołomnymi oszczerstwami przeciwko Ukrainie Radzieckiej, przeciw naszemu heroicznemu narodowi i jego wielkiej świątyni — literaturze ukraińskiej. Ten wyrodek chciałby widzieć ,,inne ogólne warunki w ZSRR i na świecie" co jest zuchwałą prowokacją nowej wojny". Mazurkiewicz nie miał nawet odwagi przytoczyć tytułu antologii: ,,Rozstrzelane Odrodzenie", bo zbyt wielu ludzi dowiedziałoby się, że nie o ,,Comics'y" tu chodzi, ale o jedną z największych tragedii w dziejach literatury światowej.

W tym chórze zabrzmiały tylko raz jeden słowa, że z Rosją trzeba iść, bo tego wymaga racja stanu. Otóż pisarz Jurij Zbanaćkyj napisał w odpowiedzi Diefenbakerowi, że sprawa samostanowienia narodu ukraińskiego ,,to sprawa naszego sumienia i naszego rozumu". Z takim stanowiskiem nie musimy się godzić, ale możemy je szanować, możemy z nim polemizować, bo to jest polityka, a nie argumenty Mazurkiewicza.

Po tygodniu wrzawy, kampania tak samo nagle ustała, jak przedtem niespodziewanie wybuchła. Spełniła ona jednak pewną pozytywną rolę, wbrew inicjatorom. Rozbudziła na Ukrainie umysły ludzi, którzy będą się zastanawiali nad takimi zagadnieniami jak kolonializm, suwerenność i równouprawnienie narodów w państwie wielonarodowym. A to jest bardzo cenne.

Bohdan OSADCZUK

Odwiedziny

Więc to jest Polska, mówię do siebie, gdy oglądam przez okno wagonu zielony krajobraz uciekający do tyłu w drodze między Poznaniem a Łodzią. Niedawno po powodzi, więc łąki zalane, lub podmokłe i grząskie. Zapadający się do pół osi wózek chłopski ciągnie się mozolnie po drodze wiodącej w kierunku zamglonego horyzontu. Trochę domków czy chałup, rozrzuconych tu i ówdzie, czym dalej od Poznania tym bardziej po polsku malowniczych. Małe ogródki, dojrzewające jabłka, kwiaty czerwone i żółte za drewnianym parkanem, krowy łaciate czarno białe z oblepionymi gnojem zadami, pasące się przy torze, jakieś dziewczyniątko owinięte chustką i na bosaka drepczące za skrzeczącymi gęsiami. W oddali sznurki wiosek, czasem nowo wybudowany dom różowy od świeżej cegły, a potem lasek olszynowy czy brzozowy i znów łąki zanurzone w wodzie, drogi pokryte kałużami, puste i porzucone.

Zatrzymujemy się po drodze na wszystkich stacjach. Do wagonu 1-ej klasy, w którym jadę, mało kto wsiada, ale 2-ga klasa jest przepełniona i widzę ludzi biegających wzdłuż pociągu w poszukiwaniu wolnych miejsc. Deszcz popaduje, więc niektórzy mają świecące płaszcze plastykowe, kobiety w chustkach na głowach dźwigają koszyki wypełnione jabłkami, pomidorami i bochenkami chleba. Wreszcie i do mojego przedziału wchodzą pasażerowie. Młodzi rodzice z dziewczynką. On pokazuje konduktorowi zniżkę kolejową. Pewno jakiś urzędnik, nauczyciel, może kolejarz. Widzę jak mnie obserwują, trochę nieufnie, trochę ukradkiem. Rozmawiają ze sobą cicho, są bardzo skromnie ubrani, on bez krawata, ona w przydeptanych trepkach, bez pończoch. Twarze zatroskane, bez przelotnego nawet uśmiechu. Wszyscy troje bardzo mizerni.

Takich jak oni można w Polsce spotkać bardzo wielu. Szczególnie na prowincji. Ludzi na głodowych pensjach, którzy nie mogą lub nie umieją dorobić w inny sposób. Ludzi uczci-

wych, mało zaradnych, cicho znoszących niedostatki i trudności życia. Takich na przykład widziałam w inteligenckiej jadłodajni w Łodzi. Trzy sale połączone ze sobą, wszystkie stoliki zajęte i milczący ludzie szybko spożywający obiad. Zapach gotowanej kapusty i parującego deszczu ze starych wyniszczonych ubrań i płaszczy mieszał się z nieuchwytną zmysłami atmosferą ubóstwa i zmęczenia. Rozglądając się po sali widziałam ludzi młodych lub w średnim wieku, o twarzach inteligentnych, lecz jakże pooranych, szarych i zgaszonych. Nikt się nie zaśmiał, nikt z nikim głośniej nie rozmawiał.

W Krakowie zatrzymał mnie tłum wychodzący z kina. Co to za ludzie? Mali, wątli, mizerni i choć młodzi o starych twarzach. — ,,Mieszkańcy i robotnicy Nowej Huty'' — wyjaśniono mi — ,,byli chłopi spod Krakowa. Nawet im się nieźle powodzi, zarabiają od dwóch do trzech tysięcy złotych miesięcznie, ale to pewnie dawna chłopska nędza gnębiąca ich od pokoleń ukształtowała ich w ten sposób. Niestety, teraz gdy mają pieniądze — dużo piją''.

Brak uśmiechu, brak swobodnej, odprężonej wewnętrznie postawy, charakteryzuje większość Polaków. W zachowaniu jest nerwowość, pośpiech, agresywność i bardzo często szorstkość. Odbija się to szczególnie na interesantach we wszelkiego rodzaju urzędach, gdzie pokorna postawa klienta tym bardziej zachęca urzędnika do gburowatego zachowania się.

W Warszawie duży odsetek mieszkańców należy do lepiej sytuowanej kategorii społecznej. Dlatego więcej tam można spotkać wesołości, ożywienia. Nieodłączne kawiarnie, zawsze pełne i zawsze gwarne, są miejscem, w którym nie tylko pije się kawę z ciastkami ale i zaspakaja instynkt towarzyski, potrzebę gadania, błyszczenia dowcipem, snucia marzeń na jawie lub po prostu zabijania czasu. Pod tym względem nic się w Polsce nie zmieniło.

Warszawa jest żywym miastem, czuje się w nim bijące tętno i ludzie na ulicach inaczej wyglądają. Są lepiej, gustowniej ubrani; w nielicznych sklepach wprawne oko kobiece ma szanse wyszukania czegoś ładniejszego i w lepszym gatunku. Są teatry, kina, koncerty, wystawy. A nade wszystko coś się ciągle zmienia, coś nowego powstaje: nowe domy, ulice i całe nowe części miasta. To Warszawiaków interesuje i pochłania. Warszawiacy są tak z tym swoim miastem związani, tak je uważają za cząstkę własnego życia, że rozwijająca się na ich oczach nowa zabudowa daje im poczucie uczestnictwa w tworzeniu historii.

Przy Warszawie inne miasta wydają się biedne i zaniedbane. Taka Łódź dotąd hoduje kocie łby (chociaż ostatnio na pewnych ulicach zamierza się położyć kostkę) i jeszcze nie wszędzie jest w mieście kanalizacja. W Warszawie stare, nigdy nie odnawiane domy, niedobitki nie tak dawnej przeszłości, giną mało zauważone w przepychu nowoczesnych budowli. W Krakowie, Łodzi a nawet w Poznaniu, zniszczone klatki schodowe,

opadający tynk ze ścian domów i zdarta farba z drzwi i framug okiennych stanowią charakterystyczną cechę miasta.

Miasto, które nie rozwijało się razem z narastającymi pokoleniami, i na którym nie pozostało piętno historii jego mieszkańców — czyli miasto wybudowane w całości w krótkim przeciągu czasu, ma zawsze charakter sztucznego tworu, pozbawionego pamięci i osobowości. Nawet jeśli jest pięknie zaplanowane, ozdobione ładną architekturą i wygodne do mieszkania. Nowa Huta nie jest ani dobrze zaplanowana, ani nie posiada ładnych domów i tak zachęca do mieszkania — jak koszary. Plac Centralny, jak dłoń z rozczapierzonymi palcami-ulicami, stanowi olbrzymie półkole, otoczone wielkimi, masywnymi i jakże brzydkimi gmachami. Drugie półkole jest otwarte na łąki, pola i zagrody chłopskie. Po środku placu leży kółko szyn tramwajowych po których zgrzytają koła skręcających wozów. Ani drzewko, ani trawnik nie ozdabia tej wielkiej, otwartej na wszystkie wiatry przestrzeni. Wyloty rozchodzących się od Placu ulic — jednakowo szerokich i jednakowo pustych — gubią się w morzu ciężkiej, żyznej i grząskiej gleby, wśród której jak wyspy wyrastają bloki nowych domów. Dojść do nich można brnąc po kostki w glinie, lub wpław — jeśli deszcz pada. Jest coś niewymownie smutnego i zarazem odrażającego w czysto utylitarnej koncepcji miasta. Jest ono jak olbrzymi dom noclegowy, do którego po pracy schodzą się ludzie typu Gamma i Delta z koszmarnej wizji Huxley'a.

Jakże piękne, przez kontrast, jest Stare Miasto w Warszawie. To nic, że wszystkie domy zostały na nowo wybudowane; zachowały one tę samą wymowę i to samo ciepło jakie im pokolenia i dzieje miasta nadały i wytworzyły. Każdy zaułek, każda kamieniczka, każdy szczegół kutej bramy, komina i framugi okiennej wyraża nie tylko dbałość artystyczną i historyczną, ale i świadczy o uczuciu przywiązania, jakim architekci i budowniczowie musieli darzyć ten stary kawałek Warszawy.

Po pierwszych wrażeniach, jakich dostarcza widok ludzi i miejsc oglądanych, przychodzi pytanie: jakie jest to życie tutaj? Jak ci wszyscy, których się spotyka na ulicy, w tramwaju, w cukierni i w urzędach, pracują, o czym myślą, co czują?...

Myślałam jadąc do Polski, czy będzie między nami jakiś przedział, jakaś obcość, czy długie lata jakie nas oddzieliły nie stworzyły jakiejś tam, choć przecież innej — Żelaznej Kurtyny? Czy będziemy do siebie mówili MY i WY?

W drodze przez Niemcy poznałam bardzo sympatyczną panią, która wracała do Polski z wizyty u brata w Anglii. Dużo mówiła i opowiadała: o trudnościach życia w kraju, o wyzysku, o nieuczciwości i łapownictwie, ale tylko tak długo dopóki ktoś z nas, jadących (a nie powracających do Polski), nie zechciał czegoś od siebie krytycznego na ten temat dorzucić. Natychmiast była reakcja: ,,Wy nie możecie tak mówić. Wy nie rozumiecie. Was tam nie było''. Myślę że w trakcie tej rozmowy jakoś głębiej zdaliśmy sobie sprawę — (choć przecież rozumieliśmy to

zawsze) — czym było oddalenie i długa nieobecność w kraju. Nie z naszej winy, ale przestaliśmy być cząstką społeczności, która swe trudy, osiągnięcia i klęski przeżyła bez naszego współudziału. O to WY nie mogliśmy więc mieć pretensji.

Poza MY i WY są jeszcze ONI. Nota bene ta trzecia siła, jak to często bywa, zdolna jest zjednoczyć pierwsze dwie. ONI — to reżym, to Partia, to Państwo, to wszelkie zło, które gnębi kraj i ludzi, to obca siła.

— ,,A to wicie Panicku, co Oni teraz wymyślili?'' — klarował mi młody góral spod Szaflar. — ,,Wysiedlają górali z Parku Narodowego, bydła na dawnych halach nie pozwalają wypasać. Krowy i owce trzeba wozić pociągami dalej na północ''.

— ,,A to dlatego na Rusinowej szałasy stoją puste?''

— ,,Ano dlatego. W tym nie byłaby taka bida, gdyby się Oni nie spostrzegli, że górale dobrze na wełnie zarabiają. Zaraz więc podnieśli taryfę kolejową, żeby samemu na tym zarobić. Tacy to Oni są chytrzy''.

Z odległości wsi góralskiej, choć może nie tylko z tej odległości, ocenia się wady i cnoty ,,władców'' miarą osobistego powodzenia i bogactwa. Pewien zamożny góral przyznał, że ,,odkąd nastał ten nasz nowy prezydent, to jest teraz dobrze''.

Tak łatwo jest w Polsce nie widzieć, nie wiedzieć i nie zauważać tego co się gdzie indziej dzieje. Bo i jak? Czy gazeta lub radio poda i wydobędzie z ukrycia bolączki życia ludzi zarabiających poniżej 1.000 zł. miesięcznie, ludzi starych, pracujących ostatkiem sił, aby jakoś wyżyć; ludzi gnieżdżących się w mieszkaniach kołchoźniczych, bez nadziei zdobycia kiedyś własnego przyzwoitego kąta. Chwalił się pewien biurokrata na wyższym stanowisku przed gościem z zagranicy: ,,Przed wojną moi rodzice i nas pięcioro dzieci gnieździliśmy się w jednym pokoju z kuchnią, a dzisiaj mam z żoną ładne dwupokojowe mieszkanie z łazienką''. Tylko, że pan ten zapomniał dodać, że podobnie jak jego ojciec, robotnik fabryczny, tak i obecnie tysiące robotników, do których on już nie należy, mieszkają tak samo albo i gorzej.

Z ,,władzą'' spotkałam się tylko na granicy i przy rejestrowaniu się na milicji. Chociaż nie miałam nic na sumieniu i trochę mnie bronił paszport brytyjski, za każdym razem doznałam niemiłego uczucia zagrożenia. Nagle przyszło uświadomienie kompletnej bezbronności i bezwzględnej zależności. Nie ma odwołania, nie ma obrony, jest się w Ich mocy i na Ich łasce. Może nawet tak zupełnie nie jest, są zapewne środki i sposoby ratowania się z różnych opresji, ale atmosfera niepewności i załęknienia niewątpliwie w społeczeństwie istnieje, a tej mimowoli ulega przybysz z zagranicy. Wprawdzie każdy powie ,,O, teraz jest bez porównania lepiej. Co się wtedy działo... przed Październikiem...''. Ale tym niemniej stale towarzysząca niepewność jutra, niema groza, która może znów kiedyś zawisnąć, podważa dzisiaj osiągnięte poczucie bezpieczeństwa.

Na pewno jest lepiej. Klapa bezpieczestwa, przez którą wydobywają się w swobodnych wypowiedziach, narzekaniach i wymyślaniach słowa, słowa i jeszcze raz słowa — została szeroko otwarta. Natomiast dla słowa pisanego klapa ta zwolna się zamyka. Przy dobrych chęciach można wiele prześliznąć przez oka sieci cenzury, ale na to trzeba mieć ogromnie wiele determinacji, zręczności i znajomości arkanów gry politycznej. Są ludzie w Polsce, którzy biorą to ryzyko i ten trud na siebie, przeprowadzając manewr opóźniający przed grożącym zalewem powracającej fali. Przeniesienie na emeryturę wielu uczonych i profesorów uniwersyteckich jest w tych okolicznościach dużym wyłomem w siłach obronnych i ciosem dla nauki i wolnej myśli. Ktoś, kto z ogromnym wyczuciem i znajomością warunków i stosunków śledzi zmiany jakie zachodzą w umysłowości ludzi, a szczególnie wśród ludzi młodych, dojrzałych już po wojnie, wyrażał się z dużym optymizmem o przyszłości. Mimo wszelkich możliwych utrudnień, korupcji umysłowej i łamania charakterów, wyrastają nowi ludzie o jasnym myśleniu i odwadze.

Ktoś przyznał w rozmowie, że w postępowaniu ludzi jest wiele niepotrzebnego zastraszenia. Nieraz się zdarza, że przez pewną bezwładność, zmęczenie, lub obawę wystąpienia z inicjatywą, zacieśnia się dobrowolnie krąg swobodnego wyboru. Dlaczego na przykład przeciążać program koncertu szkolnego piosenkami rosyjskimi, kiedy nikt tego nie wymaga. Dopiero odważne wystąpienie jednego z organizatorów uświadomiło innym, że w tym wypadku nikt im nie zabrania ułożenia programu według własnego doboru. To jest drobny przykład, ale wydaje się, że istnieje nawet w tych trudnych warunkach pole do inicjatywy i że wiele jednostek w miarę swych możliwości takie okazje wykorzystuje. Jest to oczywiście walka w pojedynkę. Nie stoi za człowiekiem (ani przeciwko niemu) żadna zorganizowana opinia publiczna, ani żadna solidarna grupa, której by był członkiem. Żyjąc w kompletnej zależności od wielkiego CENTRUM, w którym skupiają się wszelkie nici regulujące najdrobniejsze poczynania obywateli, jest on zdany na własną samotność i musi liczyć tylko na własne siły.

Byłoby rzeczą nierealną oczekiwać, że jest w społeczeństwie wiele jednostek walczących i szamoczących się o sprawy w które wierzy i które przerastają jego własne osobiste kłopoty życiowe. Ogół społeczeństwa chce po prostu najlepiej i możliwie jak najnormalniej żyć, bez konfliktów sumienia i bez nadmiernego wysiłku. I tak jest dość trudności w zdobywaniu mieszkania, wykształcenia dla dzieci i wszelkich elementarnych potrzeb życia codziennego. Sprawa mieszkania jest obsesją niemal każdego. Jest to główny temat rozmów i narzekań. Poza mieszkaniami z przydziału — a o te mieszkania jest niezmiernie trudno i jest ich niewystarczająca ilość — można mieć mieszkanie w nowo wybudowanej spółdzielni. Kto ma na opłacenie jednorazowego wkładu kilkunastu tysięcy złotych od pokoju i spłacenia reszty w ciągu 25 lat, ten może takie mieszkanie po dłuższym

czekaniu otrzymać. Śliczne to są mieszkania. Wygodne, racjonalnie zaplanowane i urządzone, z centralnym ogrzewaniem i stale gorącą wodą. Takie widziałam w Warszawie. Tych domów powstaje coraz więcej i coraz jest więcej ludzi szczęśliwych z tego powodu. Ale jak dotąd stanowią oni tylko bardzo niewielki odsetek. W ogonku przy meldowaniu się słyszałam młodego mężczyznę dopytującego się z niepokojem, czy nie grozi mu sprowadzenie się teściowej do mieszkania bez jego zgody. — ,,Nas mieszka pięcioro w jednym pokoju, więc już doprawdy nie ma miejsca''. — Wszyscy oczywiście znają wymiary swoich pokoi na pamięć i ci co posiadają za dużo metrów kwadratowych, żyją w ciągłym strachu i niepewności. Jeśli im kwaterunek kogoś przydzieli, to z domu może się zrobić piekło. Nic więc dziwnego, że żyjąc w tak nieustabilizowanych warunkach, w których poczucie bezpieczeństwa, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni na Zachodzie, nie istnieje, posiadanie własnego mieszkania jest sprawą kapitalną. Jest to jedyne stałe oparcie, własny nie naruszony przez nikogo świat, względnie bezpieczne schronienie.

Ktoś mnie po powrocie zapytał jakie jest moje dominujące wrażenie z pobytu w Polsce. Odpowiedziałam jednym, świetnie tu pasującym słowem angielskim — *Frustration.* (Nasi rodacy upodobali sobie to słowo i przyjęli je do języka w spolonizowanej wersji — frustracja). Słowo ,,zmarnowany'' w różnych odmianach i w różnym konteksie słyszy się bez ustanku. Zmarnowany wysiłek, zmarnowany czas, zmarnowany zapał, zmarnowana chwila czy okazja, zmarnowane dobra państwowe czy prywatne, zmarnowany plan, zmarnowane wykonanie itd., itd. ,,Wszystko się marnuje'' — tak to się tym wielkim ogólnikiem określa życie w teraźniejszej Polsce. Jakiś fatalny bezsens paraliżuje wszelkie działanie. Załatwienie najdrobniejszej formalności, przeprowadzenie jakiegoś zakupu dla placówki naukowej, zdobycie paszportu na wyjazd zagranicę, choć się już ma na to wszystkie potrzebne pieczęcie i podpisy; uzyskanie pozwolenia na cośkolwiek choćby na przykład na zainstalowanie centralnego ogrzewania w jakimś domu, w małym miasteczku na odległej prowincji — wymaga niekończących się zabiegów. Wszystko trzeba zdobywać, wydeptywać, wypraszać, wystawać godzinami; trzeba wypełniać setki formularzy, podań i po raz nie wiem który odsłaniać wszystkie tajniki swojej przeszłości, i czekać, czekać... Jest to taka sama ekonomia wysiłku jak wbieganie pod górę ruchomymi schodami, które zjeżdżają w dół.

W powrotnej drodze jechałam w jednym przedziale z robotnikiem z Francji, Polakiem który po 38 latach po raz pierwszy odwiedził Polskę. Był u swojej rodziny pod Kaliszem na wsi.

— ,,Podobało się Panu?'' — zapytałam.

— ,,Eh, nie, strasznie dużo oszustwa i łapownictwa. Poza tym nic nie można dostać''.

Nie był rozmowny, dowiedziałam się jeszcze tylko tyle, że skrócił swój pobyt z zamierzonych dwóch miesięcy na dwa ty-

godnie. Przy sobie trzymał dużą ceratową torbę, z której sterczały szyjki butelek. Zauważyłam, że jak pociągał z jednej, to się paskudnie krzywił i widać dla poprawienia smaku zaraz pociągał haust z drugiej butelki. Ponieważ to pociąganie odbywało się dość często, więc zapytałam co pije. Okazało się, że w tej pierwszej butelce było wino krajowe, to znaczy owocowe, a w drugiej nalewka. W żadnej nie było wina francuskiego. Zdaje się więc, że nie zasady moralne, a brak dobrego wina był ostateczną przyczyną szybkiego powrotu do Paryża.

W tym samym przedziale jechał młody harcerz z wakacji w Polsce.

— ,,Tak długo czekać do następnych wakacji'' — wzdychał.

— ,,Czy znowu pojedziesz do Polski?''.

— ,,Oczywiście, już trzeci rok tam jeżdżę''.

Polski emigrant z Francji miał jednak rację i na pewno był szczerze zgorszony. Kradzieże, łapownictwo — to chleb powszedni w Polsce. Każdy, z kim o tym rozmawiałam był zaalarmowany. W pewnym stopniu kradzieże można usprawiedliwić małymi zarobkami. Jak mój znajomy, komunista i członek Partii przyznał: ,,błędem było wyznaczenie zbyt niskich płac robotniczych i pracowniczych''. Niestety, ,,błędu'' tego dotąd nie naprawiono. Przypuszczalnie jednak istnieje jeszcze inny bodziec, nie ekonomicznej natury. Wrogość do Państwa, a przynajmniej zupełna obojętność w stosunku do dobra publicznego, które jest w wyłącznym władaniu państwa i Partii. Przepaść między państwem a społeczeństwem jest tak wielka, że prawie nikomu nie przychodzi na myśl, że Państwo może być dobrem wspólnym, za które każdy ponosi odpowiedzialność.

Wytworzyła się nawet pewna więź solidarności między tymi, którzy dorabiają nieuczciwymi sposobami kosztem Państwa, a tymi którzy tego nie czynią. Jeśli konduktor sprzeda pasażerowi bilet po zniżonej cenie i pasażer ten bilet przyjmie, choć wie, że jest on już ,,przejechany'' i sprzedany po raz drugi — to to jest cicha między nimi zmowa, na której obie strony korzystają. ONI oczywiście tracą, ale to się nie liczy i nikogo to nie obchodzi.

Czy się wiele w Polsce zmieniło? Chyba największe zmiany zaszły przez rozbudowanie przemysłu. Huta pod Krakowem robi imponujące wrażenie. Jechałam tramwajem wzdłuż całego obszaru. Parę kilometrów kominów, pieców, wielkich konglomeratów fabrycznych, nad którymi unoszą się pióropusze kolorowych dymów i gdzieniegdzie błyska czerwień roztopionego żelaza.

— ,,Ale...'' — jak zauważył mój znajomy inżynier — ,,to wszystko wisi na dostawach rudy żelaznej z Rosji. Jeśli dostawy zostaną dla jakichś przyczyn przerwane — to i całą Hutę diabli wezmą''.

Z rozbudową przemysłu, struktura społeczna również musiała ulec zmianie. Przybyła nowa grupa społeczna, trochę dziwaczny twór okresu przejściowego, tzw. chłopi-robotnicy. Jest

ich obecnie jeden milion. Dzielą oni swój czas między wsią i miastem i ponieważ mają te swoje wiejskie zaplecze, więc nie dbają w jakich warunkach żyją w mieście. Często obywają się bez domu, śpiąc gdzie się da, co powoduje, że pierwsi znajdują się na liście przydzielanych mieszkań. Po pewnym czasie, po wprowadzeniu się do nowego mieszkania, zaprowadzają w nim małe gospodarstwo wiejskie, w którym wieprz w wannie zajmuje poczesne miejsce. Zdarza się również, że taki chłop-robotnik przehandluje mieszkanie i wraca na wieś, aby po pewnym czasie rozpocząć cały proceder od nowa. Nic dziwnego, że istnieje duża wrogość robotników miejskich do tych sezonowych przybyszów.

Po trasie Londyn — Berlin — Warszawa płyną dwie fale polskich podróżnych w przeciwnych sobie kierunkach. Jedni jadą do Polski w odwiedziny lub na stałe, inni do Anglii w podobnych zamiarach. Dla jednych i drugich ,,przyjazd'' jest pełnym wzruszeń przeżyciem; radosnym lub smutnym, pomieszanym z nadzieją lub rezygnacją, czasem nawet — trochę strasznym. Powoduje on nieraz takie zamieszanie tłoczących się wrażeń i uczuć, że się nie jest w stanie określić ani własnych przeżyć ani swego stosunku do miejsc, które były celem podróży. Najsilniejszym przeżyciem są oczywiście przyjazdy na stałe. Zrywanie z przeszłością ,,na zawsze'', niewiadoma przyszłość, a dla opuszczających kraj — przerzucenie się w zupełnie inny, nieznajomy i obcy świat, jest ciężką próbą do przebycia.

W powrotnej drodze przed samym przyjazdem do Londynu zobaczyłam siedzącą na stosie walizek i tłomoczków w korytarzu starszą, skromniutko ubraną osobę. Coś swojskiego uderzyło mnie w jej twarzy i w całej nieśmiałej i zalęknionej postawie. Rzeczywiście była to Polka, jechała do Londynu, do zamężnej córki, na stałe.

— ,,Na stałe? Nigdy Pani w Anglii nie była? Czy zna Pani język?''.

— ,,Nie, nie znam, i nie wyobrażam sobie jak to będzie, ale córka prosiła, żeby przyjechać i pomóc przy dziecku''.

— ,,Ciężko się było Pani zdecydować?''.

— ,,Ja proszę Pani oczy sobie z tęsknoty wypłaczę''.

Widziałam ją jeszcze na dworcu na peronie jak stała koło swoich walizek i tłomoczków, widać czekając aż ktoś ją spotka — i twarz miała mokrą od łez. Powracający do domu, wesoły tłum podróżnych mijał ją w pośpiechu.

Wanda BRZOZA

Proces Eichmana

W starym testamencie, w księdze Esther opowiedziana jest historia Hamana, pierwszego ministra na dworze króla perskiego, który zdołał nakłonić króla do decyzji wymordowania wszystkich Żydów zamieszkałych w tym kraju. Hamana dosięgła sprawiedliwa ręka Boża, po czym przez dwa dni lud ucztował i szalał z radości na ulicach stolicy.

Postać Hamana przeszła do tradycji żydowskiej jako symbol wroga narodu. W wyobraźni ludu żydowskiego Eichman jest drugim wcieleniem Hamana. Bóg zemsty objawił się po raz wtóry, powtórzył cud i oddał w ręce ludu mordercę, winnego zagłady 6 milionów ludzi.

Ale Haman należy do legendy, podczas gdy Eichman jest człowiekiem z krwi i kości, człowiekiem naszej generacji, naszego XX wieku i jego to mózg wymyślił machinę śmierci, jego ręka wprawiła ją w ruch.

Jako szef sekcji IVB 4 („Sprawy żydowskie") w Gestapo, Eichman był autorem wszystkich planów eksterminacji Żydów. Dowodzą tego liczne dokumenty podpisane jego nazwiskiem, które wraz z archiwum Gestapo przeszły w ręce rządów państw, które pokonały Hitlera. Tak zwany projekt „ostatecznej likwidacji" podpisany jest również przez niego. Wiadomo, że był autorem komór gazowych. W sferach nazistowskich znano go jako najzagorzalszego fanatyka doktryny. Jego umysł ukształtował sobie uproszczony obraz świata podzielonego na dwa obozy: obóz Zła, którego wcieleniem była rasa żydowska zmierzająca do podbicia świata za pomocą talmudu i obóz Dobra, uosobiony przez rasę aryjską, powołaną do zwalczenia tego Zła pod przewodnictwem „Führera".

Artykuł p. Toruńczyk traktujemy jako informacyjny, a przede wszystkim dyskusyjny. Do Sprawy Eichmana i jej aspektu moralnego wrócimy później.

Redakcja

Eichman zasłania się obecnie, i z pewnością tłumaczyć się będzie na procesie, koniecznością wykonywania rozkazów swych zwierzchników. Ale miał on szczególny sposób wykonywania ich rozkazów. Gdy chodziło o masakrę Żydów przykładał się do tego całą duszą. Kiedy natomiast, pod koniec wojny Himmler szukał za wszelką cenę kontaktów z aliantami i gotów był w tym celu wstrzymać „ostateczną likwidację" Żydów, używając różnych pretekstów po to tylko, by nie stracić twarzy przed swymi współpracownikami, Eichman stwarzał przeszkody nie do pokonania i sabotował na wszelkie możliwe sposoby rozkazy swego mocodawcy. Znani dzisiaj powszechnie kontrahenci Eichmana z budapesztańskiej transakcji „ciężarówki za ludzi" musieli często działać ponad jego głową i szukać innych kontaktów z Himmlerem. Eichman robił wszystko, by sparaliżować te negocjacje.

O faktycznej roli Eichmana w procesie eksterminacji Żydów europejskich wiedziano już bezpośrednio po wojnie. Agencja Żydowska, która była swego rodzaju rządem istniejącego de facto, lecz jeszcze nie de iure, państwa żydowskiego miała go w swym spisie poszukiwanych zbrodniarzy wojennych i była w posiadaniu licznych dokumentów świadczących o jego działalności.

Wiadomo było również, że żyje, znaleźli się bowiem świadkowie, którzy widzieli go w kilku miejscach w Austrii. Wiadomości natomiast dotyczące jego personaliów, miejsca urodzenia i wychowania były fałszywe. Podawano mianowicie jako miejsce jego urodzenia Saronę, niemiecką kolonię, założoną w początkach XIX wieku w Palestynie, a jako sytuację rodzinną: żonaty, jedno dziecko, co oczywiście nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Eichman bowiem urodził się w Solingen i wychował w Linzu, gdzie jego rodzina rezyduje po dzień dzisiejszy, ma przy tym nie jedno lecz troje dzieci.

Dość prędko zidentyfikowano osobę jego żony, która wraz z dziećmi mieszkała w Altaussee (Austria). Vera Eichman chcąc zatrzeć ślady istnienia swego męża, postarała się o świadka, który zeznał, że był obecny przy jego śmierci w Pradze. Ponieważ jednak jednocześnie podawała, że z mężem swym była od szeregu lat rozwiedziona i że nic o nim nie wie, cała ta sprawa wyglądała dość podejrzanie. Wiadomo było ponadto, że Eichman, który był bardzo czułym ojcem, często odwiedzał swoje dzieci. Widziało go sporo ludzi. W tym czasie funkcjonował już wywiad żydowski i obserwował zabiegi Very Eichman. W krótkim też czasie agenci tego wywiadu zdołali udowodnić władzom austriackim, że powołany przez Eichmanową świadek jest osobą podstawioną, nosi fałszywe nazwisko i jest nie kim innym jak bliskim krewnym Eichmana. W ten sposób udało się zapobiec wykreśleniu Eichmana z listy żyjących, dzięki czemu poszukiwania za nim nie ustały.

Po pewnym czasie ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Eichman przebywał przez parę tygodni w amerykańskim obozie

jeńców jako oficer lotnictwa, pod nazwiskiem Eckman i że z obozu tego uciekł w końcu maja 1945 roku.

Ustalenie tych faktów dało impuls do poszukiwań. Według zeznań wielu osób Eichman ukrywał się w tym czasie rzekomo w Austrii, w rejonie Aussee. Poszukiwania pozostały jednak bez rezultatów. W ciągu następnych kilku lat pojawiały się co jakiś czas w prasie światowej sensacyjne nowiny na temat miejsca pobytu Eichmana. Widziano go rzekomo w Damaszku, w Kairze, opowiadano, że został zamordowany przez jakąś podziemną organizację żydowską.

W 1952 roku Vera Eichman zniknęła wraz z dziećmi z Aussee. Wyjechała nielegalną drogą, bo jak się potem okazało, paszportu austriackiego nie wzięła. Przypuszczano, rzecz jasna, że udała się do męża. Badano wówczas jej matkę, zamieszkałą w okolicach Frankfurtu. Twierdziła ona, iż córka jej wyszła ponownie za mąż, za jakiegoś człowieka, którego nazwisko miało brzmienie angielskie i że wyjechała wraz z nim i dziećmi. Matka zeznawała, iż z córką korespondencji nie utrzymuje. Podobną wersję opowiadała rodzina Eichmana w Linzu. Gdy jednak w ub. roku zmarła macocha Eichmana, pod nekrologiem opublikowanym w gazecie w Linzu figurowały nazwiska wszystkich członków rodziny, prócz oczywiście Adolfa Eichmana, natomiast żona jego była podpisana jako Vera Eichman. Nasunęło to natychmiast przypuszczenie, że ponowne małżeństwo pani Eichman było fikcją i że domniemanym Anglikiem był nie kto inny jak sam Eichman.

Dzięki pewnym kontaktom wywiad izraelski zdołał ustalić, że Vera Eichman opuściła Europę. Ślady prowadziły do Argentyny, gdzie dzięki staraniom funkcjonujących organizacji neonazistowskich wielu byłych zbrodniarzy znalazło azyl. Nie zdołano jednak wówczas ustalić dokładnego miejsca pobytu rodziny Eichman, a gdy jesienią 1959 roku władze zachodnioniemieckie otrzymały wiadomość, że Eichman ukrywa się w Kuweicie, ślad został znów zmylony.

Na początku 1960 roku Vera Eichman zjawiła się ponownie w Linzu. Nie wiadomo dokładnie w jakim celu, wiadomo jednak, że podjęła tym razem austriacki paszport.

Nie trudno wyobrazić sobie, że wizyta ta nie uszła uwagi wywiadu, zwłaszcza wobec faktu, że w Izraelu opinia publiczna od pewnego czasu wykazywała poważne zaniepokojenie sprawą Eichmana. W związku z przypuszczeniami, że znajduje się on na Środkowym Wschodzie, w prasie izraelskiej ukazały się żądania wyznaczenia przez rząd nagrody 20 tysięcy dolarów za jego głowę. Autorzy tego projektu sądzili, że premia ta skłoni awanturników do schwytania przestępcy i przywiezienia go do Izraela.

Rząd izraelski premii tej nie wyznaczył. Już wtedy bowiem władze bezpieczeństwa były na właściwym tropie.

Z Very Eichman nie spuszczono już oka, zwłaszcza, gdy wróciła do Argentyny. Po nitce do kłębka ustalono adres Adolfa

Eichmana, ustalono, że ukrywał się w Buenos Aires pod nazwiskiem Ricardo Clement.

Któregoś dnia na przystanku autobusowym, na jednym z przedmieść Buenos Aires, pojawiła się czarna limuzyna i w chwili, gdy Ricardo Clement, urzędnik montowni samochodów wysiadał z autobusu, by wrócić po pracy do domu, zaproszono go grzecznie do jej wnętrza.

Nie trudno się domyśleć kto siedział w czarnej limuzynie i kto był autorem tego porwania. Było to niewątpliwie posunięcie izraelskiej służby bezpieczeństwa i ono to właśnie nadało całej tej sprawie światowego rozgłosu.

Przy tej okazji warto nadmienić parę słów o szczególnym charakterze działalności wywiadu izraelskiego, zwanego powszechnie ,,Szin Bejt''. W związku z aresztowaniem Eichmana podano w Izraelu po raz pierwszy do wiadomości publicznej pewne szczegóły, dotyczące struktury i organizacji tej instytucji, którą do niedawna osnuwała tajemnica. Jednym z ważnych jej zadań jest mianowicie zwalczanie wszelkiej akcji nie tylko przeciwko państwu Izrael, lecz również przeciwko narodowi żydowskiemu, rozproszonemu po całym świecie. Ponadto służba ta odpowiedzialna jest za utrzymanie tajemnicy wokół stosunków Izraela z innymi państwami, które z tej czy innej przyczyny życzą sobie, by kontakty te otoczone były maksimum dyskrecji. W tej dziedzinie służba bezpieczeństwa współpracuje,, rzecz jasna, ściśle z ministerstwem spraw zagranicznych.

Główni kierownicy tej służby rekrutują się z dawnych przywódców ,,Hagany'' — organizacji podziemnej, która za czasów mandatu angielskiego walczyła o niepodległość kraju. Wnieśli oni zatem do nowej służby swe doświadczenie w podziemnej działalności, które zostało jeszcze wzbogacone przez nowych imigrantów, posiadających doskonałą znajomość stosunków w krajach, z których pochodzą.

Jak dalece skuteczna jest działalność izraelskiej służby bezpieczeństwa świadczą takie fakty, jak niebywała popularność audycji w jęz. arabskim radiostacji jerozolimskiej ,,Kol Israel'', która jest najlepszym źródłem informacji dla mas arabskich o tym co się dzieje w ich własnych krajach. W czasie wojny sueskiej egipskie dowództwo wojsk z tego źródła dowiadywało się o posunięciach własnych oddziałów. Pierwszym człowiekiem w Londynie poinformowanym o rewolucji w Iraku, był izraelski attaché wojskowy. On też zafundował sobie przyjemność powiadomienia o tym swych kolegów brytyjskich, dumnych zazwyczaj z informacji posiadanych od swych agentów na Środkowym Wschodzie.

Znamiennym i zdającym się pozostawać w bezpośrednim związku z aktem porwania Eichmana, jest fakt, że na parę dni przed 150-letnią rocznicą niepodległości Argentyny udała się do Buenos Aires delegacja izraelska złożona z czterech członków, z ministrem bez teki, Aba-Ewenem na czele. Delegacja ta wyleciała z Izraela specjalnym samolotem typu Britannia, w

którym nie było żadnego innego poza nią pasażera. Samolot ten wrócił do Izraela w przeddzień pamiętnego oświadczenia Ben Guriona w parlamencie, że Eichman znajduje się w rękach władz izraelskich.

Efektowne porwanie Eichmana — to jednakowoż tylko jedna strona medalu. Druga — to strona prawna tego aktu i stosunki z Argentyną, która do tego czasu była państwem zaprzyjaźnionym z Izraelem. Nikt nie pochwali takiego aktu, mimo że w głębi serca może żywić dlań podziw. Ale czy Izrael miał inną radę?

Przed rządem izraelskim stanął z chwilą ujawnienia miejsca pobytu Eichmana dylemat, narzucony przez warunki praktyczne: Nie co jest lepsze, ale co jest mniejszym złem: pogwałcić suwerenność Argentyny i porwać zbrodniarza z jej terytorium, czy też pozwolić mu nadal żyć bezkarnie. Nie trzeba bowiem tłumaczyć, że gdyby Izrael zażądał oficjalnie wydania Eichmana, nie doszłoby to nigdy do skutku. Takim właśnie próbnym balonem, jaka będzie reakcja Argentyny, było żądanie rządu bońskiego na krótko przed porwaniem Eichmana, wydania przestępcy wojennego Mengele. Gdy władze argentyńskie odpowiedziała, że Mengele jest przestępcą politycznym i ma wobec tego prawo do azylu, stało się dla Izraela jasne, że podobną odpowiedź otrzyma, gdy zażąda Eichmana. Zresztą w Argentynie przebywa niemało hitlerowskich przestępców wojennych, a żądania różnych państw wydania ich pozostały bez echa. Mimo że Argentyna dobrowolnie przyjęła na siebie w 1944 roku zobowiązanie w stosunku do sojuszników, że nie będzie udzielać azylu zbrodniarzom wojennym, wiadomo powszechnie, że właśnie ona stanowi dla nich główny teren azylu.

Władze izraelskie niejednokrotnie wyrażały Argentynie swe ubolewanie że tak się właśnie stało. Niemniej jednak wysunięty przez rząd argentyński argument, że zagraża to bezpieczeństwu państwa, może się bowiem stać precedensem, jest co najmniej przesadzony. Takie precedensy znamy już dobrze z historii różnych państw, a sama Argentyna przed niedawnym zupełnie czasem porwała z terytorium Urugwaju dwóch uciekinierów, peronistów.

Rada Bezpieczeństwa, która rozpatrywała przed paru miesiącami skargę Argentyny o naruszenie przez państwo Izrael jej suwerenności, wzięła pod uwagę motywy, które kierowały rządem izraelskim Niemożliwą rzeczą było potraktować sprawę Eichmana jako sprawę normalnego zbrodniarza i dlatego nie można było do niej stosować normalnych kryteriów i czysto prawniczych formuł. Z tego też powodu Rada Bezpieczeństwa odrzuciła żądanie Argentyny zwrotu Eichmana i poprzestała na potępieniu samego faktu porwania, nakładając jedynie na Izrael obowiązek dania Argentynie pewnego zadośćuczynienia.

Uchwała ta, jak wiadomo, nie zlikwidowała konfliktu izraelsko-argentyńskiego. Przeciwnie, rozgorzał on na nowo, rząd argentyński bowiem uważał, że jedynym zadośćuczynieniem może

być odstawienie Eichmana do Argentyny. Stanowisko to spowodowane było skomplikowaną sytuacją wewnętrzną panującą w tym kraju. Premier Frondizi stale był oskarżany przez bardzo silną opozycję, rekrutującą się z byłych zwolenników dyktatora Perona, iż jest marionetką w rękach zagranicy i nie umie bronić interesów swego kraju. Opozycja ta wskazywała na sprawę Eichmana jako na dowód, że cudzoziemcy robią w kraju co im się podoba, a rząd nawet o tym nie wie.

W związku z tym zajęcie twardego stanowiska wobec Izraela było dla prezydenta Frondizi koniecznością prestiżową. Doszło nawet do odwołania ambasadora Argentyny z Tel-Avivu i wydalenia z Buenos Aires ambasadora izraelskiego. W końcu jednak Frondizi zrozumiał, że Izrael pod żadnym warunkiem nie wyda Eichmana i że w ostatecznym rachunku, Argentyna może więcej na całej tej sprawie stracić niż zyskać.

W tych warunkach pewnego dnia zlikwidowano spór zwykłą wymianą not dyplomatycznych, przy czym Izrael przeprosił Argentynę. Ostatecznym przypieczętowaniem zgody stało się mianowanie nowych ambasadorów, które miało miejsce niedawno.

Niektórzy kwestionują prawo Izraela do sądzenia Eichmana, motywując to tym, że zbrodnie swe popełnił nie na terytorium Izraela i w czasie gdy państwo to jeszcze nie istniało. Argument ten nie wytrzymuje krytyki. Eichman będzie sądzony zgodnie z prawem uchwalonym w Izraelu w 1950 roku. Prawo to dotyczy przestępców, którzy popełnili zbrodnie w stosunku do narodu żydowskiego. Prawodawca zdawał sobie doskonale sprawę, że będzie ono stosowane do przestępstw popełnionych poza Izraelem i w czasie poprzedzającym istnienie państwa Izrael. Jednak parlament izraelski był całkowicie upoważniony do uchwalenia tych norm, gdyż są one w zupełnej zgodzie z obowiązującym prawem międzynarodowym, które przewiduje sądzenie tego typu przestępstw przez państwo, które zbrodniarza ma w swym ręku, niezależnie od terytorium, kraju i okresu popełnienia zbrodni. Jak wiadomo, międzynarodowe prawodawstwo, odnoszące się do zbrodni przeciwko ludzkości, uchwalone zostało przez państwa sojusznicze w kilku porozumieniach i deklaracjach, między innymi w porozumieniu londyńskim z 8.8. 1945 roku, tym samym, które powołało do życia sąd norymberski. Jeżeli ktoś kwestionuje prawo Izraela do sądzenia Eichmana na swoim terytorium, musi tym samym kwestionować prawo czterech mocarstw do sądzenia zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Są tacy, którzy istotnie je kwestionują, ale trudno się zgodzić z tak formalistycznym punktem widzenia. Prawa uchwalane są przez ludzi, dla ludzi i w okolicznościach przez ludzi stworzonych. Nigdzie chyba bardziej niż w sprawie Eichmana aspekt humanistyczny nie przemawia do przekonania.

Znaczenie aresztowania i procesu Eichmana przekracza znacznie granice Izraela. Proces Eichmana wypełni wielką lukę w historiografii współczesnej. Jakkolwiek dziwne się to może

wydawać, dziś jeszcze, po zbiorowym procesie w Norymberdze i po setkach innych procesów przestępców wojennych, po tylu poszukiwaniach w archiwach, po opublikowaniu pamiętników Hössa i Wislicenyego, jesteśmy wciąż jeszcze skazani na domysły odnośnie okoliczności, w jakich powstała idea eksterminacji Żydów, odnośnie roli głównych przywódców nazistowskich w koncepcji zagłady i w jej wykonaniu. Pomiędzy żyjącymi Eichman jest jedyną osobą (jeżeli oczywiście prawdą jest, że Martin Bormann nie żyje) mogącą na te pytania odpowiedzieć oraz mogącą wskazać tych, co się jeszcze ukrywają.

Proces Eichmana będzie publiczny. Zainteresowane państwa, na których terytorium Eichman popełnił swe zbrodnie będą mogły przysłać obserwatorów, którzy będą mieli możność stwierdzić czy wszystko odbywa się według przyjętych w krajach demokratycznych form procedury.

Nie ulega również wątpliwości, że na procesie będą obecni dziennikarze z całego świata. Nie zabraknie z pewnością i dziennikarzy niemieckich i oni przekażą swemu krajowi faktyczny obraz przestępstw nazistów, które dziś większość Niemców uważa za wyolbrzymione przez Żydów.

Eichman skorzysta z przyznanego mu przez rząd izraelski prawa wyboru niemieckiego obrońcy. Będzie nim Robert Servatius, jeden z adwokatów z procesu norymberskiego. W tym celu parlament izraelski musi uchwalić specjalną ustawę zezwalającą na skorzystanie z usług adwokata spoza Izraela.

Proces Eichmana przygotowuje się w Izraelu z niezwykłą skrupulatnością i dokładnością. Gromadzi się i kompletuje dokumenty, fotografie i fotokopie. Niemiecka Republika Federalna udostępniła izraelskim władzom bezpieczeństwa swe archiwa. W Izraelu istnieje zresztą bardzo obfita i cenna dokumentacja z okresu okupacji. Istnieje olbrzymie centralne archiwum organizacji ,,Jad Waszem'', której zadaniem jest gromadzenie dla celów historycznych wszelkich dokumentów i pamiątek z okresu ,,nocy i mgły''. Na czele archiwum stoi dr Kramisz, jeden z twórców Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Dr Kramisz wyemigrował do Izraela w 1950 roku. Przed swym wyjazdem z Polski, nie mogąc się rozstać z olbrzymim i bogatym archiwum zbrodni hitlerowskich, stworzonym dzięki własnym żmudnym staraniom, dr Kramisz, w tajemnicy przed otoczeniem sfotografował wszystkie ważniejsze dokumenty i zabrał ze sobą ich mikrofilmy. Znajdują się one obecnie w archiwum przez niego prowadzonym. Teczki noszące nazwisko Eichman zajmują tam niemało miejsca. Dr Kramisz może udowodnić, że Eichman był organizatorem obozu śmierci w Oświęcimiu i że osobiście przybył do Łodzi, by doglądać końcowej likwidacji getta, Jest on również w posiadaniu dowodów, że Eichman ścigał poszczególnych ludzi.

Franciszka TORUŃCZYK

Pierwsze dni Niepodległości i zamach stanu

(WSPOMNIENIA „ZAMACHOWCA") *

W ubiegłym roku minęło czterdzieści lat od tzw. „zamachu stanu", dokonanego w noc z 4 na 5 stycznia 1919 roku, a więc zaledwie w sześć tygodni po odzyskaniu Niepodległości.

Zamach ten przez długie lata nie znalazł należytego oświetlenia ani oficjalnego ani pamiętnikarskiego; podówczas potraktowano go jako „pucz", jako operetkową farsę, nie mogącą mieć żadnych poważnych szans i następstw. Sięgając myślą w przeszłość odnosi się wrażenie, że zarówno ze strony „zamachowców", jak i ze strony zagrożonej zamachem, starano się zbagatelizować i pogrzebać w pamięci to wydarzenie.

Zbiegiem okoliczności, już w zaraniu mej służby wojskowej w Polsce, brałem udział w tym „puczu", co prawda na niskim szczeblu wykonawczym; był to mój pierwszy „polityczny" występ jako wojskowego (i... ostatni) lecz pozostał mi dobrze w pamięci. Chciałbym więc ze swej strony rzucić pewne światło na ówczesne wydarzenia. Siłą rzeczy wspomnienia moje będą bardziej ograniczone niż innych osób, będę się starał opisywać jedynie wypadki, których byłem osobiście świadkiem i nadawać im ocenę nie dzisiejszą — dojrzałego człowieka — a ówczesną — młodego oficera z roku 1918, który dał się wciągnąć do polityki...

(1) Niniejsze wspomnienia, stanowiące wyciąg z moich pamiętników, zostały opracowane w r. 1958; nie stanowią one polemicznej dyskusji ze wspomnieniami gen. Januszajtisa, które są mi znane, niestety, tylko z pierwszego odcinka.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

By to zrozumieć — należy zrozumieć przede wszystkim i preliminaria do tego czynu; od nich więc zacznę.

◆

Odbywając na jesieni r. 1918, w beznadziejnym nic-nierobieniu, kilometrowe przechadzki po pięknym Kijowie i jego ogrodach, spotkałem jednego z przyjaciół, który pokazał mi egzemplarz warszawskiej gazety, z połowy października, z odezwą Rady Regencyjnej do byłych wojskowych, by się stawili w Warszawie celem formowania *Wojska Polskiego*.

Od dawna byłem przygotowany na wyjazd do Królestwa i zaopatrzony w fałszywe papiery repatriacyjne. Wezwanie Rady Regencyjnej do stawiennictwa się w *Wojsku Polskim* — przyśpieszyło decyzję: już wkrótce siedziałem w pociągu, który na Zdołbunów-Kowel-Lublin dowlókł mnie, z pewnymi przygodami, na dzień 25 października do Warszawy, gdzie zatrzymałem się w hotelu Victoria przy ulicy Jasnej.

Rzuciłem się, żądny nowych wrażeń, na miasto w poszukiwaniu krewnych, przyjaciół, znajomych. Po upływie kilku dni byłem jak w domu. Odnalazłem wielu, zarówno kolegów z Korpusu Dowbora, z armii rosyjskiej jak i kijowskich czasów, odnalazłem krewnych i znajomych. Wystarczyło oblecieć miejsca gdzie zbierali się byli wojskowi, jak ,,Nasza Gospoda'' Dowborczyków przy Marszałkowskiej 80, jak cukiernia Kleszcza, na bilardach, u Jackowskiego, w Udziałowej na Nowym Świecie itd. Wieczorem spotykało się ,,zamożniejszych'' u Wróbla oraz w licznych nocnych klubach karcianych: w dawnej ,,Oazie'', w klubie filatelistów (!) w jakimś klubiku na Hożej 39, w dwóch ,,artystycznych'' nocnych klubach na Brackiej 18 i na Krakowskim 59 czy 69.

Warszawa była podówczas, że tak powiem, pod moralną okupacją Dowborczyków i byłych żołnierzy II Korpusu Michaelisa, a więc oficerów b. armii rosyjskiej. Było ich wszędzie pełno; ubrani w stare rosyjskie ,,frencze'', z guzikami od Dowbora, lub na pół cywilnie, błądzili beznadziejnie od kawiarni do kawiarni, przejadając ostatnie pieniądze, nie mając możności znalezienia pracy; część zapisała się przed kilku tygodniami na Uniwersytet i Politechnikę. Lecz poza okupacją ,,moralną'' przez Dowborczyków, Warszawa była okupowana przez władze niemieckie i przez ,,wojsko polskie'' pod dowództwem niemieckim które nosiło nieprzyjemną dla nas nazwę ,,Polnische Wehrmacht''. Wyczuwało się w Warszawie (jak już i poprzednio w Kijowie), że okupacja słabnie. Władze niemieckie nie wtrącały się do codziennego życia miasta i jego obywateli. Wojsko niemieckie wyglądało, nawet w ubiorze, raczej niechlujnie. Natomiast odczuwało się znaczenie tego ,,*Polnische Wehrmacht*'', jako polskiej siły zbrojnej, chociaż nosiło identyczny mundur niemiecki, ale z polskimi odznakami. Odbijało się ono w wyglądzie — na korzyść — od Niemców; wojskowi byli ubrani

schludnie, nawet elegancko; znać było panującą dyscyplinę. Z tego okresu przypomina mi się sylwetka por. Natanson-Leskiego (z którym zawarłem przypadkową znajomość natychmiast po przyjeździe), z czarną bródką, w sztylpach i w bardzo zgrabnym wojskowym kożuszku.

Wpadając z Rosji do bądź co bądź spokojnej Warszawy, spotykając wielu znajomych i przyjaciół, sądziłem, iż znajdę się samym centrum wiadomości o toczącej się wojnie, o przyszłości, o zamiarach kolegów. Już na początku spotkało mnie kompletne rozczarowanie: byliśmy wszyscy jak ,,tabaka w rogu''. Nikt nie był w stanie przewidzieć dalej niż do rana dnia następnego i nikt literalnie o niczym nic nie wiedział — ani o istotnym przebiegu wojny na Zachodzie, ani o stanie jakoby toczących się rozmów między stronami wojującymi. Nasze wiadomości ograniczały się do plotek z ,,Gospody'', z różnych bilardów i klubów i do zwięzłych informacji gazet warszawskich, pozostających w dalszym ciągu pod ostrą cenzurą niemiecką. Zdaję sobie sprawę, jak dziś będzie dziwnie to potraktowane przez obecne pokolenie informowane w błyskawicznym tempie, dzięki radiu, literalnie o wszystkim co się dzieje na całej kuli ziemskiej, i to w miarę toczących się wypadków. *Lecz podówczas radia nie było* i nie było żadnego zastępczego środka informacyjnego. Warszawa była kompletnie odcięta od świata, żywiła się informacjami z codziennych gazet, a więc podawanymi przez Niemców. Jedyną wskazówką dla nas, wojskowej młodzieży, było wezwanie Rady Regencyjnej.



Lecz właśnie w związku z tą odezwą, zdawałoby się przyciągającą spostrzegłem, że stanowisko młodych Dowborczyków, nie było jednolite.

W dalszym ciągu skłonni byli uznawać Radę Regencyjna jako organ wykonawczy Niemców, tak samo i *Polnische Wehrmacht*, mimo że nosił orzełki, i mimo że nazywa się ,,Wojskiem Polskim''. Wolano *przeczekać*. Na razie nie formułowano wyraźnie jak długo. W każdym razie oczekiwano rozkazu od dawnego dowódcy, generała Dowbór-Muśnickiego, który przebywał gdzieś w Sandomierskim bez prawa przyjazdu do Warszawy. Właśnie wtedy nieco podważony szacunek dla Dowbora począł wzrastać. Młodzież dopiero teraz zaczęła rozumieć przewidującą decyzję Dowbora dotyczącą rozbrojenia korpusu, chociaż niespełna pół roku temu była ona ostro krytykowana szczególnie przez tę młodzież patriotyczną, żądną czynów i gotową do poświęceń. Lecz generał Dowbór-Muśnicki milczał, a młodzież czekała.

Stosunek nas, młodych oficerów, do tego niemieckiego ,,wojska polskiego'' nie był, i nie mógł być, przyjazny. Trudno było nam pogodzić się z myślą, że gdy my, jako Polacy, walczyliśmy przeciwko Niemcom, oni, również jako Polacy, walczyli

po stronie Niemców. Trudno nam było zrozumieć ich ideologię, ich polityczne kalkulacje. Rzecz prosta, że zetknęliśmy się przy tej okazji z tzw. zagadnieniem legionowym, z osobą Piłsudskiego.

Osoba Piłsudskiego jak i nieprawdopodobnie skomplikowany zamęt pojęć w życiu Legionów nie wydawał się łatwy do zrozumienia. Nazwisko Piłsudskiego, nam, byłym wojskowym armii rosyjskiej, prawie nic nie mówiło; dochodziły do nas już w Rosji urywkowe wiadomości o istnieniu ,,Legionów'' po stronie niemiecko-austriackiej, co podówczas budziło w nas raczej zdziwienie. Czteromiesięczny pobyt Dowborczyków w Warszawie, po rozbrojeniu korpusu, wcale nie przyczynił się do ujednolicenia sądu, przeciwnie, raczej pogłębił niezrozumienie. Kim był w oczach tej młodzieży wojskowej Piłsudski? Opinie były krańcowo sprzeczne: jedni skłonni byli uważać Piłsudskiego za wielkiego wodza, a to pod wpływem opinii części młodzieży warszawskiej, zorganizowanej w jakiś tajemniczy związek inni, na odwrót odmawiali mu kwalifikacji ,,wodzowskich'', twierdząc, że nie był nawet ,,generałem'', a tylko ,,komendantem'', brygadierem, dowódcą zaledwie jednej dwupułkowej brygady. Niektórzy przebąkiwali o nim, jako o przyszłym przywódcy narodu, inni najbardziej się tego obawiali, twierdząc, że to jest ,,socjał'' — przyjaciel osobisty Lenina, który poprowadziłby Polskę po drodze znanej nam już z Rosji. Wreszcie nie brak było wyraźnych przeciwników Piłsudskiego, którzy skłonni byli widzieć w nim jedynie dobrego organizatora ,,napadów bandyckich''. Większość potępiała jego decyzję wystąpienia po stronie państw centralnych; nikt natomiast nie odmawiał mu imienia dobrego Polaka, który politycznie błądził i ciągnął za sobą innych. Zdawaliśmy sobie mimo wszystko sprawę, że rozmowy te noszą charakter czysto akademicki, Piłsudski bowiem siedział zamknięty przez Niemców w Magdeburgu.

Lecz, jak nam mówiono, pozostawił po sobie dzieło, w postaci ,,Legionów''. I tu ponownie napotykaliśmy na zagadkę nie do rozwiązania. Gdzież były te ,,Legiony'' Piłsudskiego? Gdy w rozmowach z oficerami tego ,,Polnische Wehrmacht'' — w naszym pojęciu legionistami, zapytywaliśmy ich, czy są oni legionistami Piłsudskiego — odpowiadano nam, że wręcz przeciwnie, że są *przeciwnikami* Piłsudskiego, że wyłamali się spod jego rozkazów... Gdy zapytywaliśmy legionistów z tzw. II brygady, którzy bili się z Niemcami pod Kaniowem, lub powrócili z austriackiego więzienia w Marmarosz Szyget — odpowiadali nam, iż są istotnie legionistami, lecz nie Piłsudskiego; że poszli za swym brygadierem Hallerem i że różnią się ideologicznie od Piłsudskiego... Gdzież więc byli ci prawdziwi legioniści Piłsudskiego i jacy oni byli? Przede wszystkim nadmieniano, że są to ,,socjałki'', że tytułują się ,,per obywatelu'', że nie noszą korony na orzełku. Mówiono nam, że są zamknięci przez Niemców w obozach koncentracyjnych w Szczypiornie i Benjaminowie; że jest ich tam zaledwie niewielka ilość, że część ich jest

w cywilu, i działa w tajnych związkach... To wszystko było bardzo trudne do zrozumienia i wcale nie przyczyniało się do wzbudzenia zaufania i szacunku do tak dziwnej postaci, o tak niejednolitej opinii, jaką była podówczas osoba Piłsudskiego, ani też do wojska, które on stworzył.

Niewątpliwie przyczyniła się do tego i opinia ludności Warszawy, a raczej pewnych sfer inteligencji. W tych kołach Piłsudski nie miał dobrej marki, uważano go raczej za niebezpiecznego polityka niż za przywódcę wojskowego. Ludność Królestwa — i Warszawy, od samego początku wojny w r. 1914, ustosunkowała się obojętnie — jeśli nie wrogo — do ruchu legionowego; wkraczające do Królestwa oddziały legionowe nie znalazły poparcia ani oparcia w narodzie i w sferach inteligencji. Wśród ludności pozostały, szczególnie w Kielecczyźnie, nawet przykre wspomnienia z jesieni 1914 r. z czasów pobytu tam legionistów Piłsudskiego. Kuzyn mojej Matki, który pracował w dziennikarstwie w Warszawie od wielu lat, wyraził się do mnie tymi słowy: ,,pojedź w Kieleckie, tam się dowiesz prawdy o Piłsudskim i o jego legionach i o ich wyczynach rekwizycyjnych...''. Co prawda nadmieniano, że Warszawa zmieniła swój stosunek do legionistów od roku 1916, gdy do Warszawy, wraz z ,,socjałkami'' I brygady wkroczyli inni legioniści, bardziej ,,konserwatywni'' z II brygady Hallera.



Już nazajutrz po przyjeździe do Warszawy koledzy poradzili mi zameldować się u mego dowódcy; był nim generał Iwaszkiewicz, który znał mnie jeszcze od 1916 roku z frontu pod Rygą. Odnalazłem go w teatrzyku literackim ,,Momus'', czy ,,Czarny Kot'', gdzie jakoby był ,,dyrektorem''. Urzędował w dawnym starym wojskowym frenczu, i ciemnych okularach. Przyjął mnie serdecznie i nakazał, jako oficerowi saperów, zameldowanie się u właściwego dowódcy — kapitana saperów Skoryny — w tajnym biurze przy ul. Królewskiej 35. Tam otrzymałem rozkaz by złożyć dokumenty do biura rejestracji celem wstąpienia do wojsk polskich, utrzymywać łączność z organizacją oficerów dawnego pułku inżynieryjnego Dowbora i... czekać dalszych rozkazów...

Nazajutrz stawiłem się w biurze rejestracyjnym na Krakowskim Przedmieściu Nr 36. Urzędowało tam kilku podoficerów właśnie z tego ,,Polnische Wehrmacht''; rozmowa nie pozostawiła mi przyjemnego wrażenia. Tonem zbyt pewnym i mało przyjemnym dawali mi do zrozumienia, że skłonni są zrobić pewną ,,uprzejmość'' w stosunku do mej osoby, kwalifikując mnie jako ,,nadającego'' się do Wojska Polskiego, że ,,prawdopodobnie'' nie znajdą trudności w ,,przyznaniu'' mi stopnia podporucznika (mimo, że przedłożyłem oryginalne dokumenty z armii rosyjskiej, a w tym i poświadczenie, że w r. 1917 zostałem przedstawiony do stopnia porucznika). Podobne wrażenie, a nawet i gorsze odnieśli i inni moi koledzy przy składaniu swych

dokumentów; uczucie ,,łaski'', jakie nam zechcieli okazywać polscy wojskowi, a w naszym pojęciu stronnicy Niemców, jeszcze bardziej pogłębiły animozje, jaką młodzież wojskowa z b. korpusów wschodnich mimowoli odczuwała do ,,legionistów''.



Wypadki teraz szły galopem. W pierwszych dniach listopada nie byliśmy już jak ,,tabaka'' w rogu. Stawało się jasne, że zbliżamy się do finału, do końca wojny, przegranej definitywnie przez Niemców i Austrię. A więc zwycięstwo Francji! A więc powstanie niepodległej Polski, bez ,,Rad Regencyjnych'', bez ,,Polnische Wehrmacht'', z własnym rządem, z własnym, prawdziwym polskim wojskiem, z naszymi dowódcami. Dowiadujemy się o klęsce Austrii, i więcej: że Kraków i Lwów w ręku polskim. Cenzura wyraźnie zelżała, okupacyjnych władz niemieckich nie odczuwa się; przeciwnie dochodzą słuchy, że Niemcy cywile i ich rodziny poczynają, przeważnie w nocy, opuszczać mieszkania w Warszawie, udając się do Niemiec. Nastrój podniecony; młodzież nasza przebywa już ustawicznie razem, jesteśmy pełni entuzjazmu, rwiemy się do czynu, oczekujemy tylko rozkazów... a rozkazy padają: czekać, czekać...

W tych pierwszych dniach listopada, dniach radosnego wyczekiwania, dają się wyczuwać zachmurzenia na innych horyzontach, tym razem wewnętrznych. Poza powszechnym entuzjazmem z powodu zbliżającej się klęski Niemców, poczęła powstawać obawa o sytuację wewnętrzną kraju. Prądy lewicowe dawały się wyraźnie odczuwać, sprzyjała po temu może nietyle sytuacja ekonomiczna kraju, która była w gruncie rzeczy znośna, ile sąsiedztwo rewolucyjnej Rosji. Prowadzono agitację i to agitację wywrotową; rzucano hasła te same, które słyszeliśmy przed rokiem w Rosji, obawialiśmy się że w ślad za hasłami pójdą czyny, a więc rewolucja, a więc anarchia... znaliśmy ją z Rosji.

Po prostu mówiąc obawialiśmy się ,,bolszewizmu'', którego świadkami byliśmy w Rosji. Nie byliśmy skłonni podówczas traktować bolszewizm jako ideę, kierunek polityczny czy socjalny; bolszewizm był dla nas synonimem anarchii, permanentnej rewolucji, bezprawia, władzy nieodpowiedzialnego tłumu, grabieży, rabunków, morderstwa; dla nas ,,bolszewik'' był nie synonimem niskiej klasy społecznej, lecz człowiekiem wyłamującym się z prawnych, etycznych i moralnych więzów. My, ówczesna młodzież wojskowa, nie stanowiliśmy jednej klasy socjalnej, a już bynajmniej nie klasy posiadającej, ani też nie zamierzaliśmy być podporą tej klasy. Przeciwnie byliśmy wszyscy biedni, prawdziwie i istotnie biedni, bez środków do życia, bez pomocy, bez ubrania, bez możliwości kontynuowania studiów; stanowiliśmy prawdziwy proletariat inteligencki. Staliśmy na stanowisku, że jeśli pewne zmiany socjalne mają się dokonać w życiu niepodległej Polski, niech będą przeprowadzone *w spokoju*, przez przedstawicieli narodu, a nie w drodze przymusu ze strony

nieodpowiedzialnych przywódców i tłumu, w drodze niszczenia dóbr i kultury... a więc w drodze ewolucyjnej, a nie rewolucyjnej.



W pierwszym tygodniu listopada 1918 r. w Warszawie wcale nie było ,,nudno''. Wypadki szły galopem, wyprzedzając się wzajemnie. Młodzież wojskowa spędzała cały czas na mieście, biegając od kawiarni do kawiarni w poszukiwaniu nowych wiadomości; wiedzieliśmy już na pewno, że Galicję zachodnią przejęły miejscowe władze polskie i że nawet ,,polskie wojsko'' we Lwowie jakoby spotkało się z oporem ,,wojsk ukraińskich''. Przyznam, że wśród nas, w większości wypadku kresowców, skłonnych uważać Lwów za bezspornie polskie miasto — wiadomość tak wywołała zdziwienie. Dziwiliśmy się, że Dowbór-Muśnicki jeszcze nie jest w Warszawie, tłumaczono nam, że stanął na czele improwizowanych oddziałów przejmujących teren okupacji austriackiej, a więc rejony Piotrkowa, Częstochowy, Sandomierza, Lublina.

Rodziny cywilnych i wojskowych Niemców w pośpiechu opuszczały Warszawę. Okupacja faktycznie przestała istnieć, oddziały ,,polskiej siły zbrojnej'', a więc dawnego ,,Wehrmacht'u'' były w Warszawie panami sytuacji.

Lecz jednocześnie, zupełnie już wyraźnie, dawało się wyczuwać, że partie lewicowe gorączkowo przygotowują się do jakiejś ruchawki; w Warszawie, w dzielnicach robotniczych oraz bliżej śródmieścia, koło Żelaznej Bramy, odbywały się wiece, pochody, manifestacje na których rzucano skrajne hasła; z południowej części Polski, gdzie skończyła się okupacja austriacka — dochodziły wiadomości co prawda niesprecyzowane, lecz bardziej niepokojące, o powstawaniu ,,republik'', rządów ludowych itp.

Wkrótce nadeszły historyczne dni, 8, 9 10 i 11 listopada, historyczne, zarówno ze względu na powagę wydarzeń, jak i na wyścigowe tempo, w jakim się toczyły, przesłaniając się wzajemnie. W dniach 8-9 listopada sprawdzają się przewidywania co do zamierzeń partyj lewicowych. Z Lublina dochodzą pierwsze niejasne jeszcze wiadomości o samorzutnym powstaniu ,,czerwonego rządu''. Na czele Daszyński — Witos — płk. Rydz-Śmigły. Wieczorem tegoż dnia znane są już fragmenty deklaracji tego rządu, przesądzając ustrój odradzającej się Polski. Opinia podnieconej młodzieży wojskowej skłonna jest uznać ten akt jako hasło do rewolucji szczególnie niebezpiecznej w tym pełnym chaosie, jaki powstanie w kraju po odejściu Niemców. Oczekiwaliśmy więc natychmiastowych skutków tej deklaracji już w dniu następnym, tj. 9 listopada w Warszawie. Było jasne, że zarówno dogorywająca Rada Regencyjna jak i istniejący, a powołany przez nią rząd, nie będzie w stanie przeciwstawić się ruchawkom w Warszawie, będąc kompletnie bezsilnym i nie ciesząc się zaufaniem w społeczeństwie.

Dzień 9 listopada na szczęście przyniósł Warszawie inne wydarzenie, od dawna oczekiwane przez wszystkich: wiadomość o kapitulacji Niemiec. Warszawę ogarnął szał entuzjazmu. Był to pierwszy dzień rozbrajania Niemców, a właściwie mówiąc, ,,samorozbrojenia się''. Na ulicach Warszawy ukazali się żołnierze niemieccy: Poznaniacy z przypiętymi barwami narodowymi, Alzatczycy — bez broni, z francuskimi trzykolorowymi wstążeczkami; rozpoczęło się ich bratanie z tłumem. Pojedynczo spotykani Niemcy bez oporu oddawali broń nawet podrostkom. Warszawa poczuła się wolna; radość tłumów, wylegających na ulicę, była bezgraniczna; nikomu do głowy nie przychodziło, by w podobnej chwili zajmować się polityką; umysły wszystkich zajęte były zbyt doniosłym wydarzeniem: klęską Niemiec. Dowborczycy otrzymali wezwanie by byli w pogotowiu i stawili się, prawdopodobnie w dniu następnym, do gmachu Uniwersytetu.

W noc z dnia 9 na 10 listopada — cała ,,Warszawa'' wyległa na ulice w nieprawdopodobnym podnieceniu. Zapomniano o wszelkiej polityce. Odezwa nowego rządu ,,lubelskiego'' nie znajdowała oddźwięku w szerokich ulicznych masach... ,,Warszawka'' odkuwała się na Niemczech, za 3 i pół letni okres okupacji... Tłumy urządzały polowanie na Niemców, szukały trofeów, każdy chciał powrócić do domu z takiego ,,polowania'' z bagnetem, szablą, rewolwerem, a już w najgorszym wypadku z pasem niemieckim lub bączkiem od wojskowej czapki... Pilnowano dworców, rejonów obok zakwaterowania wojsk niemieckich, gdzie było przypuszczenie, że mogą się ukazać wojskowi niemieccy. Nie stosowano siły, zresztą nie było potrzeba; ,,rozbrojeniu'' towarzyszył ogólny śmiech tłumu, ogólna radość, ogólny entuzjazm, a ze strony rozbrojonego w ten sposób Niemca — ujawniało się poniekąd zadowolenie, jeśli nie wdzięczność.

Tak minął dzień 9 listopada. Nastał 10 listopad. I oto w tym trzecim historycznym dniu Polski, błyskawicą roznosi się wieść po całej Warszawie, po wszystkich ulicach, po mieszkaniach — lokalach... *,,Piłsudski w Warszawie''*.

,,Uciekł od Niemców''... ,,Niemcy wypuścili z więzienia''. Ba! nawet twierdzenia, że sam ,,Foch kazał go zwolnić''...

Trudno opisać nieprawdopodobny entuzjazm tłumów wciąż zapełniających ulice... ,,Wrócił Komendant''... ,,Przyjechał wódz narodu''. ,,Władzę Piłsudskiemu''. ,,Precz z niemieckimi regentami''. Gdyby, przez nieopatrzność, Piłsudski ukazał się w tym dniu wśród tłumu na ulicach Warszawy — niewątpliwie groziłoby mu niebezpieczeństwo po prostu zgniecenia, zaduszenia przez rozentuzjazmowany tłum... Znajomi spotykając się klaskali w dłonie, z wypiekami na policzkach powtarzając sobie: ,,Piłsudski wreszcie przyjechał''.

Oto, jak za pociągnięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki, nastąpiła *kompletna* zmiana uczuć w społeczeństwie warszawskim w stosunku do Piłsudskiego... Opinia, osądy, ocena, krytyka jego osoby i jego poczynań, tak wyraźna jeszcze 2 tygodnie temu — poszła w niepamięć. W tym dniu Piłsudski nie miał

już wrogów, a tylko oddane mu wiernie tłumy i tłumy ludzi, różnych zabarwień politycznych, różnych klas socjalnych. Ci ,,Wehrmachtowcy'', którzy jeszcze dwa tygodnie temu z przekąsem mówili o Piłsudskim — dzisiaj z przekonaniem twierdzili: ,,no chwała Bogu, teraz on weźmie wszystkich za mordę''.. Sfery inteligenckie, które jeszcze wczoraj mówiły o nim z przekąsem, jako o ,,socjałku'' (jeśli nie gorzej) — były pełne entuzjazmu dla ,,księcia-socjalisty'', dla ,,czerwonego szlachcica'', dla kresowego pana, twierdząc, iż jest bardziej księciem niż socjalistą, bardziej szlachcicem niż czerwonym, że całą tę ,,lubelską bandę'' szybko rozpędzi, gdyż przede wszystkim jest dobrym Polakiem. Wreszcie — osoba Piłsudskiego znajdowała najbardziej gorące poparcie i wśród prostego tłumu, który widział w nim dawnego ,,towarzysza'', dawnego redaktora tajnego ,,Robotnika''... ,,Ziuka''...

W tym więc dniu opinia o Piłsudskim była jedna i jednolita: był uważany przez wszystkich za zbawcę Ojczyzny, za Wodza Narodu... W tym dniu zdobył sobie uznanie błyskawicznie, automatycznie, bez wysiłku, wśród wszystkich — wszystkich, bez względu na klasę socjalną, na zawód, na wyznanie... I my, młodzi wojskowi, przeważnie Dowborczycy, zaraziliśmy się od razu tym ogólnym entuzjazmem; zapomniano o wszystkim co o Piłsudskim mówiono: w tym dniu staliśmy się szczerymi jego zwolennikami, ślepo gotowymi wypełnić jego rozkazy z pełną wiarą w przyszłość. Wydaje się, że w tym dniu zapomnieliśmy nieco o Dowborze: Piłsudski nam go zastąpił. W tym dniu Piłsudski stał się jak gdyby *panaceum*, uniwersalnym środkiem na wszystkie bóle i potrzeby zarówno Warszawy jak i całej Polski.

W tym dniu Piłsudski dostał Polskę; Polska znalazła swego Wodza.



Wydaje się, że podówczas nikt sobie nie zdawał sprawy z tego, jak historyczne znaczenie dla przyszłej Polski odegrały trzy, czy cztery kolejno po sobie następujące dni 8, 9, 10 i 11 listopada. Wydaje mi się, że i dziś, w najnowszej historii Polski, ta kolejność historyczna wydarzeń, *z dnia na dzień po sobie następujących,* nie znalazła należytego zrozumienia. Powtarzam: kolejność wydarzeń; bowiem, gdyby wypadki tych kilku kolejnych dni nastąpiły z pewnym interwałem, *dzieje Odrodzonej Polski poszłyby niewątpliwie innym torem.*

Gdyby poddanie się Niemców nastąpiło nie 9 listopada, a dwa tygodnie później, 23 listopada, wydaje się, że Polska byłaby w pełni rewolucji... Odezwa ,,rządu lubelskiego'' z dnia 7 listopada dotarłaby z łatwością do całej Polski i wywołałaby zapewne wręcz odwrotny skutek, niż zamierzali jej projektodawcy a mianowicie krwawą rewolucję, z nikim i z niczym nie dającą się porównać, przy kompletnym braku jakiejkolwiek władzy,

cywilnej czy wojskowej, przy kompletnym braku administracji państwowej i samorządowej, przy braku skarbu i policji, wreszcie przy braku urobionej takiej czy innej opinii... Taką odezwę, takie hasła mógł rzucić tylko rząd, który już posiadał w swym ręku elementy rządzenia...

Stało się inaczej, bo już nazajutrz, zanim odezwa przeniknęła do narodu, zanim opanowała umysły szerokich mas — nastąpiła w dniu *następnym* klęska Niemiec... Stało się to *większym,* znacznie większym wydarzeniem dla ludności, dla *tłumu,* niż na razie, polityczne wałkowanie odezwy...

Automatycznie zmieniła się psychologia tłumu... z postawy wrogiej, agresywnej, z walki o prawa socjalne, tłum przeszedł do postawy bezgranicznie radosnego entuzjazmu z powodu klęski znienawidzonego wroga. Tłum ponury — jest groźny dla każdego, tłum oszalały z radości — nie zna granic swej wielkoduszności, swego entuzjazmu i... swej głupoty... Tłum nie kieruje się rozumem.

I w tej właśnie psychologii tłumu, oszalałego z radości, jakim się charakteryzowała ,,Warszawka'' w dniach 10-11 listopada 1918 r. właśnie w tym, być może, leży i *powodzenie* Piłsudskiego, ta nieprawdopodobna, błyskawiczna zmiana nastrojów, zapał powszechny ku niemu, jednomyślna nowa opinia. Tłum, a podówczas w tłumie była cała ludność Warszawy — ten szczęśliwy, wesoły tłum automatycznie przeniósł cały swój entuzjazm na osobę Piłsudskiego, tym bardziej, że wracał jako więzień tychże znienawidzonych Niemców, na których się dziś ten tłum ,,odkuwał''. Wracał więc nie tylko ,,Komendant Legionów'', socjał, czy nie socjał, wracał człowiek, który istotnie cierpiał od Niemców, cierpiał za ideę. Tłum instynktownie potrzebował przywódcy, odnalazł go, począł składać mu hołdy i uważał go za dostojnego przywódcę Odrodzonej Polski.



Poruszę wydarzenia związane z rozbrojeniem Niemców w dniach następnych. Było faktem, że rozbrajano pojedynczych Niemców, że rozbrajały się oddziały, które chciały się rozbroić, natomiast oddziały zdyscyplinowane, zwarte, odmówiły rozbrojenia i wyszły z Warszawy z bronią w ręku, na mocy układów już Piłsudskiego z niemiecką ,,Radą Żołnierską'' (2). W dniu 11 lub 12 listopada, po takiej nieudanej próbie ,,rozbrojenia'' batalionu czy kompanii niemieckiej przy ulicy Długiej nr 7 — meldowałem się na Mokotowie, w późniejszym gmachu kasyna lotników, gdzie już rozlokował się sztab 1 pułku inżynieryjnego, na czele z płk. Skoryną. Dostałem przydział do batalionu tele-

(2) Ogromną rolę odegrali dowborczycy: ich tajny sztab w szczegółach od dawna przewidział rozbrojenie; rozkazy pisemne były już wydane 9 listopada (patrz oryginalne dokumenty umieszczone w mej pracy: ,,Zarys dziejów lotnictwa polskiego'', str. 62-64 ,,Księga ku czci poległych lotników'', Warszawa 1933 r.).

graficznego; dowódcą tegoż wyznaczono miłego, starszego pana, kapitana Andrzeja Miączyńskiego, Dowborczyka. Otrzymałem tego dnia konkretny rozkaz: objąć i uruchomić centralę telefoniczną „Cedergrena" na Zielnej i trzy centrale wojskowe na Zamku Królewskim, w Komendzie Miasta i w gmachu Sztabu Generalnego na placu Saskim. Z centralą miejską nie miałem kłopotu, gdyż na drugi czy trzeci dzień objęły ją władze pocztowe; natomiast przypadł mi zaszczyt uruchomienia trzech central wojskowych jak i przyjemność obsadzenia ich pięknymi telefonistkami, przeważnie studentkami Uniwersytetu, które pośpieszyły chętnie na wezwanie. Moje miejsce postoju obrałem przy centrali na Zamku, podówczas w podwórzu, w drugiej wewnętrznej bramie.

Obchodziłem, po raz pierwszy w życiu, komnaty Zamku Królewskiego, pozostawione w okropnym stanie przez Niemców, uciekających w pośpiechu. W kominkach leżały zwęglone papiery, obok na podłogach stosy dokumentów... Jednak linie telefoniczne i aparaty pozostały na miejscu, nienaruszone; z dniem więc 13 czy też 14 listopada, na Zamku Królewskim rozpoczęło urzędowanie Ministerstwo Spraw Wojskowych, na czele z kierownikiem Ministerstwa, płk, inż. Janem Wroczyńskim, Dowborczykiem.

Skończyły się wreszcie beznadziejne dni wysiadywania po kawiarniach i bilardach, politykowania... Teraz pracy wystarczało dla każdego na dzień i noc; otrzymaliśmy przydziały dla różnych oddziałów, przestaliśmy się widywać, chyba że wpadając na szybki posiłek do dawnej „Gospody", czy innej kawiarni. Z tytułu mego stanowiska, komendanta central wojskowych, zawierałem nowe znajomości i miałem możność zapoznać się z szeregiem starszych oficerów, generałów, domagających się uregulowania telefonicznej łączności; dotarłem przy tej okazji nawet do osoby samego „pana Ministra".

Polityką przestano się interesować, bo kiedy i po co? Władzę objął Piłsudski, ku zadowoleniu wszystkich. Nikogo z nas nie ciekawiło na jakiej drodze, bardziej lub mniej prawnej, odbyło się objęcie władzy; przyjmowaliśmy fakt, że mamy Wodza, Naczelnika Państwa czy Naczelnego Wodza, którego pierwsze posunięcia dały się już odczuć, i to po myśli ogółu. Piłsudski bowiem, w naszym pojęciu od razu „rozpędził" na cztery wiatry demogogiczny i samozwańczy „rząd lubelski" (i co najważniejsze został usłuchany!), a więc zahamował zgubne konsekwencje pierwszych poczynań tego rządu. To było najistotniejsze dla wszystkich; wszystkich wojskowych, cieszyło, że przyszedł człowiek o silnej ręce, ujął władzę, wymagał posłuchu i znalazł go. Nieznany więc nam, do niedawna ostro krytykowany Piłsudski, począł w naszych oczach wyrastać na istotnego zbawcę Ojczyzny...

Pod koniec listopada, mój dowódca kpt. Miączyński otrzymał rozkaz przeformowania batalionu telegraficznego w samodzielny pułk z miejscem postoju na Cytadeli; wyznaczył mnie

jako adiutanta pułkowego, co nie było po mojej myśli, albowiem już miałem załatwione przeniesienie do lotnictwa. Rozpoczęliśmy w większym gronie oficerów, formowanie pułku, do którego poczęli powoli napływać ochotnicy, w dużej mierze jednoroczni studenci. Mimo ogromu pracy — mieliśmy możność spędzania wspólnie czasu w improwizowanej stołówce, w improwizowanych mieszkaniach oficerskich; poczęliśmy wymieniać wrażenia nie tylko między oficerami naszego pułku, lecz i z innymi, stacjonowanymi również w Cytadeli.

Pierwotny entuzjazm z dni 11 listopada, radość z powodu odzyskania Niepodległości, zadowolenie z okazji objęcia władzy przez Piłsudskiego i z jego pierwszych stanowczych kroków, hamujących zapowiadającą się wewnętrzną ruchawkę — powoli zaczęły zanikać. Jak się okazało, rozpędzenie rządu lubelskiego, odsunięcie od władzy „socjałów" było bardzo a bardzo krótkotrwałe... Już około 20 listopada Piłsudski powołał nowy rząd... właśnie socjalistyczny, na czele z Moraczewskim. Rząd ten — tymczasem za zgodą Piłsudskiego — ogłosił program w zasadzie nie odbiegający od manifestu „rządu lubelskiego", nie czekając na zwołanie Sejmu. Gazety lewicowe domagały się jeszcze bardziej radykalnych posunięć, wiadomości z miast, ze wsi,. były niepokojące: niezadowolenie, strajki, wystąpienia, rozruchy, organizacja jakichś prowincjonalnych republik...

W samej Warszawie również nie działo się zbyt dobrze; rozpoczęły się strajki, wystąpienia robotnicze... wyczuwaliśmy, że stosunek ludności do nowoformującego się wojska z ochotników, przeważnie z inteligencji, nie jest przyjazny; mieliśmy niejednokrotną okazję sprawdzenia tego przejeżdżając tramwajem z dworca Gdańskiego poprzez żydowskie dzielnice do śródmieścia. W Warszawie coś nurtowało, coś się szykowało... Zdarzały się nawet napady na pojedyńczych oficerów; w ogrodzie Saskim raniono jednego z nich nożem. W grudniu byliśmy świadkami i poważniejszych wydarzeń koło Cytadeli: oto, poza murami Cytadeli, uruchomiona została, bodajże jedyna w Polsce poniemiecka stacja radiotelegraficzna otoczona drutami; w nocy strzelano do wartowników, przy antenie jednego zraniono; musieliśmy ubierać ich w białe prześcieradła, by nie uwidoczniali się na śniegu. Byliśmy świadkami i innych wydarzeń: podówczas tramwaj nr 17 dochodził tylko do Dworca Gdańskiego; by dostać się do Cytadeli należało przejść przez żelazny wiadukt ponad torami i przejść około pół kilometra po pustej, podówczas, drodze do bramy Cytadeli; droga otoczona była zarośniętymi nasypami i spoza nasypów strzelano do wojskowych. Przypominam sobie, jak w wieczór Sylwestrowy, chcąc udać się — w większym gronie z Cytadeli na dworzec Gdański — na zabawę do sal redutowych — musieliśmy sformować dwa patrole i puścić je po obu stronach drogowego nasypu.

Największym jednak oburzeniem napawało nas formowanie tzw. „milicji ludowej". Składała się ona przeważnie z młodzieży ubranej w mundury wojskowe i zorganizowanej jak wojsko, jed-

nak nie podlegającej dowództwu wojskowemu. Były to jakieś nowe formacje, o nieznanych nam zadaniach i wyraźnie wrogo ustosunkowane do regularnego, tworzącego się wojska. Oficerów armii nie salutowano, na orzełkach korony nie noszono, wzajemnie tytułowano się per ,,obywatelu''. Na czele tej milicji stanął jakoby legionista Piłsudskiego, kapitan Boerner, o którym fama głosiła, że jest znanym rewolucjonistą, czy anarchistą jeszcze z r. 1905, Na domiar wszystkiego, ci pseudo-wojskowi byli ubrani w bardzo przyzwoite mundury i płaszcze, których my, dla naszych ochotników, nie mogliśmy zdobyć. Napawało to nas goryczą, zdziwieniem, i po prostu obawą...

W oddziałach oficerowie poczęli szemrać... *préstige* Piłsudskiego, zapał z którym go witaliśmy jako zbawcę Ojczyzny — począł zanikać. Ponownie powrócono do dawniejszej o nim opinii jako o ,,socjałku''; poczęliśmy upatrywać w nim po prostu *polskiego Kiereńskiego,* który prowadzi — i doprowadzi — kraj do rewolucji. Analogia z przebiegiem rewolucji rosyjskiej była, zdaniem naszym, bardziej niż uderzająca; Piłsudski w naszych oczach świadomie, czy nieświadomie — prowadził kraj ku przepaści. Ponownie myśli nasze kierowały się ku byłemu dowódcy, Dowbór-Muśnickiemu, jako temu, który byłby w stanie zapobiec katastrofie, lecz Dowbora w Warszawie nie było, nie został powołany do wojska, nie dawał znaku życia o sobie. Wyczuwaliśmy, słusznie czy niesłusznie, że stało się to za wiedzą lub na rozkaz Piłsudskiego, co nas jeszcze bardziej rozgoryczało. Ogólnie mówiąc, w wojsku panował pewnego rodzaju niepokój, niezrozumienie, a nawet i trwoga; mieliśmy ograniczony i czas i możliwości czerpania informacji — przeważnie z gazet i z plotek; byliśmy ponadto młodzi, niedoświadczeni, niewyrobieni politycznie; dowódcy nasi, znajdowali się w podobnej jak młodzież, sytuacji i nie byli w stanie udzielić nam uspokajających informacji.



Tuż przed Bożym Narodzeniem, jeden z młodych oficerów pułku (z którym zaprzyjaźniłem się bliżej i mieszkałem razem w Cytadeli) — ppor. K, uzyskując ode mnie obietnicę zachowania tajemnicy, zwierzył mi się, że został wciągnięty przez swego przyjaciela ppor. Ż. (3) do tajnej organizacji wojskowej, mającej na celu niedopuszczenie do rewolucji, dobrze nam znanej z Rosji; zapytywał mnie, czy nie chciałbym przystąpić do tejże organizacji. Bliższe szczegóły nie były mu znane, oczekiwał powołania na specjalne zebranie, gdzie miały być podane do wiadomości; za-

(3) Nie uważałem za właściwe ujawnić nazwisk ppor. K i Ż, nie mając ich zgody i nie wiedząc, co się z nimi dziś dzieje. Jeden z nich był kuzynem Piłsudskiego (przez pierwszą żonę), lecz nie podtrzymywał stosunków; drugi — w późniejszych czasach, o ile mi wiadomo, został profesorem Politechniki Warszawskiej. Wszyscy byliśmy wychowankami Aleksiejowskiej Wojsk. Szkoły inżynierskiej w Kijowie; byłem z nich najstarszy).

pewniano go, że na czele tej organizacji stoją wybitne osobistości tak wojskowe jak i cywilne. Nie zastanawiając się nad mą sytuacją wojskowego w służbie czynnej, bez dłuższego wahania wyraziłem swą zgodę, uważając za zaszczyt należenie do ,,zbawców ojczyzny''. Oczekiwaliśmy więc wezwania na zebranie.

Nastąpiło ono niebawem; pewnego wieczoru ppor. Ż. wprowadził nas do nieznanego mieszkania przy ulicy Żurawiej, gdzie zastaliśmy kilku cywilnych panów, którzy nie kwapili się z ujawnieniem, w sposób wyraźny, swych nazwisk. Wśród tych cywilów rzucała się w oczy niecodzienna postać, niewielkiego wzrostu, o typie wschodnim, gruzińskim, lub kubańskiego kozaka, o dużych wąsach, ubrana w niesamowity strój-mundur ni to huzara węgierskiego, ni to hotelowego chłopca. Nieco później dowiedziałem się, że tą dziwną postacią, podówczas już słynną, był niejaki Gorczyński, inicjator formowania tzw. ,,Legionu Puławskiego'' oddziału polskiego, przy armii rosyjskiej.

Wojskowych w mundurach było czterech lub pięciu; nas trzech i czwarty kapitan saperów Marian (czy Mieczysław?) Wężyk; piątym był, jeśli mnie pamięć nie myli, jednoroczny wachmistrz, Janusz Wojciechowski. Pierwsze wrażenie z tego tajnego zespołu nie było zbyt dodatnie, a mogło się wydawać nawet i podejrzane. Nam jednak obecność kpt. Wężyka dawała dużą gwarancję; był on znany jeszcze w oddziałach saperskich armii rosyjskiej jako bohater wojenny; należał do bardzo nielicznych oficerów saperów odznaczonych za osobistą odwagę najwyższymi w armii rosyjskiej odznaczeniami: orderem Św. Jerzego i ,,złotą szablą'' Św. Jerzego.

Nie było żadnego rytuału zaprzysiężenia. Zebranie zagaił jeden z nieznanych nam cywilów, rysując polityczną sytuację Polski. ...,,Polska, zaledwie odrodzona, idzie wyraźnie i nieuchronnie ku przepaści... Polsce grozi w najbliższym czasie rewolucja, a więc anarchia. Władza znajdzie się w ręku socjalistycznego rządu... są to ci sami ludzie, którzy samozwańczo wystąpili w listopadzie w Lublinie i ogłosili demagogiczny manifest... ci prowodyrzy są w ścisłej łączności z kierownikami rewolucji rosyjskiej, idą ręka w rękę z nimi... dążą do jednego celu... na razie podburzają robotników, chłopów, stwarzają ferment... w tych warunkach rewolucja jest nieunikniona... znamy ją z Rosji... cały kraj jest przeciwko nim... cała inteligencja, cała warstwa robotnicza... jednak wszyscy są bezsilni albowiem faktyczna władza jest w ręku nieodpowiedzialnych ludzi... oni znajdują oparcie i to ograniczone w bojówkach robotniczych i w zorganizowanych oddziałach milicji...''. I tak dalej w tym samym sensie.

Mówca wspominał i o sytuacji międzynarodowej: ,,...sytuacja Polski na gruncie alianckim zarysowuje się wybitnie niebezpiecznie... Alianci nie uznali polskiego rządu socjalistycznego i nigdy go nie uznają... Polska zawisła w powietrzu... Grozi to konsekwencjami w związku ze zjednoczeniem Polski, z przyznaniem Poznańskiego... przyszłe zachodnie granice Polski zależą w zupełności od postanowień Aliantów, gdyby w Polsce zapa-

nowała anarchia, los Poznańskiego mógłby być zdecydowany na naszą niekorzyść...".

Słuchaliśmy w naprężeniu; wszystko, co wyjaśniał wydawało się logiczne, zrozumiałe i groźne. Wkrótce mówca przeszedł do oceny sytuacji wewnętrznej... ,,Piłsudski, w ręce którego oddaliśmy władzę, zawiódł, mimo, że pierwszych posunięć dokonał szybko i sprawnie, likwidując rząd samozwańczy w Lublinie... początkowo nabraliśmy do niego zaufania lecz na krótko... okazało się, że dawniejsze jego powiązania z socjalizmem są zbyt silne... wbrew opinii kraju, zmuszony był powołać rząd socjalistów... nie był już na siłach im się oprzeć... Piłsudski znalazł się w sidłach socjalistów i sam nie może się z nich wydobyć... Zdaje on sobie doskonale sprawę z groźnej sytuacji lecz sam jest bezsilny... Potrzebuje pomocy... potrzebuje, jak się wyraził, dyskretnego ,,nacisku", który by mu pozwolił na radykalną zmianę rządów... na odsunięcie socjalistów... Musimy mu w tym dopomóc... musimy wytworzyć ten ,,nacisk", oto nasze zadanie"...

Nieco dalej nastąpiła ocena ,,przeciwników" i strony własnej: ...,,Ten nacisk musimy wytworzyć, lecz bez rozlewu krwi, bez bratobójczej walki... i to w tempie błyskawicznym... stać nas na to... właściwie mówiąc przeciwników nie mamy; kraj jest za nami; rozsądne sfery robotnicze i ludowe zaakceptują nowy rząd jeśli akcja będzie dokonana sprawnie i bez rozlewu krwi... Właściwymi przeciwnikami są jedynie członkowie rządu, socjalistyczni i ludowi ministrowie... trzeba ich unieszkodliwić na pewien czas i odebrać im na zawsze chęć opierania się na wzorach rosyjskiej rewolucji... Jedynym bardzo poważnym przeciwnikiem jest Milicja ludowa... stanie ona wyraźnie i to zbrojnie w obronie rządu socjalistycznego... Całe wojsko jest po naszej stronie i jest zdolne zdławić Milicję ludową lecz w drodze bratobójczej walki, czego za wszelką cenę trzeba unikać... Cały garnizon warszawski jest z nami... Szef Stabu Generalnego, generał Szeptycki jest poinformowany o akcji, gdy pod ,,naciskiem" spoza wojska nastąpi zmiana rządu — Szeptycki uzna od razu nowy stan rzeczy... jest on w porozumieniu z Piłsudskim"...

Nastąpiła krótka ocena wojskowych sił ,,naszych". Podówczas, na czele wszystkich prawie jednostek wojskowych w Warszawie stali dowborczycy. Warszawską brygadą piechoty złożoną z 21 i 36 pp. dowodził płk Jaźwiński, dowborczyk; 3 pułkiem ułanów dowodził płk Strzemiński, dowborczyk; artyleria była w ręku dowborczyka płk. Malewicza (?); 1 pułkiem inżynieryjnym dowodził płk Skoryna, dowborczyk; 1 pułkiem telegraficznym dowodził kpt. Miączyński, dowborczyk; batalionem lotniczym dowodził major Bolsunowski, z korpusu wschodniego gen. Michaelisa. Ponadto były w Warszawie bardzo poważne jednostki szkolne jak Szkoła podchorążych, i Szkoła podoficerska obie w ręku byłych oficerów Wehrmachtu. Szkołą podchorążych dowodził płk Kukiel; poinformowano nas, że te oddziały stoją również po ,,naszej" stronie.

...,,Jak widzicie panowie, wszystko właściwie jest przemyślane i zorganizowane... akcja przeciwko ministrom jest w dobrych rękach... ,,nacisk'', którego sobie życzy osobiście Piłsudski zostanie dokonany przez kpt. Wężyka... być może przy tej okazji kpt. Wężyk będzie zmuszony ,,aresztować'' Piłsudskiego... pozostanie jedynie Milicja ludowa... rozchodzi się o uniemożliwienie za wszelką cenę Milicji ludowej wejścia w akcję, a więc uniemożliwienie zaalarmowania jej w ciągu tych kilku godzin trwania akcji... właśnie do panów, oficerów łączności, w rękach których znajdują się telefoniczne połączenia Warszawy, zwracamy się z tym apelem... rozchodzi się przede wszystkim o przerwanie wszelkich komunikacji telefonicznych między mieszkaniami i biurami ministrów i ich ministerstw a Milicją ludową... żandarmeria jest w naszych rękach... prosimy panów o dokładne przemyślenie waszych możliwości... za kilka dni spotkamy się ponownie, aby przedyskutować panów propozycje...''.

Na tym zakończono pierwsze, wstępne wprowadzenie nas do sprawy... Wyszliśmy z posiedzenia... naradzaliśmy się... Nam, młodym oficerom, przede wszystkim imponował zaszczyt wciągnięcia nas do spisku, odegrania roli ,,zbawców Ojczyzny'', tym bardziej, że jak dobrze zrozumieliśmy, *właściwie mieliśmy działać po myśli Naczelnika Państwa...* a więc udział nie w rebelii wojskowej, a w ,,nacisku'', w okazaniu pomocy. To nas wbijało w dumę i zapalało.

Postawione nam zadanie nie wydawało się trudne, tylko nieco skomplikowane, bowiem łączność telefoniczna z Milicją ludową przechodziła nie przez centrale wojskowe, a przez miejską sieć telefonów ,,Cedergrena'' na Zielnej, podległą Ministerstwu Poczt i Telegrafów. Wydawało się nam, że tę trudność da się łatwo przezwyciężyć w drodze podstępu, a więc czasowego opanowania Centrali przez jednego z nas, pod takim czy innym pretekstem. W ten sposób również udałoby się przerwać wszelką telefoniczną komunikację pomiędzy mieszkaniami ministrów, ministerstwami jak i Milicją ludową, na wypadek, gdyby ktoś z ministrów lub urzędów chciał się wzajemnie komunikować.

Po krótkiej naradzie, zdecydowaliśmy pójść nieco dalej, z naszymi propozycjami. Wychodziliśmy z założenia, że chcąc ,,unieszkodliwić'' Milicję ludową, należy pozbawić ją ,,głowy'', jej dowódcy, a więc kpt. Boernera, po prostu aresztując go, co mogłoby być dokonane jedynie w drodze podstępu... zdaniem naszym, należało znaleźć sposób ,,wywabienia'' pod tym czy innym pretekstem kpt. Boernera, zaaresztowania go, a następnie przerwania telefonicznej komunikacji. Gdyby nawet Milicja ludowa została zaalarmowana na innej drodze, pozostawałaby bez swego dowódcy... Ułożyliśmy więc plan pomiędzy sobą: mnie, jako byłemu komendantowi stacji telefonicznych przypadnie w udziale ,,łagodne'' obsadzenie centrali miejskiej na Zielnej, i uniemożliwienie połączeń telefonicznych, natomiast podporucznicy K i Ż, łącznie z wachmistrzem Wojciechowskim mieli wywabić kpt. Boernera, a to na podstawie sfabrykowanego przez

nas, pilnego pisma Komendanta Miasta, płk. Zawadzkiego (czy Minkiewicza?) do kpt. Boernera, wzywającego go do Komendy Miasta na „pilną, nocną" naradę. Po drodze pporucznicy K i Ż zatrzymają samochód i zaaresztują kpt. Boernera.

Z podobnym więc projektem zjawiliśmy się ponownie na ulicy Żórawiej, kilka dni później. Zgromadzenie nie było zbyt liczne; projekt nasz został aprobowany w zupełności i uznany za pomysłowy. Liczono się, że w razie pozbawienia Milicji ludowej ich komendanta — bezwzględnie uniknie się rozlewu krwi. O dokonanym „zamachu" Milicja dowie się dnia następnego, gdy już nowy rząd zostanie ogłoszony i gdy wojsko stanie po stronie nowego rządu. W ten sposób pierwotnie nam narzucone zadanie dotyczące jedynie przerwania komunikacji telefonicznych, zostało na naszą propozycję znacznie rozszerzone.

Poinformowano nas (było to w ostatnich dniach grudnia), że właściwa „akcja", rozpocznie się „tuż, tuż"... na ostateczną zbiórkę wyznaczono lokal przy ulicy Emilii Plater, nr 2 lub nr 4, w podwórzu. Mieliśmy tam otrzymać ostatnie rozkazy, a akcję podstępu w stosunku do kpt. Boernera mieliśmy przygotować w drobiazgach. Zbiórka ostateczna po „nacisku" — w Alejach Jerozolimskich nr 73, w podwórzu, na II czy III piętrze, gdzie stacjonowała wojskowa kolumna samochodowa, z której mieliśmy otrzymać samochód do wysłania po kpt. Boernera.



Po kilku dniach nastąpił dzień „J". Byliśmy przygotowani: ja, miałem udać się do „Cedergrenu", jako „nadzwyczajny" oficer dyżurny z wykazem numerów telefonów łączących Belweder, Ministerstwa, Milicję ludową i mieszkania prywatne ministrów. Sfałszowaliśmy list Komendanta Miasta na blankiecie Komendy Miasta, o brzmieniu mniej więcej następującym:

Do Kpt. Boernera,
Komendanta Milicji Ludowej
w Warszawie.

W związku z nadzwyczajnymi wypadkami proszę Pana Kapitana o natychmiastowe przybycie do Komendy Miasta.

Posyłam Panu samochód.

Komendant Miasta.

O północy udaliśmy się na ul. Emilii Plater. W podwórzu tegoż domu mieściła się duża sala w rodzaju gimnastycznej. Zastaliśmy tam około 50 — 60 cywili, najbardziej przeróżnie ubranych; trudno było określić z jakich sfer pochodzili, tym bardziej, że panował półmrok. Ktoś z cywilów zapytał nas, jakiej pomocy potrzebujemy dla naszej „akcji" — podziękowaliśmy, gdyż żadnej pomocy nie potrzebowaliśmy.

Oznajmiono nam godzinę rozpoczęcia akcji: 1-sza po północy. Tuż przed pierwszą wyszliśmy z lokalu; ja udałem się do Centrali telefonicznej, a ppor. K i Ż, wraz z wachmistrzem Wojciechowskim do kolumny samochodowej w Al. Jerozolimskich. W tymże lokalu na Emilii Plater formowano oddziałki przeznaczone do zaaresztowania ministrów. Jeśli pamięć mnie nie myli, tamże został sformowany oddział kpt. Wężyka, który miał udać się do Belwederu.

Główną centralę telefoniczną znałem już poprzednio z pierwszych dni niepodległości; mieściła się ona na najwyższym piętrze w dużej sali; podówczas nie była ona automatyczna, ale obsługiwana przez telefonistki; część z nich znała mnie z dni listopadowych.

Wchodząc, bez przeszkód, na salę telefoniczną, oznajmiłem, że jestem wyznaczony na dzisiejszą noc specjalnym oficerem dyżurnym, a to ze względu na toczące się wypadki. Jednej ze starszych telefonistek doręczyłem wykaz numerów ,,zastrzeżonych'', z tym, że łączenie tych numerów może nastąpić tylko za moją zgodą. Telefonistki przyjęły moje decyzje bez podejrzenia, zaopatrując te numery specjalnymi lampkami czy znakami. Było około 2-iej w nocy. Wkrótce zaczęły się odzywać ,,zastrzeżone'' telefony. Panienki mnie wzywały: telefonowano z mieszkań, z biur, z Milicji ludowej... wysłuchiwałem głosów i zakazywałem łączenia.

Widocznie moja działalność wywołała zaniepokojenie, bo około godziny 3.30 wszedł nieoczekiwanie do sali telefonów kapral-poznaniak. Okazuje się, że w budynku na dole była warta wojskowa, o czym nie wiedzieliśmy, została ona zaalarmowana przez jedną z telefonistek, której moje zachowanie wydawało się podejrzane. Kapral dość ostro zapytał mnie — kim jestem i jakim prawem znajduję się w sali? Odpowiedziałem, że jestem oficerem pułku telegraficznego i specjalnie wyznaczonym oficerem dyżurnym. Był zdziwiony, że ,,nic o tym nie wie'' i oświadczył mi, że pójdzie meldować swemu dowódcy... Sytuacja poczęła się dla mnie komplikować; uznałem swą ,,misję'' za skończoną, tym bardziej, że od pół godziny ustały nawoływania telefoniczne...

Wychodząc z gmachu Cedergrenu, w mroźny już poranek, skierowałem się do Komendy Miasta, chcąc zaczerpnąć informacji o akcji przeciwko kpt. Boernerowi. Obok Komendy Miasta stał jakiś oddział. W pobliżu spotkałem pojedynczego oficera piechoty z Cytadeli. Zapytałem go, co się dzieje? Oświadczył mi, że została zaalarmowana między innymi i kompania piechoty 22 pp., która pod dowództwem por. Konopackiego (?) przybyła pod Komendę Miasta. Wkrótce podszedł do dowódcy kompanii generał Szeptycki, któremu por. Konopacki zameldował się służbowo. Generał stanął przed kompanią, przywitał się z żołnierzami i otrzymał regulaminową odpowiedź. Wtedy rzucił kilka komend musztrowych, które kompania wykonała; widząc,

że ma oddział w ręku dał rozkaz dowódcy... po prostu odprowadzić żołnierzy do koszar...

Zdecydowałem nie wchodzić do Komendy Miasta i skierowałem się na miejsce zbiórki w kolumnie samochodowej w Alejach Jerozolimskich. Było już wyraźnie nad ranem. Wchodząc w podwórze, spotkałem podporucznika-dowódcę tej kolumny, był bardzo zaaferowany... ,,co za burdel... nie wiadomo co z tego będzie... zdaje się, że wszystko pękło... przyprowadzono tu kilku ministrów.. Thugutt odsłonił drzwi swego mieszkania ale łańcuch był założony, nie mogąc go aresztować strzelono przez drzwi... nie wiadomo czym się to skończy... już tu radzono, by szybko wyrywać do Poznania...



Świtało, gdy wracałem 17-ką na dworzec Gdański; byłem wściekły, sam na siebie, na wszystkich, było mi wstyd. Zrozumiałem, że zostałem wciągnięty do bardzo niepoważnej akcji, do spisku przeciwrządowego, że wszystkie zapewnienia jedynie o ,,nacisku'' były łgarstwem, pułapką, dla nas wojskowych. Czułem potrzebę ,,wyspowiadania'' się z mego grzechu; postanowiłem to uczynić przed moim dowódcą kpt. Miączyńskim, tegoż dnia, tegoż ranka, od razu...

W koszarach zastałem już ppor. K, również przygnębionego i zawstydzonego, mimo, że ich akcja została uwieńczona całkowitym sukcesem. Opowiadał mi w szczegółach, jak wraz z ppr. Ż. zajęli stanowiska po obu stronach wylotu ulicy Wierzbowej na plac Saski, a samochód posłali z Wojciechowskim po kpt. Boernera. Wachmistrz Wojciechowski doręczył rozkaz kpt. Boernerowi, czekał na niego w samochodzie i wiózł go umówioną trasą, przez Wierzbową. Szofer był również w zmowie, więc na okrzyki ppor. K i Ż od razu zatrzymał samochód; kpt. Boerner został na miejscu rozbrojony; odebrano mu pas i rewolwer, który miał na płaszczu, po czym zawieziono go w Aleje Jerozolimskie. Ppor K opowiedział mi z grubsza, z domysłami, o ,,akcji'' kpt. Wężyka na Belweder — jakoby on zbliżył się z tym oddziałem cywilów do Belwederu, zostawił wszystkich w Alejach Ujazdowskich, a sam udał się do Belwederu, skąd już nie wrócił... oddział sam się rozproszył. Było nam obu bardzo nieswojo; palił nas wstyd.

Wkrótce przybył dowódca pułku, kapitan Miączyński. Poprosiłem o poufny meldunek; uczciwie przedstawiłem mu cały mój udział w tej akcji. Wysłuchał, jak zawsze w spokoju, po czym ojcowskim już tonem zaczął mi czynić wyrzuty: ,,jak pan mógł... jak panu nie wstyd. Oficer służby czynnej... w mundurze... udział w akcji politycznej... to hańba munduru... po co pan się wtrąca do polityki? przecie pan nie ma o tym najmniejszego pojęcia''. Widząc mnie złamanego, zmienił ton: ,,no, ale wam wszystkim nic nie będzie... na czele stał Sapieha... jest on żonaty z siostrą Zamoyskiego, prezesa Komitetu Narodo-

wego w Paryżu... będą musieli się z nim liczyć... ale na wszelki wypadek muszę pana jakoś ratować... zabieraj pan zaraz swoje manatki i wynoś się pan do swego lotnictwa... Gdyby o pana pytali, chcę mieć czyste sumienie, i odpowiedzieć, że w pułku takiego oficera nie ma".

Nazajutrz rano, wylądowałem w koszarach na Mokotowie...



„Zamach stanu" w noc z 4 na 5 stycznia 1919 roku — a więc w sześć tygodni zaledwie po odzyskaniu Niepodległości — przeszedł podówczas bez żadnego echa. Nie mówiono o nim. Jeśli wspominano, to jako o „operetkowym puczu". Nie przeprowadzono dochodzeń, nie wyciągnięto konsekwencji karnych w stosunku do uczestników ani podówczas, ani też później, mimo, że nazwiska niewątpliwie były znane: pułkownik Boerner wspomniał o tym memu bratu.

Już w kilka dni później nastąpiła radykalna zmiana rządu. Socjalistyczni i ludowi ministrowie zostali usunięci, lecz bynajmniej nie z tytułu dokonanego „zamachu stanu", a z racji przyjazdu Paderewskiego, który, upatrzony na szefa rządu, podjął się rekonstrukcji „tymczasowego" rządu. Niebawem, jeden z głównych organizatorów tego zamachu, książę Eustachy Sapieha, został mianowany Ministrem Spraw Zagranicznych. Jerzy Zdziechowski, prawa ręka Sapiehy, począł odgrywać poważną rolę w sprawach państwowych. Wreszcie pułkownik Januszajtis pozostał w wojsku i został generałem.

Patrząc więc dziś, z odległości lat czterdziestu, trudno się oprzeć wrażeniu, które odniosłem na pierwszym posiedzeniu „spiskowców", że mieliśmy „działać na rozkaz", że akcja nasza była znana i zaaprobowana przez najwyższe czynniki, że ówczesny Naczelnik Państwa życzył sobie tego „nacisku", że Szef Sztabu Generalnego generał Szeptycki był poinformowany o mającej nastąpić akcji i że jedynie ci wszyscy nie chcieli wciągania wojska w akcję polityczną, nie chcieli rozlewu krwi i woleli oddać kierownictwo akcji w „wypróbowane ręce" cywilów...

Australia, Sydney.

Marian ROMEYKO

Nagroda plastyczna «Kultury» na rok 1960

(KONSTANTY BRANDEL)

Doroczna Nagroda Plastyczna ,,Kultury'' została w tym roku przyznana Konstantemu Brandlowi (1).

Parę lat temu moja siostra odwiedziła Brandla w jego pracowni. Było parę osób i artysta pokazywał swoje obrazy. Pewien dziennikarz, również zaproszony, zwracał się do gospodarza per ,,mistrzu'' i zaznaczał parokrotnie, że zamierza o nim pisać w gazetach. Brandel nagle podszedł do niego i dotknąwszy serdecznie jego ramienia powiedział mu miłym głosem: ,,Żeby pan wiedział jak mi to jest *obojętne*''.

Każdy malarz lubi, by o nim pisano dobrze, a nawet źle: więcej ludzi dowie się o jego malarstwie, może mu to ułatwi sprzedaż obrazu. Każdy z nas, tak czy inaczej, chociażby stara się robić propagandę swoich prac. Wiemy wszyscy jak przez całe swoje życie Brandel nie dbał o to co o nim mówiono i jak nigdy — a tym bardziej dziś, w epoce reklamy i propagandy najbardziej agresywnej i bezczelnej — nie zrobił jednego gestu, by na *siebie* zwrócić uwagę.

Więc dlaczego, kiedy już tyle pisałem o malarzach, których podziwiam czy szanuję, ogarnia mnie nieśmiałość, gdy chcę pisać o Brandlu, choć mu to jest ,,obojętne''. Może właśnie dlatego.

Wszyscy w Paryżu wiemy, że jest on nie tylko naszym seniorem malarzy, ale wzorem jak malarz-człowiek żyć powinien, artystą, który szuka nagrody w swej pracy, w sobie, w dociekaniu do niewyrażonego nigdy w pełni, czerpiąc w tym całą radość i całą wolę życia.

---

(1) Artysta został zmuszony opuścić przez wiele lat zajmowaną pracownię, obrazy jego są jeszcze w pakach — nie jesteśmy w stanie w tym numerze zamieścić reprodukcji jego dzieł.

Wszyscy odwiedzaliśmy go od czasu do czasu w wielkiej zakurzonej pracowni, zawalonej cudzymi gratami i cudzymi obrazami. Okna tej pracowni wychodzą na obrzydliwy plac Pigalle, który w dzień wygląda brudno i zapuszczenie, pełen nieuprzejmych i podejrzanych typów, wśród ogłoszeń strip-teasów i nagich baletów, w sercu Paryża ,,by night''. Przechodząc przez ten plac wejść do tej cichej pracowni, którą dziś jest zmuszony opuścić, albo do pokoiku obok, gdzie artysta malował latami swe małe kartony, oparte o stary ,,stojący'' na stole przykrytym ceratą kalendarz, — robi dziwne wrażenie. Nikt z nas nie wie z czego żyje, jak się odżywia ten cichy stary człowiek o niedzisiejszej czujnej uprzejmości, który do Paryża przybył w 1903 r. i już się od niego nie oderwał, poza jazdami co parę lat do Polski i paromiesięcznymi podróżami do Włoch i Brazylii. Patrząc na niego zawsze na myśl mi przychodzi gołąb posuwający się ostrożnie po gzymsie i skubiący parę ziarnek.

Sam Brandel jest obojętny na to co o nim piszą, ale winą nas wszystkich jest, że nie dość dużo, nie dość głośno mówimy i piszemy, że jest wielkim malarzem, który jak kiedyś Odilon Redon chodzi własnymi drogami, daleki od wszelkich jarmarków. Od lat patrzę na pastele, akwarele i gwasze Brandla i odwiedzając go zawsze odnajduję starych znajomych, to znaczy te same obrazy, które Brandel wciąż jeszcze maluje. Ilość czasu jaką poświęcił pracy nad każdym z nich przechodzi nawet jak sam mówi, *jego* granice imaginacji: ,,a moja imaginacja jest wielka'' dodaje.

Lasy polskie, pejzaże z Włoch, wspomnienia z Etny, na którą patrzał jakieś czterdzieści lat temu, dalekie ogromne i pustynne pejzaże Brazylii z samotnymi palmami na tle ogromnych nieb, lub drobne akwarele, jakby całe usłane drogocennymi kamieniami; ,,macierzyństwo'' — kobieta z dzieckiem — to jak świątek polski przy drodze, to jak chłopka z dzieckiem, to jak tajemnicza bogini w świetle księżycowym. Jest w tym prawie miniaturowym malarstwie absolutna wrażliwość kolorystyczna, muzyka, której nie waham się w myśli stawiać obok Corot'ów, czy może najpiękniejszych — jak niektóre jego kwiaty — Odilonów Redonów. Cóż za subtelne rozedrgania barwy, przy rzadkim darze wydobycia koloru białego. Myślę o białych Utrillach. U Utrilla ta białość ma niemniejszą muzykę — to co Utrillo dał najpiękniejszego. U Brandla białość ta działa zupełnie inaczej. Długo trwał przesąd, narzucony nam przez impresjonistów, że nie ma i nie powinno być na obrazie czerni i bieli jako kolorów, bo to ,,w naturze nie istnieje''. Renoir może najszybciej porzucił ten dogmat i twierdził na starość, że kto nie umie używać farby czarnej nie umie malować. Dziś, u malarzy współczesnych, częściej spotykamy piękną czerń, ale gra bieli zdaje mi się najrzadsza i najtrudniejsza do zdobycia.

U Brandla pod szafami i na szafach, leżą jeszcze zwały grafik nad którymi zaczął pracować już koło 1905 r. Krzyżuje się w nich, świetne, francuskie wirtuozyjne rzemiosło i wpływy

młodopolskie: postacie kobiet tak bardzo dla tamtej epoki charakterystyczne, kult gotyku, krzyże i demony.

W galerii polskich malarzy nie umiem Brandla z nikim powiązać, może z jedną Boznańską, w tej rzadkiej wrażliwości kolorystycznej. Patrząc na grafikę mimowoli myślimy o pięknych miedziorytach Pankiewicza, ale o ileż grafika Brandla jest bardziej osobista i dziwna, w tym, co by Jeleński nazwał jej poetyką. Ta osobliwa poetyka tak narzuca się widzowi w grafice, a bardziej jeszcze w jego malarstwie, że mówić o jego rzemiośle, naprawdę bardzo wysokim, już się nie chce, jest ono całe wchłonięte w poetykę, staje się poezją.

Cyprysy znad jezior włoskich jak ciemne, aksamitne wykrzykniki w delikatnych szarościach pejzażu, pejzaż Brazylii jakby bezgraniczny pod niezliczonymi warstwami szaro-różowych chmur — te dwa względnie większe gwasze — i kartonik wielkości dużej koperty, na którym od lat Brandel maluje rząd ustawionych koron drzew, poprzez które świeci niebo — przez każde drzewo inaczej, to dźwięczniej, kolorowiej, to ciszej — ależ to jest wielkie malarstwo! Co zrobić, byśmy nie tylko my, garstka Polaków, jego przyjaciół, to widzieli i uczcili?

Gdy pytam Brandla czy by sprzedał jeden ze swoich obrazów zawsze zmienia temat i mówi, że jeszcze nie czas. Kiedy próbuję wspomnieć o zorganizowaniu jego wystawy w Paryżu, macha ręką jakby muchę odpędzał i znów, nie odmawiając, radzi odłożyć o tym rozmowę, a ja się czuję wówczas natrętnym dziennikarzem. Przypomina mi się Degas, który dziennikarzy na próg nie wpuszczał, a kiedy któryś z jego przyjaciół ośmielał się coś o nim najpochlebniej napisać, zrywał z nim stosunki.

Słyszałem, że Brandel chce wszystkie swe obrazy zapisać Muzeum Narodowemu w Warszawie — może to jest powodem, że nie lubi mówić o jakiejkolwiek sprzedaży? Pytam go wprost. Odpowiada jak zwykle wymijająco, widzę jednak, że zebranie jak największej ilości jego płócien w muzeach w kraju jest jego marzeniem.

„Bo to widzi pan" — mówi Brandel — „jeden mój przyjaciel jeszcze z ławy szkolnej (to był komunista i przyjaciel Lenina) powiedział mi wiele lat temu oglądając moje obrazy: „ale wiesz, te obrazy muszą zostać w *rodzinie*", pan rozumie? I to komunista powiedział!".

Staram się docisnąć jak Brandel te słowa rozumie. — „No widzi pan, żeby te obrazy były w kraju zebrane, żeby młodzi mogli z nich korzystać, na nich się uczyć" — i zaraz dodaje pośpiesznie: „nie uczyć, broń Boże, jak mają malować, ale jakie błędy muszą *omijać,* żeby te obrazy były *tam* dla... życia, dla... kultury, bo one są... *konsekwentne.*

Józef CZAPSKI

Jan Kowalik - jubilat

Bodajże każdy Czytelnik, a cóż dopiero pisarz, uczony, polityk i dziennikarz sięga do bibliografii. Bez niej znajdowałby się w gąszczu, byłby jak samotny podróżnik bez kompasu. Dziś, nawet wąskie dziedziny specjalistyczne chlubią się taką ilością ogłoszonego materiału, iż bez dokładnej bibliografii niesposób kontynuować własnej pracy. Zbędne jest dodawać, że bibliografia to bardzo żmudna dziedzina, zdawałoby się mało pasjonująca, jakkolwiek ogromnie pożyteczna.

W gronie bibliografów Jan Kowalik zajmuje poczesne miejsce. I wyjątkowe, albo jeśli ktoś woli, przykładowe dla emigranta. Do Stanów Zjednoczonych przybył z Niemiec w 1950 r. W bieżącym roku obchodził dwa jubileusze: dziesięciolecie pobytu w USA i 50-lecie urodzin. Niestety zabrakło o nim nawet drobnej wzmianki w prasie polskiej, a przecież Kowalik pracuje obecnie nad bibliografią prasy emigracyjnej od 1939 r.

Kowalik urodził się w Skoczowie, na Śląsku Cieszyńskim, gdzie ojciec jego był robotnikiem w miejscowej tkalni, a matka praczką. O matce napisze kiedyś iż była ,,z urodzenia najniepospolitszą kobietą i człowiekiem w ogóle, jaką w życiu poznałem''. Ojca stracił w 8 roku życia i na barkach matki pozostał ciężar utrzymania pięciorga dzieci. Jan, najmłodszy w rodzinie, nie poprzestał na kilku latach szkoły powszechnej. Nauczyciele, wśród których znajdował się i Morcinek, nakłonili matkę, by chłopca posłała ,,do szkół''. Następnym etapem było seminarium nauczycielskie naprzód na Bobrku (Cieszyn) a następnie w Bielsku-Białej. Ukończył seminarium w 1931 r. i rozpoczął pracę nauczycielską w Wyrach, pow. Pszczyna, w osadzie górniczej. Pozostał na tej posadzie do września 1939 r.

Praca zawodowa nie wypełniała jednak czasu młodemu nauczycielowi, jak świadczy dorobek tego okresu. Nie wiemy czy zaczął wtedy pisać wiersze, czy próbował swoich sił w prozie, ale fascynował go folklor.

A więc w 1933 r. ogłasza ,,próbę monografii'' pt. ,,Wesele wałaskie w Cieszyńskim''. W następnym roku ogłasza ,,Historię szkolnictwa powszechnego w Skoczowie''. W tym samym roku w ,,Zaraniu Śląskim'' publikuje artykuł ,,O współpracę nauczycielstwa polskiego ze 'Słownikiem Geograficznym Państwa Polskiego''.

Zainteresowania jego są różnorodne, ale obracają się wokół wykonywanego zawodu, rejonu zamieszkania i urodzenia. Publikuje kolejno. ,,Gry i zabawy ludowe dzieci w Wyrach, pow. Pszczyna''. ,,Dzieje zboru ewangelicko-augsburskiego w Sko-

czowie'', ,,Obrzędy i zwyczaje weselne w Oldrzychowicach'', ,,Wpływ bezrobocia na psychikę dzieci szkolnych w rejonie Lasiska Górne, pow. Pszczyna''.

Ujawnia się jednocześnie Kowalik jako pedagog, społecznik, badacz folkloru i historyk terenowy. W okresie przedwojennym próbuje publicystyki, ale raczej marginesowo.

Z wybuchem wojny Kowalik został ewakuowany z Wyr, by przejść do pracy podziemnej. Na Śląsku pozostaje do 1941 r., po czym przechodzi na teren Generalnego Gubernatorstwa. W 1944 r. zostaje aresztowany i wywieziony do obozu w Wrexen, gdzie znajdował się aż do zajęcia go przez wojska sojuszników zachodnich.

Czekał pięć lat w Niemczech, lecz nie z założonymi rękoma. Jest to okres bardzo ożywionej działalności. Przez rok jest nauczycielem w obozie uchodźców w Landau-Waldeck, następnie trzy lata uczy w szkole przy szpitalu IRO w Steinatel, wreszcie w ostatnim roku pobytu w Niemczech pracuje w głównym archiwum sekcji obozów koncentracyjnych Międzynarodowej Komisji Poszukiwań.

W Niemczech ukazują się dwa tomiki poezji: ,,Ścieżka przez Steinatel'' i ,,Wiatr w gałęziach''.

Jeszcze raz powróci do swoich młodzieńczych zainteresowań folklorystycznych, ogłaszając bardzo interesującą pracę ,,Macierzyństwo w praktykach i wierzeniach ludu polskiego''. Nie porzucając jednak literatury, zdecydowanie przerzuca się na bibliografię.

Ameryka nie okazała się rajem dla Kowalika. Nie miał zresztą w tej mierze złudzeń, ale i największy realista w skrytości ducha oczekiwał, iż jego pesymizm okaże się przesadny. Omylił się.

Przybył do Cleveland, wielkiego, brzydkiego miasta przemysłowego. Wiek-40 lat to na kontynencie amerykańskim już rodzaj emerytury. Uważa się, że w tym wieku nie można już przyjąć człowieka do żadnej przyzwoitej pracy. Nie opłaca się, za duże stawki ubezpieczeniowe, nie nadaje się już do opanowania nowego zawodu. Ludzie w tym wieku muszą brać każdą pracę, jaka jest. Praktycznie oznacza to albo najcięższą, albo najgorzej płatną. Często jedno chodzi w parze z drugim.

Kowalik dostał pracę... stróża w tkalni, znalazł się na niższym poziomie społecznym aniżeli ojciec, który był robotnikikiem w tkalni. Potem był kolejno czyścicielem okien, nocnym sprzątaczem w kinie, a po przeniesieniu się do San Francisco pomywaczem naczyń w restauracjach, stróżem w szpitalu.

Po dwóch latach porzucił te szlachetne zajęcia, gdyż został asystentem w Hoover Library przy Stanford University. Po trzech latach powrócił do stróżowania. Dziś piastuje tę wysoką godność w Carnegie Institution.

Nocne stróżowanie nie przeszkadzało, iż Kowalik okresami pracował na uniwersytecie pomagając profesorom P. W. Buck i J. Zawodny w przygotowaniu materiałów bibliograficznych.

Jak przystało dla przykładowego emigracyjnego pracownika naukowego, na niwie niepotrzebnej w kraju osiedlenia, pracą fizyczną zarabiał na utrzymanie a pozostały czas poświęcał bibliografii. Trzeba było nie tylko zawziętości, hartu ducha, ale poczucia jakiejś ogromnej odpowiedzialności, by w takich warunkach trwać przy warsztacie bibliograficznym. Znalazł jednak bardzo wielką pomoc w osobie swojej żony. Jej poświęcenie umożliwiało i umożliwia mu pracę.

W tym okresie Kowalik ogłosił następujące prace bibliograficzne:

1. *Polonica niemieckie za czas od* 1 *września* 1939 *do grudnia* 1948 r.
2. *Polska w bibliografii powojennych Niemiec* (1945-1953).
3. *Polska w bibliografii niemieckiej* 1954-1956 *i uzupełnienia do okresu* 1945-53.
4. *Mickiewicz w Niemczech.* Szkic bibliograficzny.
5. *Bibliografia treści ,,Kultury''* 1947-1957 oraz *Działalność wydawnicza* 1946-59.
6. *The Oder-Neisse Border in West German Publications* 1945-1953 (Ta sama praca ukazała się również w języku polskim).

W manuskrypcie znajduje się praca: *Polska literatura w Niemczech* 1945-55, w przygotowaniu są: *The Polish Bibliography Abroad, Deutsche Uebersetzungen polnischer Autoren aus den Jahren* 1945-55 oraz *Polska prasa emigracyjna po roku* 1939, której część została już ogłoszona. Wreszcie w druku znajduje się wspólna praca z dr. Chojnackim: *Pół wieku niemieckiej bibliografii o Polsce,* która ukaże się nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Ograniczamy się jedynie do tego bardzo pobieżnego naszkicowania dotychczasowych prac Kowalika, ale wydaje się, iż jest to dostateczne dla uwypuklenia jego pozycji w piśmiennictwie polskim.

B. HEYDENKORN

Nagroda pisarska SPK

NAGRODA PISARSKA SPK

Jury nagrody pisarskiej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów pod przewodnictwem Gen. Prof. Mariana Kukiela (Polskie Towarzystwo Historyczne w W. Brytanii) w składzie: Prof. Dr Tadeusz Sulimirski (Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie); Dr Tymon Terlecki (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie); Red. Zbigniew Racięski (Związek Dziennikarzy R.P.); Mgr Adam Treszka (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów) przyznało nagrodę pisarską SPK za rok 1960 po £ 50.0.0.:

1. Prof. Dr. Henrykowi Paszkiewiczowi za pracę pt.: *The Making of the Russian Nation.*

2. Dr. Zbigniewowi Jordanowi za pracę pt.: *The Development of Philosophy and Marxism-Leninisme in Poland since the Second World War.*

3. Red. Eugeniuszowi Hinterhoffowi za pracę pt.: *Disengagement.*
Nagroda pisarska SPK została ustanowiona w roku 1950 i jest dorocznie przyznawana w okresie Święta Żołnierza.

Nowa fala poetycka w Polsce

Z dużym zainteresowaniem śledzę produkcję poetycką w Kraju. Piszę p r o d u k c j ę, używam terminu związanego z przemysłem, bo ilość ogłaszanych tomików jest tak duża, że przywodzi na myśl raczej jakieś zjawisko masowe, spotykane w gospodarce lub w socjologii, niż poezję. Przed kilku laty, pewna malarka, żona jednego z najwybitniejszych artystów francuskich, powiedziała w rozmowie ze mną, że należy jak najwięcej pisać lub malować, bo później się okazuje, że zawsze znajdzie się w tym coś wartościowego. To twierdzenie wydało mi się herezją, ale dzisiaj zastanawiam się, czy nie tkwi w nim jednak trochę prawdy, a na dowód tego można by przytoczyć to, co się dzieje w poezji polskiej. Młodzi poeci w Kraju mają większe szanse wydania swych utworów, niż my, w okresie dwudziestolecia. Za tomiki poetyckie otrzymują nawet dobre honoraria, co było nie do pomyślenia w naszych czasach. Okazuje się, że powstanie tych możliwości wywołało nie tylko powiększenie się liczby wydanych tomików, ale także — po październiku — polepszenie jakości towaru rzucanego na rynek. (Spostrzegam się, że znowu użyłem wyrażenia zaczerpniętego z ekonomii, ale może nie jest to przypadkowym lapsusem?). Nakręcanie koniunktury przez dostarczenie poetom możliwości druku i zapewnienie im bardziej normalnych warunków życiowych okazało się więc elementem raczej pozytywnym, po osiągnięciu ogólnego poziomu — przyszedł następny etap: wypracowanie własnego sposobu wypowiadania poetyckiej treści obecnej epoki.

Dotarcie do wszystkich tomików i publikacji jest prawie niemożliwe*). Ukazują się one nie tylko w dużych wydawnictwach, jak P.I.W., Czytelnik lub krakowskie Wydawnictwo Literackie, ale coraz częściej, i w dużej ilości, na prowincji, w Łodzi, Pozna-

---

*) Niestety ani Krajowe Domy Wydawnicze, ani sami poeci nie przysyłają, z bardzo nielicznymi wyjątkami, egzemplarzy recenzyjnych.
Redakcja

niu, Szczecinie lub Wrocławiu. Również szpalty czasopism literackich zapełnione są często wierszami. Niełatwo przebrnąć przez ten gąszcz poetycki, rozeznać co w nim jest wartościowego... Jest to tym bardziej trudne, że na ogół wiersze te są utrzymane na pewnym poziomie i bynajmniej nie zasługują na zaliczenie do tego, co my w okresie naszej literackiej, światoburczej młodości, mniej lub więcej słusznie, określaliśmy pogardliwym mianem grafomanii. Rozmiary produkcji wydawniczej są bardzo duże, pozwalają jednak na uchwycenie ogólnego tonu i najbardziej charakterystycznych tendencyj.

Krzywe zwierciadło rzeczywistości

Poeci należący do generacji, która przeszła wojnę i zna jej wszystkie okropności, obozy koncentracyjne, łapanki i egzekucje — nie mogą pisać takich samych wierszy, jak ich poprzednicy, którzy żyli w bardziej normalnych warunkach. Okres wojenny musiał znaleźć odbicie w ich twórczości. Ale tu nasuwa się pytanie: jakie odbicie? Nie jest zadaniem poety opisywanie np. Oświęcimia, ale nie może on przejść obojętnie obok tego faktu, który w jakiś sposób musiał się włączyć w doświadczenie poety. Okazało się to bardzo trudne, bo łatwo narazić się na zarzut używania wielkich słów i tematów do tanich efektów. Ślepe okrucieństwo wojny było czymś nie do przyjęcia, monstrualny nonsens tych faktów, ich rewoltująca niesprawiedliwość — musiała wywołać kryzys uznanych walorów analogiczny do tego, jaki nastąpił po poprzednim konflikcie światowym. Wszystkie wartości uległy wtedy zniszczeniu, przeżyty wstrząs podkopał wiarę w ich znaczenie. Po pierwszej wojnie wyraziło się to w ruchu dadaistycznym, który był gwałtownym protestem, negacją wszystkich walorów wniesionych przez kulturę. W podobnej sytuacji znaleźli się poeci po drugiej wojnie światowej. Chcieliby mówić o tym, co działo się niedawno, co widzieli na własne oczy, ale obawiają się, by nie wzięto tego za chęć budzenia litości i poszukiwanie łatwych efektów. Dlatego twarz ich często wykrzywia sztucznie przybrany grymas, który służy do zamaskowania prawdziwych uczuć. Do literackiej wypowiedzi nie wystarczają im słowa proste — musi je jeszcze cechować pewna dezinwoltura w stosunku do tego co jest piękne i wzniosłe, a więc — i do poezji. Świat wychodzi wtedy zdeformowany, staje się jakąś makabryczną groteską, odbiciem rzeczywistości w krzywym zwierciadle.

Te uczucia znalazły adekwatny wyraz w wierszach wielu poetów, a zwłaszcza Tadeusza Różewicza (1). Jedną z najbardziej charakterystycznych cech jego twórczości jest nonszalancja, z jaką odnosi się on do poezji:

---

(1) Tadeusz Różewicz, *Formy*, Czytelnik, Warszawa, 1958.
Tadeusz Różewicz, *Rozmowa z księciem*, P.I.W., Warszawa, 1960.

„Pamiętam że dawniej
poeci pisali „poezje"
można jeszcze pisać wiersze
przez wiele wiele lat
można też robić wiele innych rzeczy".

Chętnie przybiera on ironiczny uśmiech, szydzi z tego, że

„różni
liryczni faceci
ogłaszają się w gazecie
że umierają
jęczą biorą pieniądze
umierają wiele razy

...załatwiają swoje potrzeby
liryczne?"

Poezję należy więc odrzeć z wszelkiej wzniosłości, poniżyć nawet, bo tylko wtedy można zdać sobie sprawę, że jest ona jednak czymś wielkim, tylko wtedy można ją traktować poważnie. Wszelka poza jest nie do zniesienia, bo „cóż jest śmieszniejszego niż lot wypchanego orła. Z jego wnętrza sypią się trociny".

Punkt zaczepienia poezji Różewicza znajduje się w jakimś trudno uchwytnym miejscu, na skrzyżowaniu dróg, tam gdzie „kłamstwo zamienia się w prawdę, a ludzie mają opuszczone oczy". Czego się wstydzi poeta? Czy kłamstwa zamienionego w prawdę, czy prawdy zamienionej w kłamstwo? W każdym razie nie może się „obudzić bez przeszłości" i skarży się: „Nie wiem jak dalej pisać wiersze". — „Nie wyrywaj muchom nóżek — odpowiedziałem mu na to". Zwróćmy uwagę na słowo „dalej" i pozornie absurdalną odpowiedź, w której wyczuwamy, iż nie jest ona zupełnym bezsensem. Cały Różewicz jest w tym zdaniu. Jest on poetą, który najbardziej utożsamia się z epoką, zbyt tragiczną, by móc używać słów wielkich, trzeba ją więc przemienić w tragiczną groteskę, która wywołuje równocześnie uśmiech i łzy. „Lubię myśleć, pasjami lubię myśleć" — pisze Różewicz, co w jego języku oznacza: nie mogę tego wyrazić w inny sposób, jak udając że nie mówię poważnie. Muszę więc zrobić to tak, by wydawało się banalne. „...wszystkie wiersze zostały napisane. Moja sytuacja jest odmienna, choć nie wyjątkowa. Chodzę na czworakach".

A oto krótki utwór prozą pt. „Noga":

„Na peronie stacji czekali podróżujący. Pociąg spóźnił się znów o piętnaście lat. Stary człowiek o twarzy ulepionej z popiołu i gipsu palił czarny cybuszek. Na ławce za jego plecami leżała różowa młoda noga. Kiedy zbliżyłem się stary człowiek poprawił nogę i powiedział z uśmiechem winowajcy:

— Trza ją było zapakować ale papieru nie mogłem dostać.

Noga piękna kobieca sięgałaby do ciepłej pachwiny gdyby nie klamerki i te małe zawiasy w stopie i zgięciu kolana.
— Gdzieście ją kupili — spytałem.
— Ja nie kupił to prezent. Dostałem nogę w prezencie od znajomych. Wiozę mojej kobiecie".

Znane rzeczy — powiecie. — To nadrealizm. A w każdym razie, sytuacja nadrealistyczna. Tak pisano już przed 30 laty. Ale Różewiczowi nie wystarcza sama forma i nagle zaskakuje nas niespodzianką zakończenia:

„Megafon przemówił: „Pociąg osobowy do Oświęcimia wjeżdża na tor przy peronie drugim".
Stary wziął nogę pod pachę i szedł wzdłuż wagonów".

W ten sposób nadrealista — stał się Różewiczem.
W jednym ze swoich utworów twierdzi on, iż będzie pisał „wiersze konkretne". Słowo to odpowiada zarówno jego poezji, jak i w ogóle młodej poezji z ostatnich kilku lat. Poeci poszukują konkretu, odchodzą od metafory i obrazu, coraz bardziej pociąga ich sama rzecz lub prosty fakt. Okazuje się jednak, iż określenie to nie jest całkowicie słuszne. Jest to bowiem konkret „odkonkretniony", konwencja poetycka oparta na czymś co ma wszelkie pozory, (ale tylko pozory), konkretu. Jest to dobrowolnie narzucona sobie dyscyplina, która — gdyby trwała zbyt długo — doprowadziłaby do spłycenia poezji. Różewicz zdaje sobie z tego sprawę i dlatego pragnienie prostoty łączy z nieprzepartym popędem do eksperymentu, co się przejawia w niektórych wierszach, a zwłaszcza w drobnych utworach prozą, gdzie od rzeczy i od konkretów — przechodzi niespodzianie do tego, co nazwałbym wyobraźnią nadrealistyczną.
Poezję Różewicza i wielu młodych cechuje to co można by określić jako *behaviouryzm* poetycki. W wierszach występują najczęściej rzeczy lub tylko fakty zewnętrzne, które ukazują jakiś stan uczuciowy. Dawna poezja opisywała uczucia lub nazywała je, awangarda — jak powiedział Peiper w „Nowych Ustach" — dawała często poetyckie ekwiwalenty uczuć, poezja obecna typu Różewicza — ukazuje ich zewnętrzne przejawy. Występuje to w wielu jego utworach, nawet w dawnych, ogłoszonych jeszcze w „Czerwonej rękawiczce":

„Ona jest teraz sama
w obliczu martwej ściany
i tak już zostanie

zostanie pod ścianą
ogromniejącą
skręcona i mała
z zaciśniętą pięścią
a ja siedzę

z kamiennymi nogami
i nie porywam jej z tego miejsca
nie unoszę
lżejszej niż westchnienie''.

Wiersze Różewicza pisane są językiem prostym. To mowa potoczna, pozbawiona jakiejkolwiek poetyckości, wypełniona prozaizmami, wyrażeniami brutalnymi, a nawet wulgarnymi. To język dnia powszedniego.

Rozbicie słowa

Przez długi czas słowo było uważane za nienaruszalne. Poeci mieli wprawdzie zawsze skłonność do tworzenia neologizmów, (robili to także naukowcy i filozofowie np. Trentowski), ale zazwyczaj było to albo połączeniem dwóch słów, albo próbą zastąpienia wyrazu obcego polskim. Sam pierwiastek słowny jednak pozostawał bez zmiany. Dopiero Leśmian, a następnie futuryści i Tuwim w ,,Słopiewniach'' spróbowali śmiałego tworzenia nowych form słownych. We Francji robili to dadaiści, a następnie kilku poetów od Seuphora i Michaux do ,,lettrystów'', ale zazwyczaj nie miało to formy systematycznego przekształcania źródłosłowu. Nowa fala eksperymentalna w Polsce poddała próbom doświadczalnym samo słowo usiłując najpierw rozłożyć go na czynniki proste, a następnie tworzyć z nich nowe kombinacje lub sugerować tkwiące w nich możliwości. Najdalej poszedł po tej drodze Miron Białoszewski, którego pierwszy tom wydany przed kilku laty wywołał ogromny oddźwięk. Obecnie ukazał się drugi zbiór wierszy tego poety (2). Rzecz dziwna doczekał się on mniej omówień na łamach prasy; niektórzy krytycy, np. Sandauer, ustosunkowują się nawet nieprzychylnie do tego tomiku. Czy ,,Rachunek zachciankowy'' jest postępem czy regresem w stosunku do ,,Obrotów rzeczy''? Sądzę, że po prostu jest dalszym ciągiem poprzedniego zbioru. Białoszewski eksploatuje w nim w sposób bardziej pełny już osiągnięte zdobycze, czasem idzie dalej, a wtedy istotnie można sobie zadać pytanie, czy demon eksperymentu nie ponosi go na bezdroża, ale może jest jeszcze zbyt wcześnie, by ten ambitny poeta wszedł w okres krzepnięcia? W jego wierszach, nawet tam, gdzie fantazja słowotwórcza idzie najdalej, tkwi jednak zawsze ziarnko poezji, mające punkt zaczepienia w niewyrażalnym:

,,do ręki
garnęły mi się
przyśniwania
tak:

(2) Miron Białoszewski, *Rachunek zachciankowy*, P.I.W., Warszawa, 1959.

zręczność przywłaszczeń sobie
kłód spod nóg
zaręczeń osobowości
niedoręczań czuć się
i się niezgarnywań

Niewątpliwie jest w tym wierszu wiele niezręczności, jest on mało poetycki, ale nie należy zapominać, że autor czyni to celowo. Każdy wiersz Białoszewskiego jest problemem, prawie każdy wiersz — stawia inny problem. Dlatego tym bardziej trudne są ogólnienia, niebezpieczeństwo przeoczenia, przejścia obok istotnych i ważnych dla poety problemów jest bardzo duże. Jednym z motorów twórczości Białoszewskiego jest przekorność. Poeta pisze wiersze, by w ten sposób wyrazić afirmację swojej rzeczywistości, swą odmienność od świata, który go otacza:

„chcą od mojego pisania nabrania życia otoczenia
a ja ich łapię za słowa
po tocznie
po tworzę"

Język Białoszewskiego, chociaż zaczerpnięty z życia codziennego, nie jest potoczny. Za autorem można by raczej nazwać go po-toczny. Jego cechy charakterystyczne — to, deformacja, skłonność do rozbijania słowa na czynniki proste, tendencja do kalamburu i groteski.

„włos ma piękno
mam przerwę we włosach
jestem bez przerwy
o włos byłbym piękny"

To przekształcanie sylogizmu logicznego w antylogiczność jest niewątpliwym wynalazkiem Białoszewskiego. Takich odkryć jest u niego wiele. Często wiersz jest jakby parodią czegoś: rzeczywistości, życia, języka biurokratów lub gwary przedmieść. Celem jego bywa czasem — jak pisze w jednym z wierszy — „odejmować słowa od rzeczy", słowa pozostają wtedy same, ze zmienioną znaczeniowością, pokiereszowane, poszatkowane na płatki, z innymi końcówkami...

„uwrażliwione
na rozpiętość zachybotań
we wszystkie wieszaki
niechcącości".

Świat Białoszewskiego — to jakiś dziwny mechanizm, w którym rzeczy i figurynki ludzkie nabierają innego ciężaru gatunkowego; przypomina on czytywaną w latach dziecinnych *His-*

torię dziadka do orzechów, gdzie w ciągu nocy wypełniona ołowianymi żołnierzami szafa nabiera życia i staje się jakby zaczarowana w oczach chłopca, ale czasami poeta nie potrafi się oprzeć ogólnej tendencji, daje się ponosić fali, po wywarciu wpływu na innych sam z kolei ulega oddziaływaniu wytworzonej atmosfery. W rezultacie powstają wiersze, w których trudno rozróżnić granicę dzielącą eksperyment od kalamburowego kawału:

,,Dwaj panowie stateczności
umknęli w cudzej samochodowości.
Zapuścili motor, brody. Ciach!
I jak w chiromancji drogą życia
wjechali in medias res.
Zaznaczy ich za to kres wiśniowy''.

Zapuścili motor, brody — jest próbą wydobycia iskry poetyckiego krótkiego spięcia z użycia słowa ,,zapuścić'' w dwóch różnych zwrotach językowych, ale ,,samochodowość'' — wydaje się mniej szczęśliwa, przypomina Wiecha lub estradę kabaretu literackiego.

,,ja dzisiejszy
jaknajjadzisiejszy
chcę spełnień mi się chce na dziś dziś
przed przespaniem się w jajutrzejszość''.

Oczywiście, nie jest to nonsensensem. Da się to wszystko logicznie, lub paralogicznie, wytłumaczyć, neologizm ,,jajutrzejszość'' łączy pojęcie jutra ze słowem ,,ja'', itd. ale... przywodzi to także na myśl stare kawały futurystyczne sprzed czterdziestu lat.

Mimo wielu nieudanych wierszy Białoszewski jest pozycją cenną w poezji polskiej, bo jego eksperymentatorska pasja jest szczera i otwiera nowe drogi.

Reizm poetycki i antypoezja

Młoda poezja polska znajduje się obecnie w okresie fermentowania i eksperymentów. Najczęściej jest ona próbą wydobycia maksimum wyrażalności z konkretu sprowadzonego do czynników prostych, do rzeczy, do faktów życia codziennego, co można by nazwać reizmem; jest także poszukiwaniem elementów poetyckich ukrytych w antywalorze, w deformacji, w grotesce. Rozpęd eksperymentalny jest tak duży, że prowadzi często do wysuwania na pierwszy plan antypoezji, tego co jest niepoetyckie. Jej punktem wyjścia jest zazwyczaj Różewicz, przepuszczony przez filtr Białoszewskiego, ale rezultat jest zupełnie nieoczekiwany. Jednym z tych, którzy najdalej poszli w kierunku antypoezji jest Stanisław Grochowiak. Używa on efektów

mocnych, nawet brutalnych, osiągając nieraz dobre wyniki, ale często także poeta gubi się w nawale zwykłych słów, a wtedy daje to

„Krajobraz bólu wymyślony sztucznie
Ubrany w wstążki i ptaszki krowy
Przed którym stoją wciąż podobni chłopcy
Zmieniani kolejno".

Pierwsze dwie linie, połączenie walorów i antywalorów, — pozwalają spodziewać się jakiegoś bardziej pełnego rozwinięcia, ale zamiast tego następuje wykolejenie się, mimo że „wciąż podobni chłopcy" nie są pozbawieni pewnego ładunku poetyckiego. W sumie, rezultat jest niezbyt przekonywujący.
Weźmy pod uwagę inny wiersz Grochowiaka pt. „Oda — Plecy":

„Jedna miała głowę, zasługujące jajo
A druga była w dłoniach wyśpiewana do końca
Tamta niesie gorycz podzwrotnikowych krajów
I jest też taneczna, kosteczkami dzwoniąca
Ciebie piszę w zimnie, w ogromniejącej świecy
Za plecy".

Pierwsza linia jest antywalorem („zasługujące jajo"), druga linia — w dłoniach wyśpiewana do końca" — ma w sobie coś z Przybosia, trzecia i czwarta — owiana jest atmosferą poetycką dwudziestolecia, (raczej skamandrowską), piąta — „ciebie piszę w zimie, w ogromniejącej świecy" — oddziaływuje silnie przez swoją prostotę, urwany wiersz — „za plecy" — to znowu antywalor. Element kontrastu i niespodzianki, zawarty w antywalorze, jego zestawienie z walorami, które stanowią normalny język poezji, pozwala wydobyć pewne ukryte wartości wiersza. Często są one jednak poetycko „neutralne", dają a-poezję. Antywalorem pozbawionym ładunku poetyckiego jest „głowa, zasługujące jajo", zbyt mało prowokująca by wywołać reakcję, jest nam poetycko obojętna, natomiast końcowy antywalor „za plecy" budzi pewne wyobrażenia, ogromniejąca świeca — łączy się z obrazem cienia, który porusza się za plecami, w jakimś opuszczonym domostwie na wsi, gdzie nie ma elektryczności, może z braku instalacji, a może z powodu wojny, lub okupacji, wywołuje to jakąś bliżej nieokreśloną atmosferę, pozostawia wrażenie lęku przed czymś nieuchwytnym, niewyrażalnym...
Grochowiak jest niewątpliwie poetą zdolnym, ale ma często spotykaną obecnie skłonność do celowego „odpoetyczniania" i psucia wierszy:

„Tak
To jest coś
Biedna konstrukcja człowieczego lęku

Żyrafa kopcąca się tak pomaleńku
Tak
To jest coś"

To „coś" wydaje się bardzo nieprzekonywujące, chociaż wyczuwamy tu pewien urok, owiany jak w cytowanym poniżej wierszu — atmosferą przypominającą futuryzm z okresu Brunona Jasieńskiego i Anatola Sterna:

„Tobie by to potrzeba zalotnych niedźwiedzi
Że w niedźwiedziach kożuchów wyjdziesz Wenus z fluktów
A tu taki małżonek jak piątkowy śledzik
Obsypany liryką i popiołem smutku.

I przeto lampy gaszę, gdy w biel twoją wchodzę
I wielkie szczęście ściskam chciwymi łapkami
A potem — cicho, cicho — śpię przy twojej nodze
Bardzo potulnymi cnotliwymi snami".

Nie jest to wprawdzie „dobry jest kobiecych muskularnych nóg krem" Brunona Jasieńskiego, ale duch i rytmika tego wiersza niewątpliwie przypominają autora „Buta w butonierce".

Powyższe cytaty pochodzą z „Menueta z pogrzebaczem" (3). Nie znam „Rozbierania się do snu" (4), na podstawie kilku utworów z tego tomiku, zamieszczonych w czasopismach można przypuszczać, że stanowi on krok naprzód w porównaniu z poprzednim zbiorem:

„Nie cały minę choć zostanie owo
Kocham ziemię w bajorku i w oście
i przeświadczenie, że śledź bywa w poście
zarówno piękny, jak pod jesień owoc.

Bo kochać umiem kobietę i z rana
Gdy leży cicha z odklejoną rzęsą
A tak jest w maju, to jest całowana
W puder i w słońce, w zachwyt i w mięso".

Również w tym wierszu wyczuwa się jeszcze pewne echa futuryzmu, ale bardziej przetrawione, jest w nich więcej realnych antywalorów, gdyż poeta

„Woli brzydotę
Jest bliżej krwiobiegu
słów, gdy prześwietlić je
i udręczać".

---

(3) Stanisław Grochowiak, *Menuet z pogrzebaczem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1958.

(4) Stanisław Grochowiak, *Rozbieranie się do snu*, P.I.W., Warszawa, 1959.

Uciekając przed pięknem w sferę antypoezji Grochowiak nie potrafił się ustrzec efektów łatwych, niegodnych poety rzetelnie poszukującego nowych sposobów wypowiedzenia się; opinię o nim można będzie sobie wyrobić dopiero po zakończeniu okresu eksperymentalnego, w którym jeszcze znajduje się w chwili obecnej.



Młodą poezję polską cechuje również pociąg do deformacji i groteski. Ma on charakter obsesji u Ireneusza Iredyńskiego, którego prześladują odcięte nogi, puste czaszki, raki gnieżdżące się oczodołach... Wtedy

„Siedząc z kawałkiem mięsa
wyciętym z tłustego wieprza
poczułem się na swoim miejscu" (5)

Pejzaż, w którym poeta porusza się, to

„Wygięte rury kanalizacyjne
mury na pół zburzone
są podobne do sterczących nóg
odartych z mięśni i skóry
kość sterczy również dumnie
jak rura
W tym coś jest"

Ta ostatnia linia przypomina równie mało poetyckie „Tak, to coś jest" Grochowiaka. Eksperymenty Iredyńskiego, często są rażące, ale czasem dają dobre wyniki:

„Usypiasz szczęśliwy
A wewnątrz mnie — rżenie".

choć zazwyczaj gubią się w antywalorowej grotesce.



Również Jerzy Skolimowski (6) ulega modzie pisząc

„Ten
grzebie łyżką w szklance
wypadło mu oko
To — szczękę roztargnienia

(5) Ireneusz Iredyński, *Wszystko jest obok*, Warszawa, Iskry, 1959.
(6) Jerzy Skolimowski, *Gdzieś blisko siebie*, Wyd. Śląsk, Katowice, 1958.

włożyła we włosy
śledź przestał śpiewać
zszedł z drzewa itp.
otrząsnął się z zieleni
i powąchał szczura"

Śledź i szczur — to częste rekwizyty antypoezji. Ale — to nie jest antypoezja; po prostu — to nie jest poezja. Jest to tania groteska, niezbyt szczęśliwa. Skolimowskiego stać jednak na napisanie dobrego wiersza, w innym typie:

„Człowiek nad balustradą
lśniące włosy rzeki
wabią jego oczy
wplata wzrok
w jej ciemne warkocze
Coraz go mniej na moście".



Nie wiem w jakim wieku jest Stanisław Swen Czachorowski, ale niewątpliwie znajduje się on w okresie pełnej twórczej fermentacji. W jego tomiku (7), obok wierszy których młodzieńczość maskuje Różewiczowski kult brutalnego słowa i antypoezji

„ty harfa ty piszczałka
z którą staruch spółkuje

kosz śliw
po kudłach pana ścieka"

znajdują się inne, które nie zostałyby napisane, gdyby nie było przedtem Leśmiana i „Słopiewni" Tuwima:

„tych pawisien ćwierkasów na krzaku
pisaneczek piosneczek z komina
tych słomianych topionych marzann
zazuleczek drewnianeczek kuka"

A to jakby Białoszewski:

„a nie jestem
zwykły stół
nie nil i nie profile
ani tors pod twarzą kurczaka

(7) Stanisław Swen Czachorowski, *Białe Semafory*, P.I.W., Warszawa, 1960.

umarłych słoi mnie
dzielnica zabalsamowanych
i głównie mumia absolutna"

Ale Czachorowski potrafi się zdobyć na słowa istotnie proste:

„po szept strącony ciszą
nie schyla się nikt"

wtedy gdy pasja eksperymentu nie psuje wiersza:

„nie mam prawa być przed wami
moje nogi z niemego kamienia
moje ręce bez trzynastego palca
moje ja
pod ślepą manną przerażenia"

Nowa znaczeniowość i poezja słowotwórcza

„*Trzy poematy* (8) — to pierwsza książka Bieńkowskiego po przeszło dziesięcioletnim milczeniu. Dzisiaj, gdy pisze się prawie wyłącznie krótkie wiersze — zdumiewa i budzi szacunek tak ambitna próba, ambitna nie tylko przez rozmiary, ale także i przez zakres problemów, które porusza. Jest to „summa" poezji, w tym rodzaju jakie chcieli dać St. John Perse lub Patrice de la Tour du Pin we Francji. Jej punkt zaczepienia, zwłaszcza w pierwszym poemacie „Nieskończoność" znajduje się w sferze zagadnień metafizycznych i filozoficznych, ale z największą pasją, zwłaszcza w dwu następnych poematach: „Wstęp do poetyki" i „Widzę i opisuję", oddaje się Bieńkowski próbom rozbicia słowa i wydobycia zeń maksimum możliwości semantycznych.

„Moja technika jest prosta: widzę i opisuję. Staram się tylko nie przeoczyć niczego — pisze Bieńkowski. Ale wbrew temu twierdzeniu, nacechowanemu nadmierną skromnością, jego technika nie jest bynajmniej prosta: wymaga dużej wynalazczości i wypływa z mało eksplorowanych dotychczas warstw geologicznych. Wynalazczość Bieńkowskiego w zakresie poetyckim można by porównać do odkrywczości Gombrowicza w prozie, w okresie, gdy ukazała się *Ferdydurke*.

Wiele uwagi poświęca Bieńkowski samej poezji, jej rodzeniu się i oddziaływaniu, dlatego na przestrzeni książki często spotykamy wyznania poety:

„Jakże nie utonąć w potopie wieloznaczności".
„Szedłem z bardzo daleka od siebie do siebie".

Słowa te doskonale oddają długą drogę, jaka prowadzi od

(8) Zbigniew Bieńkowski, *Trzy poematy*, P.I.W., Warszawa, 1959.

pewnej postawy poetyckiej — do pełnego wypowiedzenia się, do odnalezienia siebie w inności przeżyć i wyrazu.

W pierwszych latach powojennych Bieńkowski wydał zbiór poezji pt. *Sprawa wyobraźni* (9), którego tytuł wyraźnie wskazywał na to, co uważał on wtedy za główny element poezji. Od tego tomiku — długa jest droga prowadząca do *Trzech poematów*, w których odkrywamy innego poetę, pragnącego ,,lecieć na dzikie pola sensu'', ,,od słowa do słowa'', by odkryć

,,antynomie mordercze, rzeczy źródłosłowy
czym by świat stał się jeszcze, gdyby nie poezja''

W tym świecie, gdzie ,,ciemność jest antyświatłem, światło antynocą'', gdzie

Wszystko jest w możliwościach, w instynktach, przeczuciach,
w pragnieniu, aby istnieć, w woli egzystencji,
w projekcie sensu, kształtu, w przedmowie do słowa''.

Te zdania określają także poezję Bieńkowskiego. Pragnie on wydobyć ze słów bogactwo zawarte w ich aluzyjności i w możliwościach asocjacyjnych, uwodzą go

,,słowa nasienne,
słowa marzenne,
słowa zbawienne,
słowa wyprowadzone z równowagi,
słowa doprowadzone do rozpaczy,
słowa oniemiałe z rozkoszy,
słowa Słowackie,
słowa słowicze,
słowa na wolności,
a także — niech już będą — słowa w kapeluszu,
a także — przede wszystkim — słowa z podniesioną głową,
słowa coraz donośniejsze,
słowa coraz wyrazistsze,
słowa coraz doraźniejsze,
słowa coraz dosłowniejsze;
słowa coraz —''

Ale Bieńkowski nie ogranicza się do aluzyjności słowa do tkwiących w nim słowotwórczych możliwości, stara się także wykorzystać powinowactwa semantyczne budząc z uśpienia podświadome asocjacje i aliteracje. Wstęp do poetyki'' nie jest wstępem; jest nową poezją, opartą nie na obrazie, nie na muzyczności, ale na samym słowie *in statu nascendi*, na tkwiących w nim słowotwórczych możliwościach i nawarstwianiu różnych znacze-

(9) Zbigniew Bieńkowski, *Sprawa wyobraźni*, wydanie drugie, P.I.W., Warszawa, 1960.

niowości. Szuka on jednak poezji nie tylko w słowie, ale w tym co jest w nim zawarte w stanie potencjalnym, co je otacza, w tym co znajduje się także p r z e d słowem i p o z a słowem. W poezji polskiej nikt tak daleko nie poszedł w eksplorowaniu tych wszystkich możliwości. *Trzy poematy* nie są tylko tylko eksperymentem. Są także realizacją. Droga, na którą wszedł Bieńkowski jest jednak trudna i odkrywcza; dlatego pozostanie on zjawiskiem odosobnionym. Nie jest on jednak całkowicie samotny; ogłoszony w *Twórczości* poemat Tymoteusza Karpowicza pt. *Historia białopiennego źródła* jest eksperymentem mającym niewątpliwie pokrewny punkt wyjścia.

Książka Bieńkowskiego jest w pewnym sensie rewolucją w zakresie poezji. Jest próbą znalezienia jej w czymś innym, tam gdzie jej dotychczas nie szukano: w nowej znaczeniowości słowa. W okresie awangardy głównym elementem poezji były metafora i obraz; Bieńkowski zwraca się obecnie do nowego słowotwórstwa, do znaczeniotwórstwa, do wykrywania chemicznego powinowactwa znaczeń, do ich aluzyjności i zdolności asocjacyjnej. Słowa — to przede wszystkim geny, z których rodzą się znaczenia, coraz to nowe, coraz inne, chociaż wszystkie wychodzą z pierwszego źródłosłowu, ze słowa znaczeniotwórczego.
Ale

„Słowo ma też granice.
Można je przekroczyć,
sens granicy jest tylko sensem ostrzegawczym".

Bieńkowski zdecydowanie przekracza granice słowa, ukazuje wszystkie zawarte w nim możliwości, to co znajduje się wokół, to co je poprzedza, przed-słowie, po-słowie, przy-słowie, międzysłowie... To wszystko wychodzi poza słowo, ale jest nim jeszcze wystarczająco, by budzić zawarte wewnątrz aluzje. Słowo, które nie tylko opowiada i odpowiada; ale także dopowiada, podpowiada, zapowiada... Mamy wrażenie, że słowo jak ziemia obraca się dokoła swojej osi i ukazuje nam niewidzialne dotychczas strony.

Mimo tej orgii słowotwórczej Bieńkowski ma wrażenie, że jeszcze nie wyczerpał wszystkich tkwiących w tym możliwości:

„Czy mam pozostać na brzegu
niewypowiedziany i bezimienny,
wdowiec niewysłowienia,
a więc ponad miarę, ponad potrzebę, nierzeczywisty —

Czy mam pozostać na brzegu
brzegu czego?
na którym brzegu?
jeżeli wszystko, co rzeczywiste, jest szaleńczym,
niepohamowanym, zawrotnym,
rozlegającym się od rzeczy do rzeczy jak od morza
[do morza słowotworem?"

Poezja Bieńkowskiego opiera się na pojęciu, jest cerebralna, podobnie jak twórczość niektórych poetów francuskich lub — w okresie awangardy — wiersze Peipera. Równocześnie cechuje go skłonność do retoryki, do nazywania. Tworzy on poezję znaczeń, poezję znaczeniowości; ma ona pewne wspólne cechy łączące ją z poetami francuskimi, z Michaux i z Pongem, ale mimo to zajmuje zupełnie własne miejsce w poezji połowy bieżącego stulecia.

Czasem Bieńkowski wprowadza do wierszy swoisty humor; a przykładem tego może być następująca apostrofa we *wstępie do poetyki:*

,,Wstawcie się za mną książęta polszczyzny
Zabłocki na mydle,
Piekarski na Mękach,
I ty, święty Mironie Białoszewski, męczenniku etymologii''.

Wbrew temu co można by przypuszczać, poezja ,,semantyczna'' i słowotwórcza dostarcza wielu możliwości, a dowodem tego są ,,Trzy poematy'' Bieńkowskiego, które bezsprzecznie należy uznać za jedną z najbardziej ciekawych książek lat ostatnich.

Jan BRZĘKOWSKI

Antoni Olcha w Brazylii

Ostatnio coraz częściej pisze się o Polakach w Brazylii. I słusznie im się to należy, bo jest to pokaźna grupa ludzi, duży liczebnie odprysk od rodzimego pnia i już dziś o poważnym znaczeniu dla Brazylii (1).

(1) Pisano o nich również dawniej. Już o pierwszym Polaku w Brazylii, Admirale Krzysztofie Arciszewskim pisał w roku 1842 Karol Milewski w czasopiśmie ,,Biblioteka Warszawska'' (rok 1842, str. 132 — ,,Krzysztof Arciszewski''), a później w roku 1892 Aleks. Kraushar (,,Biblioteka Warszawska'' rok 1892, str. 222 w rubryce ,,nadesłane'' — ,,Dzieje Krzysztofa z Arciszewskiego, admirała i wodza Holendrów w Brazylii...'' i ten sam autor w czasopiśmie ,,Ateneum'' (rok 1892, str. 217) — ,,Z dziejów Krzysztofa Arciszewskiego''.

Lista wydawnictw oraz artykułów i wzmianek w prasie polskiej na temat Brazylii i brazylijskich Polaków jest wcale obszerna. Daleko mi do kompletnej bibliografii, ale już to co miałem w ręku, lub o czym udało mi się zebrać informacje — a co podaję na końcu tego artykułu (str. 128) — przedstawia się imponująco.

W roku 1957 odwiedziło Brazylię aż dwóch pisarzy krajowych: Michał Rusinek i Antoni Olcha, zastępca naczelnego redaktora tygodnika ,,Orka''. Ten ostatni, w dwa lata później, ponowił wycieczkę, aby lepiej opanować temat, o którym chciał mówić.

Wrażeń Michała Rusinka jeszcze nie czytałem, znam natomiast Antoniego Olchy ,,Szumią Dęby nad Iguassu'' (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1959, str. 248).

Praca ta jest reportażem. Nie mogło być inaczej, bo na zgłębienie problemów zarówno brazylijskich jak i polskich w Brazylii, wycieczka nie mogłaby wystarczyć. Reportaż uprawnia do skrótów i usprawiedliwia emocje i migawki, oczywiście pod warunkiem, że są one zgodne z rzeczywistością.

Książka Antoniego Olchy pociąga czytelnika. Plamy opisów i wrażeń są sugestywne. Łatwo widzi się w wyobraźni asfaltowe jezdnie ,,przeskakujące z góry na górę krawędziami zawrotnych przepaści'', w napięciu śledzi wraz z autorem napotkaną niespodziewanie żmiję, bo ,,bardzo się cierpi od ukąszenia takiej koralówki, zanim się skona''. Odkrywa się wraz z nim ,,szlachetną prostotę'' architektury i ,,umiejętność dopasowania każdej bryły architektonicznej do sytuacji terenowej i charakteru dzielnicy'' Kontrast ,,ultranowoczesne chmurowce — a tu biedne półmroczne klitki'', tak zgrabnie podsuwający krzywdy ustroju kapitalistycznego, każe szukać autorowi i innych przyczyn, choćby ,,ciągu ludności wiejskiej do potężnych centrów miejskich''. W dobrze podpatrzonym ulicznym karnawale, Brazylianie ,,idą tańcząc. Idą śpiewając. Każdy sobie, każdy na własną rękę, jakby nie zwracał uwagi na sąsiadów, a przecież ta indywidualna improwizacja jest improwizacją wspaniałą, wypływającą z najgłębszego przeżywania radości istnienia, z zupełnego oddania się zabawie, ujętej w tradycyjny kształt artystyczny''.

Olcha jest więc uważny i pracowity. I uczulony na obraz i zasłyszane słowo. Gdy się z nim rozmawia, chętniej słucha niż mówi. Chce wiedzieć. Żąda faktów i dowodów. I może dlatego jakby na potwierdzenie, że tylko w ten sposób wolno pracować, tam gdzie zanotuje bez dowodu — chochlik wpadki jest zapewniony. Tak dzieje się na przykład gdy mu pan P. opowiada o założeniu sklepu, który mu później ułatwił działalność społeczną, a tej z kolei owocem ,,było zbudowanie domu Towarzystwa Polskiego w Erechim, zaś w Porto Alegre szkoły i kościoła''.

Nie wiem co było w Erechim, ale w sprawie szkoły i kościoła porto-alegreńskiego nie ma bodaj słowa prawdy. Tak mści się odstępstwo od zasad. Ale regułą pracy autora jest dobra informacja, a w każdym razie informacja uznana przez niego za dobrą.

Antoni Olcha zwiedził w 1957 roku zasadniczo tylko część Parany. Zawadził o Rio de Janeiro i Sao Paulo, przekroczył na krótko granice Santa Catarina i Rio Grande do Sul, ale głównie jeździł po koloniach parańskich, największym w Brazylii skupisku dawnych i niedawnych Polaków.

Zobaczył sporo. Przewijają się po kartach książki sylwetki, przeżycia i dola ludzka zakisła po dalekich ustroniach. Plastycznie wypadła sylwetka chłopa wychylającego się z szerokiej pustki o jakiej nie marzyło się Europejczykowi w połowie XX wieku. Ostro kontrastują pamięć o starym kraju z wrośnięciem w codzienność, uśmiech ukontentowania przy okazywaniu tego co „moje", z chwytającą za gardło tęsknotą, która nie opuszcza po ostatnie godziny życia.

— Nam tu dobrze — powiadają koloniści — i tu pozostaniemy. A obok wiadomość, że stara Stępniakowa „wybrała się któregoś dnia do Polski i zmarła w zakątku leśnym" i że to samo spotkało innego starca, a jeszcze inny w tym swoim wybieraniu się do starej ziemi stracił rozum. Potem jeszcze spazm chuderlawego człeczyny i serdeczne zwierzenie wszeptywane w ucho:

— „I ja tęsknię, panie.. Ja bym dziś jeszcze... tak jak stoję... piechotą...".

Niemal słyszy się chętne opowiadanie starego kolonisty o raz na zawsze zakarbowanych w głowie przeżyciach czasu zamorskiej podróży i pierwszych lat prawie krańcowej nędzy i opuszczenia. A zaraz potem, jakże typowe zerknięcie spod oka w stronę gościa i wątpliwość, „czy słuchacz zdolny będzie odczuć całą niezwykłość ich losu? Czy ich potrafi zrozumieć?".

Szemrze życie człowieka w opowiadaniach Olchy. Tu gwarzą ludzie przy zładowywaniu worków przywiezionych do spółdzielni, tam mówi się o pracach Polaków w dziedzinie sztuki, teatru, pisarstwa i polityki państwowej, ówdzie chudy oracz pokrzykuje jak pięćdziesiąt lat temu nad Wisłą:

— Wio, mały!...

Tłoczą się ludzie. Koloniści, nauczyciele prawdziwi, i ci z Bożej łaski działacze, mędrki i wykpisy, lekarze, inżynierowie, domorośli poeci i pisarze, redaktorzy, młodzież, wyznawcy wiedzy tajemnej i okultyści. Przygrywa dwuosobowa kapela na weselu, chałupy gospodarskie jedna po drugiej wyłaniają się z „capoery", a w nich na przemian niedostatek, zamożność, a często gęsto niemal bieda. Ta bieda jest losem i naukowca okulisty, bo gdzie on tam miał czas w życiu na robienie pieniędzy. Starzy działacze wzruszają na te sprawy ramionami. Może mieliby majątki, ale nie było warto się tym przejmować. Ważniejsze bywały sprawy.

Czasem autor na długo przestaje mówić. Słucha. Strona za stroną wypełnione są głosem chętnych do gawędy i wynurzeń, a szczodrych w słowa ludzi. I z tej szczodrobliwości mapa Stanu Parana zaludnia się ludźmi i pracą, która garbi plecy i wykręca stawy u palców. Praca dla siebie i dla innych. Rosną szkoły, wznoszą się kolegia, pieczołowicie i niemal obrzędowo sadzą dęby starokrajskie, rodzą pomysły. Przeżywa ludzi ich troska o gromadę, podchwytywana rękami następców. Często małość przykucnie na boczku i bruździ, czasem obojętność na wszystko co nie moje i nic mi do tego.

Życie polskie trwa. Zalewa je Brazylia, ale ono kiełkuje. Przestanie wreszcie i zemrze, bo tak być musi, ale dziś jeszcze się przebija.

O Polsce ogólnie mówi się ciepło, pastelowo. Tylko nie o konkretnej Polsce ,,między wojnami''. Ale to już jest choroba wieku. Czasy są dziś takie a nie inne. Zanim się wszystko w ,,Starym Kraju'' nie przemaceruje i skrystalizuje, zanim nie opadną niechęci, tak to będzie. Wyławiane będą i podawane czytelnikom w słowie pisanym same utyskiwania i niechęć. Zresztą, kiedy przyjeżdża ktoś z ,,Polski dzisiejszej'', niejednemu tu się rzeczywiście zdaje, że tak ,,antysanacyjnie'' mówić wypada, aby gościowi zrobić przyjemność.

Kto dziś w granicach czterdziestki nie wie jak było w Polsce? Wiemy. Ale przecież nie był to wiek feudalnych królików z obowiązującym ,,ius primae noctis''. A tymczasem na stronicach książki znajdujemy na tematy sprzed 1939 roku właściwie same tylko popluwania i obrzydzanie. W Towarzystwie Ruy Barbosa w Erechim mówca powiada:

,,Moi drodzy. Dlaczego się tu znajdujemy w Brazylii? Czy nie pownniśmy byli zostać w swoim kraju? Ale tam rządzili jaśniepanowie. Robotnik i chłop pracowali od piątej rano do dziesiątej w nocy''.

Rzecz do dyskusji czy tak ,,akuratnie bywało''. Niech będzie od piątej rano do dziesiątej w nocy, zwłaszcza robotnik, i niech będą jaśniepanowie. Powiedzmy o czym innym: Jestem tu dziesięć lat i już setki osób opowiadało mi o tym, jak pracowali po przyjeździe. A sam widzę jak niejedni pracują do dziś. W ubiegłym roku w tymże okręgu Erechim, w kolonii Aurea, oglądałem w kościele wielki zjazd kolonistów, niemal wyłącznie Polaków. Było ich około dwóch tysięcy. Może wrażenia z Polski ulotniły mi się w ciągu dwudziestu lat i wybłękitniały. Ale te zeszłoroczne mam świeżo w pamięci. Ludzie przygięci pracą, kobiety zwłaszcza — męczenniczki pracy na roli — z zagasłymi oczami, z rękami sztywnymi od pracy, z plecami w kabłąk. To samo w mieście. Robotnicze rodziny pracowały, a nieraz i pracują, w komplecie — kto żyw. Byle odrosło dziecko od ziemi — już je do fabryki. Niech pomaga. W rezultacie, a jakże, jest domek na własnym terenie i żylaki na nogach i przesiadywanie po gabinetach lekarskich.

— ,,Wy tam nie macie pojęcia w Polsce, jak tu jest — słyszy i sam autor w Paranie. — Dorobek całego życia osadnika nie przewyższa na ogół wartości 500 dolarów. Prymityw...''.

Gdzie indziej — znów słowa kolonisty:

,,Kto mógł płacić po 100 milrejsów lekarzowi, ten miał ratunek. Inni marli bez ratunku''.

A więc — wszędzie dobrze gdzie nas nie ma. A w niechęci do Polski międzywojennej, znowu wyczuwa się jeśli nie tendencję, to ,,chorobę wieku'' i spojrzenie ,,frontem do szaraka''. Wyłącznie.

Antoni Olcha zwiedził okolice Kurytyby i Ponta Grossa, czyli stosunkowo niezbyt wielki wycinek Parany i drobny ułamek ,,polskiego'' Rio Grande do Sul. Więcej nie zdążył. W tych jednak odfotografowanych terenach nie zauważył grupy ludzi ustabilizowanych materialnie i zamożnych, czasem bogatych. A powinien był ją widzieć. Dla całości obrazu. Więc ośrodki o 4.000 ha gruntu, więc duże zakłady handlowe i przemysłowe. Zdarzają się. I trzeba by o tym mówić tak samo jak o przeciętnych i mało zamożnych ludziach. Bo tamci bogaci to nie kapitalistyczny skandal nadający się li tylko do przemilczenia. To synonim przedsiębiorczości, siły woli, nieraz upór, często inteligencja. To dobry moment do charakterystyki ogólnej Polaka-wychodźcy i nie potrzeba się obawiać ubarwiania stronic książki i tego rodzaju fotografiami. Ołtarzyk cierpiętnictwu nikomu i na nic przydać się nie może.

Tyle o chłopie koloniście. Ale oprócz emigranta, przysyłano tu z Polski przed wojną najrozmaitszych urzędasów. Mniejszych i większych. Opowiada się o tym do dziś, opowiadano więc i autorowi ,,Dębów nad Iguassu''. Bezstronnie też napisał o o tym, mówiąc o lepszych i o tych najgorszych, jak powiada ,,królewiętach nowego ruchu kolonizacyjnego''. Znana to sprawa że niemało cwaniaków tu grasowało i żerowało na ludności. Ale czasem z opowiadań ludzkich paruje jakiś uraz i wtedy, słuchając uważnie, można go wyłowić. Zastanowiło mnie kiedyś narzekanie Polaka tutejszego, któremu jako fachowemu rzemieślnikowi w przedwojennej Polsce niezbyt źle się powodziło, jeśli nie całkiem dobrze. I otóż okazało się, że malkontenta odbywającego podówczas służbę wojskową, źle i niesprawiedliwie potraktował jakiś żandarmski kapralina. Stąd uraz do Polski. Czy więc nie podobny uraz przemawiał i przez usta informatora Antoniego Olchy, który stwierdza że w odpowiedzi na utyskiwanie ludzi na nieznośne warunki życia w Brazylii, dygnitarz konsularny miał odpowiedzieć:

— ,,Chciało się wam Brazylii? Sznurów tu dość. Możecie się powiesić''.

Możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. I jeśli przyjąć, że personel dyplomatyczny czy konsularny poza granicami Polski często nie stał na wysokości zadania — to za ewentualny, wątpliwy w dodatku,wybryk jednostki, nie koniecznie trzeba potępiać system i obrzydzać obraz Polski. Nie ulega wątpliwości, że i dziś nie jedno da się powiedzieć o ludziach z zagranicznych placówek polskich. A jednak emigracja o co innego ma pretensje do komunistycznego rządu obecnej Polski, niż o nieudane jednostki, których udziałem stał się mniej lub więcej przypadkowy pobyt zagranicą, na placówkach.

Niespodzianką dla Antoniego Olchy jest zakrojona dziś na szeroką skalę akcja zakładania w Brazylii różnego typu spółdzielni wśród rolników. Czytał z zainteresowaniem kalendarz polskiego tygodnika kurytybskiego LUD z 1957 roku, gdzie znalazł zdanie o konieczności ,,zrzeszenia kolonistów celem otwar-

cia własnego sklepu w dużym mieście, dokąd wysyłaliby swe produkty'' i inne zdanie mówiące: ,,...kooperatywa, czyli spółdzielnia, gdzie działalność regulowana jest statutem rządowym''. A czytając, ,,oczom — jak mówi — chwilami nie wierzył''.

Tak jest rzeczywiście. Ruch spółdzielczy obejmuje coraz większe kręgi i służy rolnikowi, narażonemu tu z reguły i na balansowanie cen i na ich niski poziom i na trudności ze zbytem. Mówi autor, że ,,są tacy, i to bynajmniej nie jacyś lewicowcy, którzy pragnąc zapobiec klęsce, biją na alarm, apelują do rozsądku kolonistów, wzywają do wspólnego działania''.

Z tego co zdołałem zaobserwować w moich wędrówkach po polskich koloniach Stanu Rio Grande do Sul, ruchem spółdzielczym zajmują się ani lewicowcy, ani nie lewicowcy z przekonań. Zajmują się tym ruchem ludzie, którzy rozumieją jego potrzebę. Tak samo jak to było w przedwojennej Polsce, gdzie rządzili nie lewicowcy, a gdzie spółdzielczość była znana i szybko się ostatnimi laty rozwijała.

Warto przypomnieć, że mieliśmy na przykład w zachodniej Polsce spółdzielnie kredytowe w formie banków ludowych, zaś we wschodniej i południowej ,,Kasy Stefczyka''. Znane były spółdzielnie ,,Rolnik'' i około 1.600 przetwórczych spółdzielni mleczarskich z roczną przeróbką ponad 1,5 miliarda litrów mleka, z władzami wybieranymi przez członków-rolników. Niewiele było już powiatów nie obsłużonych tą siecią. Około 70% zbóż nasion eksportowały z Polski dwie centrale spółdzielcze rolniczo handlowe, zbierające towar z około 500 terenowych spółdzielni. Centralna Kasa Spółek Rolniczych w 1937 roku liczyła około 975 tysięcy pożyczkobiorców i 597 tysięcy wkładowców, a była centralą około 4.000 spółdzielni. Inne typy koperatyw zajmowały się przerabianiem lnu, produkcją bekonów, przetwórstwa owoców i warzyw. Czyli ani prawicowość ani lewicowość nie decydowały o rozsądnej myśli i wprowadzaniu jej w życie.

Jeśli mówić o całości książki Antoniego Olchy, to autor oczywiście tematu nie wyczerpał. Brak uwypuklenia nasilonego ostatnio kształcenia się młodzieży wiejskiej polskiego pochodzenia, brak opisu sytuacji w dziedzinie pomocy lekarskiej i społecznej, brak naświetlenia spraw masowego zbytu produkcji rolnej, brak naszkicowania stosunku kolonisty do kościoła i świeckich zrzeszeń, brak objęcia całości, lub przynajmniej większej części terenu, wreszcie bliższych kontaktów z inteligencją polskiej emigracji, lub tutejszą. Nie są to braki dyskwalifikujące całość pracy. Rzucony na dwieście pięćdziesiąt stronic książki obraz życia polskiego w Brazylii dostarcza przeżycia, a dociekliwość autora w badaniu niektórych tematów, każe nabrać do niego zaufania. Istotne zastrzeżenia jakie nasuwają się po przeczytaniu książki — są raczej innej natury:

Gdy miałem przyjemność poznać autora w Porto Alegre, zapytałem go, jaki jest najbardziej ogólny cel książki czy książek, które zamierza pisać o Brazylii i Polakach w Brazylii. Odpo-

wiedział mi, że chce dać w Polsce pewien obraz tutejszej rzeczywistości i uczynić coś dla zacieśnienia więzów tak kulturalnych, jak utylitarnych, przede wszystkim handlowych, między obydwoma krajami.

Nie wydaje mi się aby ,,Szumią Dęby nad Iguassu'' usprawiedliwiały w pełni zamiary Antoniego Olchy. Obraz Brazylii jest tam bardzo wycinkowy. Być może że drugi tom uzupełni te luki, ale na razie widać duże braki.

Polacy w kraju prawdopodobnie chętnie i z zainteresowaniem przeczytają książkę Antoniego Olchy. Znajdą tam mnóstwo materiału, ale nie dowiedzą się co autor chciał w swej książce powiedzieć o wychodźtwie polskim w Brazylii, o jego postawie wobec Polski i jej spraw, co to wychodźtwo dać może krajowi, co wreszcie Brazylia Polsce i vice versa może oferować i na czym ma polegać wzajemny kontakt tych dwu państw i dwu narodów, o czym tak chętnie i dużo się dziś i w Warszawie i tutaj mówi.

Stwierdzenie, że polscy emigranci to ,,wzmocnienie Brazylii nie tylko materialne ale i kulturalne'' i że ,,historia poszczególnych pionierów... jest także jakąś cząstką dziejów i polskiego narodu'' — raczej nie wystarcza.

Pracowitość Antoniego Olchy każe przypuszczać, iż w ciągu następnego roku podzieli się z nami listami ze swej powtórnej podróży, tym razem głównie do Stanu Rio Grande do Sul i że tam znajdziemy pełniejszy — choć oczywiście nadal reportażowy — wizerunek Brazylii i Polaków w tym kraju.

A może też w drugim tomie dojdą do głosu i ci Polacy brazylijscy, którzy na Polskę sprzed roku 1939 spoglądają stąd nie przez pryzmat żalów do polskiego jaśniepaństwa, lecz posługując się rzetelnością i świadomością istotnego, chociaż bardzo nieraz twardego i smutnego stanu spraw.

Bo czasem z tą przedwojenną Polską jest jak z wydobyciem jej węgla. Mówią chętne statystyki, iż się go wydobywa więcej niż dawniej, ale nie mówią, że tego węgla dziś w Polsce jest o 75 % więcej niż dwadzieścia lat temu, w dawnych granicach.

Jan WÓJCIK



M.J.Z. — *Lasy podzwrotnikowe Ameryki Południowej* — ,,Kłosy'', 1880, str. 287 i 372.

Adolf Dygasiński — *Listy z Brazylii* — r. 1890 w odcinkach ,,Kuriera Warszawskiego'' i i r. 1891 w wydaniu książkowym.

,, ,, — *Wgiilia w Superagui,* Warszawa, 1891.

,, ,, — *Klawiszewski* i *Rózia* — nowele na tematy brazylijskie, 1891.

,, ,,	— *Czy jechać do Brazylii* — ,,Biblioteka Warszawska'', 1891, str. 13.
,, ,,	— *Na złamanie karku* — w odcinkach ,,Kuriera Warszawskiego'', rok?; w wydaniu książkowym, Warszawa 1893 i w okresie między wojnami w wydaniu Biblioteki Groszowej.
,, ,,	— *Opowiadanie Kuby Cieluchowskiego o emigracji do Brazylii,* Warszawa, 1892.
Antoni Potocki	— *Listy z Brazylii przez wychodźców do rodzin pisane.* Warszawa, 1891.
Stefan Nestorowicz	— *W Brazylii i Argentynie,* 1891.
Ks. Z. Chełmicki	— *W Brazylii. Notatki z podróży,* 2 tomy, str. 210 i 220, Warszawa, 1892.
,, ,,	— *W Brazylii. Notatki z podróży,* ,,Biblioteka Warszawska'' rok 1892, tom 2, str. 564.
Dr Józef Siemiradzki	— *Stosunki osadnicze w Brazylii* — ,,Biblioteka Warszawska'', rok 1892, tom 1.
,, ,,	— *Za Morze. Szkice z wycieczki do Brazylii.* Lwów 1894, str. 100.
,, ,,	— *Z Warszawy do równika,* 1895.
,, ,,	— *Na kresach cywilizacji — listy z podróży po Ameryce Południowej, odbytej w r.* 1892. Ocenił: ,,XXX''. ,,Ateneum'' rok 1896, tom III, str. 557.
,, ,,	— *Opis Stanu Parana.* (tłumaczenie) Manoel Francisco Correia i Barao Serro Azul, przetłumaczył dr Józef Siemiradzki. I wyd. r. 1895, str. 60. 2 wydanie: uzupełnione mapą Stanu i kolonii polskich, wraz z dodatkami ,,Rady i Przestrogi dla Wychodźców do Brazylii'' i ,,Kolonizacja polska w Paranie, jej dzieje i stan obecny''. Nakładem Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, — Lwów 1896, str. 80.
,, ,,	— *Szlakiem Wychodźców.* 2 tomy. Biblioteka Dzieł Wyborowych. 1900; 2 wyd. Drukarnia A.T. Jezierski, Warszawa 1910, str. 130.
,, ,,	— *W sprawie emigracji włościańskiej w Brazylii.* ,,Biblioteka Warszawska'', r. 1900, tom I, str. 137.

Dr J. Siemiradzki i Ksiądz Wolański — *Sprawozdanie z podróży do Południowej Brazylii.* ,,Gazeta Handlowo Geograficzna'', Lwów 1902.

Maria Konopnicka — *Pan Balcer w Brazylii* — ,,Biblioteka Warszawska'', tom 3 rok 1892, str. 225 i 468.

Antoni Hempel — *Polacy w Brazylii.* Nakład ,,Kuriera Lwowskiego''. Lwów 1893, str.? (posiadam egzemplarz kończący się na str. 160, reszty brak).

Dr St. Kłobukowski — *Wspomnienia z podróży po Brazylii, Argentynie i Paragwaju, Patagonii i Ziemi Ognistej.* 1899.

,, ,, — *Roczna emigracja polska i środki przeciw niej zaradcze.* ,,Ateneum'', rok 1899, str. 283 i 475.

,, ,, — *Wycieczka do Parany* (*Stanu Rzeczypospolitej Brazylii*) — *Dziennik Podróży.* Lwów 1909.

Prof. O. Bujwid — *Stosunki zdrowotne w Brazylii,* Warszawa 1900, str. 94.

Piotr Sieciński — *Echo z Brazylii, utwory wierszem.* Pisane w Rio de Janeiro w r. 1900.

Artur Gruszecki — *W Kraju Palm i Słońca* — wrażenia *z podróży.* Kraków 1901, str. 116.

Kaz. Warchałowski — *Do Parany* i *Przewodnik dla podróżujących i Wychodźców* (razem wydane). Nakładem autora. Druk W. L. Anczyc i Ska, Kraków 1903.

,, ,, — *Picada* (wspomnienia z Brazylii). Wyd. ,,Pionier'', Warszawa 1930, str. 201.

Alexy Kurcyusz — *Brazylia.* Warszawa 1909. 2 tomy łącznie str. 248.

Ludwik Włodek — *Kolonia Polska w Paranie. Odczyt z obrazami świetlnymi.* Drukarnia W. Komeckiego i K. Wojnara, Kraków 1909.

,, ,, — *Polacy w Paranie.* Wydawnictwo imienia Staszica, Skład Główny Księgarni Polskiej. Warszawa 1910, str. 47.

St. Langanowski — *Kolonie Polskie w Paranie.* (W dziele ,,Ziemia w opisach i obrazach''). Część II. Warszawa 1912.

F. Bayer — *Parana.* Główny Skład Księgarni T. Treptego. Warszawa 1912, str. 104, ilustracji 7, mapka.

Jan Piętka — *Z Galicyjskiego Bagna Emigracyjnego.* Kraków 1912.

Maria Ficińska — *Za ocean do Parany. Druk K. Miecznikowski,* Płock 1914, str. 53.

,, ,, — *Dwadzieścia lat w Paranie.*

Michał Pankiewicz — *Z Parany i o Paranie.* (Uwagi i opis). Nakład G. Gebethner & Ska, Kraków 1916, str. 79.

Czasopismo 'Ateneum' — Rok 1890, tom 3, str. 625. *O emigracji brazylijskiej.*

,, ,, — Rok 1891, tom 2, *Wychodźtwo do Brazylii* — na podstawie źródeł urzędowych, przez K.W.

,, ,, — Rok 1891, tom 3. *Listy ks. Chełmickiego z Brazylii,* kronika miesięczna.

,, ,, — Rok 1892, tom 4. *Echa emigracji brazylijskiej,* kronika miesięczna.

Czasopismo ,,Biblioteka Warszawska'' — Rok 1842, tom 3. *Listy z Brazylii* przez Czer.

,, — Rok 1891, tom 2. *Wyprawa ks. Chełmickiego i p. Glinki i dra Siemiradzkiego do Brazylii.*

,, — Rok 1891, tom 3. *Emigracja ludu z Król. Polsk. do Brazylii i wyprawa ks. Chełmickiego.*

,, — Rok 1892, tom 1. *Dom Pedra brazylijskiego i inż. Alphand'a* — kronika miesięczna.

,, — Rok 1892, tom 3. *Powrót emigrantów brazylijskich.* Kronika miesięczna — sierpień.

,, — Rok 1892, tom 4. *Losy wychodźców w Brazylii.* Kronika miesięczna — grudzień.

,, — Rok 1893, tom 3. *Emigracja i niezaradność ludu naszego za Oceanem.* Kronika miesięczna. Wrzesień.

Ludwik Włodek — *Polskie Kolonie Rolnicze w Paranie.* Wydawnictwo ,,Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskim'', nr 5. Warszawa 1910, str. 116.

Po pierwszej wojnie światowej ,,kluczową'' pracą dla badaczy jest niewątpliwie książka Konsula RP w Kurytybie Kazimierza Głuchowskiego, ,,Wśród Pionierów Polskich na Antypodach'' (Wydawnictwo Instytutu Naukowego do Badań Emigracji i Kolonizacji, Warszawa 1927, str. 354), o której Wojciech Szukiewicz powiada w ,,Kwartalniku Naukowego Instytutu Emigracyjnego z 1928 roku, że ,,autor osiągnął główny cel swej pracy: przedstawił doskonale dzieje i stan osadnictwa polskiego w Brazylii i wykazał zdolność pionierską jako też osadniczą

chłopa polskiego". Ale nie była to oczywiście jedyna książka o Brazylii, pisana w okresie między wojnami. Oto niektóre wydawnictwa:

Mieczysław Nostytz-Jackowski — *Maria Antonina. Humoreska Brazylijska na tle prawdziwej przygody* (Rio Claro — Parana). Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań, str. 61.

Mieczysław Nostytz-Jackowski — *Tumba* i *Ojcze nasz. Obrazki Brazylijskie* (Rio Claro — Parana). Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań, str. 56.

Dr T. Chrostowski — *Parana.* Wspomnienia z podróży w roku 1914 z 6 ilustracjami i mapą Parany. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1922, str. 273.

Emil L. Migasiński — *Polacy w Paranie Współczesnej.* Warszawa 1923, str. 237.

Apoloniusz Zarychta — *Wśród Polskich Conquistadorów* (Plemię Zdobywców). Wrażenia i przygody z podróży po południowej Brazylii. Str. 239.

M. B. Lepecki — *Na cmentarzyskach Indian.* Wrażenia z podróży po Paranie. Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych. Warszawa 1926, str. 122.

" " — *Opis Stanu Parana.* Drukarnia Stołeczna. Warszawa 1928, str. 48.

" " — *Podróż Prezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy do Ameryki Południowej.* Miesięcznik „Polacy Zagranicą". Drukarnia Stołeczna, Warszawa, str. 16.

Bez autora — *Wychodźtwo Polskie w Brazylii.* Wydawnictwo Min. Spraw Zagr. Warszawa 1926, str. od 30 do 45.

Fr. F. Łyp — *Brazylia. Kraj — Ludzie — Stosunki — dane statystyczne, etc.* Str. 446 plus 81.

Dr J. Stanczewski — *Polska w Brazylii.* Odbitka z „Przeglądu Współczesnego", Kraków 1928, str. 15.

" " — *Polska Bibliografia w Brazylii.* (Informacje Literackie). „Ossolineum", Lwów 1927, str. 15.

" " — *Polskie Zmartwychwstanie w Kraju i Paranie.* 1918-1928. Wybór poezji patriotycznych. Drukarnia Spółkowa, Kościan, str. 15.

Julian Pikiel	— *Uwagi konwojenta w podróży do Brazylii.* Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego oraz Przegląd Emigracyjny. Tom II i III, rok 1928. Warszawa 1928, str. od 539 do 545.
Wojciech Szukiewicz	— *Kazimierz Głuchowski — Wśród Pionierów Polskich na Antypodach.* Kwartalnik... (jak wyżej) str. od 607 do 612.
Jerzy Ostrowski	— *Ziemia Świętego Krzyża* (Brazylia). Kraków 1929, str. 188.
,, ,,	— *Brazylia.* Bibl. Geogr. Podr. Str. 112
,, ,,	— *Kobuz.* Warszawa 1931.
Zbigniew Zaniewicki	— *Zielone Piekło.* Warszawa 1929, str. 175.
Janusz Makarczyk	— *Nowa Brazylia. Dżungla — Osiedla — Ludzie.* Z przedmową Al. Świętochowskiego. Warszawa 1929, str. 184. Wydawnictwo M. Arcta.
Towarzystwo Kolonialne w Warszawie	— *Kolonizacja Polska w Brazylii* (Ameryka Południowa). Zeszyt I — Stan Espirito Santo (Świętego Ducha). 1 wydanie: Warszawa 1929, str. 39; 2 wydanie: 1930, str. 62.
Urząd Emigracyjny	— *Wskazówki dla wychodźców do Brazylii.* Wydanie drugie. Druk Br. Tomczyka. Warszawa 1929, str. 57.
Wydawnictwo zbiorowe	— *Pamiętniki Emigranta.* Warszawa 193? (lata trzydzieste).
Paweł Nikodem	— *Guaira, dzieje indyjskie ścieżki.* Kwartalnik Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonialnego oraz Przegląd Emigracyjny. Tom I i II, rok 1930. Warszawa 1930, str. od 73 do 192.
Bronisław Hellwig	— *Instytut Rolniczy w Campinas* (Brazylia). Kwartalnik... (jak wyżej), str. od 196 do 200.
Dr Eugeniusz Miszke	— *Przyczynek do patologii Brazylii.* Kwartalnik... (jak wyżej), str. od 461 do 469.
St. R.	— *Janusz Makarczyk — Nowa Brazylia.* Kwartalnik... (jak wyżej) str. od 536 do 539.
Bohdan Lepecki	— *Picada.* Kwartalnik... (jak wyżej), str. od 540 do 541.
Ks. Ignacy Posadzy	— *Drogą Pielgrzymów.* Poznań 1933, str. 344 z 64 fotogr.

Ks. Nikod. Cieszyński — *W cieniu palm i piniorów*. Z podróży do Włoch i Południowej Ameryki. Potulice 1935.

Bp Dr Teodor Kubina — *Cud Wiary i Polskości wśród wychodźtwa polskiego*. Częstochowa, Nakład Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej. Częstochowa 1935, str. 91.

„ „ — *Wśród polskiego wychodźtwa w Ameryce Południowej*. Potulice 1938, str. 360.

B. Żabko-Potopowicz — *Osadnictwo Polskie w Brazylii*. Warszawa 1936, str. 228.

Zbigniew Uniłowski — *Żyto w Dżungli*. (Pamiętnik z podróży po Paranie). Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1936, str. 271.

Bohdan Pawłowicz — *W słońcu Dalekiego Południa*. Szkice z Podróży. Warszawa 1937, str. 198.

„ „ — *Pionierzy*. Tom I „Wojciech Mierzwa w Paranie”, str. 364. Tom II „Wyspa Św. Katarzyny”, str. 373. Książnica Atlas, Lwów 1938. (2 wydanie: Druk oraz Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich, Warszawa 1929, str. 485).

Konrad Wrzos — *Yerba Mate*. Warszawa 1937, str. 218.

Edmund Sebastian Woś-Saporski — *Pamiętnik. Wspomnienia z życia w Paranie*. Nakładem Międzynarododowego Towarzystwa Osadniczego. Warszawa 1939, str. 132.

Wieża i otchłań

Poszukiwanie sensu przemian społecznych interesuje nie tylko polityków. Może nawet przede wszystkim nie polityków. Polityka jest bowiem sztuką i rozumowania rozwijane przez polityków są częściej racjonalizowaniem odczuć, przesądów i nastrojów, niż dociekaniem istoty zjawisk.

I nie tylko uczonych, choć z akademickiego punktu widzenia zagadnienie jest bardzo kuszące: może wielość i rozmaitość przemian w społeczności da się sprowadzić do wspólnego mia-

nownika — zrozumieć jako objawy jakiegoś podstawowego procesu, jako pochodne jakiejś ogólnej linii ewolucyjnej? Może dadzą się skonstruować koncepcje teoretyczne, zdolne zamienić prognostykowania i proroctwa w prognozy i diagnozy, oraz pozwolić na wydedukowanie metod terapii, albo adaptacji jeżeli nie da się uznać że przemiany te są objawem patologicznym?

Zagadnienie to zaczyna coraz żywiej interesować ogół inteligentnych obserwatorów bieżącej rzeczywistości, i stąd powstał dość chłonny rynek na tego rodzaju opracowania, pisane nie przez specjalistów dla specjalistów, lecz przez filozofujących dydaktów dla ogółu.

Jednym z poczytniejszych dzieł tego rodzaju była tzw. teoria rewolucji manadżerskiej Burnhama. Burnham buduje swą teorię na założeniu, że każda społeczność ludzka rozwarstwiona jest na klasy społeczne i jedna z tych klas obejmuje, czy raczej zagarnia, władzę nad całością. W różnych okresach historycznych władzę społeczną sprawowały różne klasy. W okresie obecnym powstaje nowa klasa społeczna — klasa manadżerów, która zagarnia władzę w sposób nieunikniony. Ta zasadnicza przemiana jest przyczyną i pobudką innych przemian społecznych i kulturalnych. Nie ma tu potrzeby omawiać szerzej koncepcji Burnhama, gdyż polski przekład jego książki jest (w wydawnictwie ,,Kultury'') dostępny. Jak każda teoria ogólna, jest ona oparta na pewnym zespole pojęć abstrakcyjnych i zależna od pewnego kąta widzenia rzeczywistości. Przebieg wydarzeń może nieźle pasować do schematu konstruowanego przy pomocy takiej teorii. Można z niej wyznaczać dość prawdopodobne przewidywania, można szkicować krótkoterminowe prognozy, które się — nieomal — sprawdzają. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że jest to jedyna możliwa, czy racjonalna teoria i jedyny rozsądny model.

Odmienną teorię w tym zakresie rozwija ostatnio Erich Kahler, również jak Burnham Amerykanin, w książce o fantazyjnym nieco tytule: ,,The Tower and the Abyss''.

Założenia swych poglądów Kahler wyprowadza z analizy stosunków zachodzących między indywidualną jednostką ludzką a zbiorowością. Zasadniczą cechą indywidualności ludzkiej jest — mówi — jej niepodzielność, a więc całkowitość i jedność. Popiera on to rozumienie również etymologicznym wywodem terminu ,,indywiduum'', który został stworzony przez Cycerona, jako łaciński odpowiednik greckiego terminu ,,atomon'', przy tłumaczeniu koncepcji atomowej Demokryta. Tak więc ,,indywidualność'' i ,,atom'' to jest, w istocie, to samo pojęcie, którego najbliższym znaczeniem jest nasz (na wpół już zapomniany) neologizm ,,niedziałka''.

Ze społecznego punktu widzenia jednostka ludzka stanowi jedyną, bezpośrednio dostępną obserwacji realną istność. Grupy, czy zespoły społeczne, są po prostu zbiorami jednostek

i nie posiadają abstrakcyjnego, samoistnego bytu, który przypisywały im poglądy metafizyczne. Jednostkę ludzką można rozważać albo jako indywidualność, albo też jako to, co termin angielski nazywa *personality*, a co język polski rozszczepia na dwa terminy ,,osobistość'' i ,,osobowość'', podkreślając tym dwoistość znaczeniową słowa *personality*.

Zasadniczym znaczeniem słowa ,,persona'' była maska aktorska klasycznego teatru. Z tego wywiodły się dwa dzisiejsze znaczenia: z jednej strony cielesna, zewnętrzna postać i zachowanie się człowieka — ,,osobowość'', często właśnie maska; z drugiej zaś, jego najwewnętrzniejsza duchowa istota, która gdy jest rozwinięta i dojrzała, czyni z niego ,,osobistość'' — a stanowi istotną treść, sens i wyraz maski.

Osobowość — według określenia znakomitego psychologa Allporta — jest dynamiczną strukturą tych czynników psychofizycznych jednostki, które wyznaczają jej szczególne dostosowanie się do środowiska. W tym określeniu nacisk pada na wyraz ,,szczególne''. Inaczej mówiąc, osobowość podkreśla w jednostce to, co stanowi o jej wyłączności — jedyności. W tym właśnie znaczeniu poezja ,,Młodej Polski'' używała (i nadużywała aż do zapaskudzenia) terminu ,,jaźń''.

Indywidualna jednostka ludzka, choć całkowita i jedyna, nie jest samotna ani odosobniona. Staje się ona czymś więcej niż tylko jednostką przez uczestniczenie w grupach społecznych. Rodzaj grup, w których bierze udział, wpływa decydująco na jej los i osobowość.

Grupa jako całość zachowuje się inaczej niż jej poszczególni członkowie. Jednostka także może, w tej samej sytuacji, zachować się zupełnie inaczej, gdy reaguje jako indywidualna osoba, a inaczej — gdy jako członek grupy. Grupy ludzkie Kahler dzieli na dwa zasadnicze rodzaje: społeczności i zespoły, czyli kolektywy. Społecznościami nazywa takie grupy jak ród, szczep, naród itd., które zasadniczo — zarówno genetycznie jak historycznie — poprzedzają swych członków. Nie tylko w tym znaczeniu że jednostki rodzą się i wrastają, lub zostają przyswojone, do danej grupy, ale również, że grupa — społeczność — jest tworem przed-jednostkowym. Istnieć musiała ona przed powstaniem osobowości. Indywidualność-osobowość jest, przynajmniej w pewnym zakresie, wytworem grupy. Są to zatem archaiczne istności społeczne, które kształtują tradycje, stanowiące grunt — powoli, stale zmieniający się grunt — w którym jednostka jest zakorzeniona. Kierują one zachowaniem się jednostek: ich gestami, gustami, obyczajami, stylem życia, językiem, ideałami nastawień i dążeń — w sposób mniej lub więcej niedostrzegalny, jakby organiczny. A w każdym razie działają na jednostkę od wewnątrz podświadomości. W ten sposób te wpływy są wcielone w samą indywidualność jednostki.

Wpływ takich grup jest potężny, ale nawet wtedy gdy swym ciężarem przygniata jednostkę — nie rozszczepia indywidualności. Jednostka może intelektualnie wznosić się ponad ograniczające wpływy — racjonalizować je, czy sublimować — osiągając to, co Kahler nazywa pełną osobowością, nie mając potrzeby wyzbywać się związku z grupą. Te archaiczne wpływy mogą być przez rozmaite grupy nadużywane. Emocje nacjonalistyczne, religijne, czy ,,rasowe'' mogą być podniecane do stanu szału i zbiorowej histerii. Stają się wtedy groźne, mogąc zatopić to, co jest indywidualnością w osobowości — zamącić jasność rozumowania jednostki. Takie zamroczenie jest jednak przejściowe i odwracalne, bowiem struktura osobowości nie uległa rozbiciu. Sytuacja poprawia się natychmiast, gdy fala emocji spłynie.

Zespołami czyli kolektywami Kahler nazywa takie grupy jak partie polityczne, stowarzyszenia gospodarcze, organizacje zawodowe lub techniczne, spółdzielnie, związki itp. Powstają one przez zrzeszanie się ukształtowanych już indywidualnych jednostek dla jakichś określonych zadań.

Zespoły tworzone są więc dla wspólnych celów, gdy społeczności istnieją ze wspólnych pochodzeń. Zespoły funkcjonują zasadniczo jako grupy, a ich wpływ na jednostkę jest zewnętrzny. Gdy społeczności działają jako grupy, to działanie takie jest wtórne, pochodne. Na przykład naród działa na jednostkę w zasadzie nie jako grupa, ale jako system wspólnych poczuć, nastawień i zwyczajów. Gdy zaczyna działać jako grupa, to staje się państwem.

Odwrotnie z zespołem, kolektywem. Jego stereotypy i standarty działają na jednostkę od zewnątrz, poprzez świadomość, w sposób racjonalny, czy pseudo-racjonalny. Takie wpływy, będąc nieorganiczne a więc wobec osobowości zewnętrzne, jeżeli są dość potężne aby w nią przenikać — mogą wywołać jej rozbicie, mogą zniszczyć strukturę indywidualności.

Wpływy kolektywu wnikają w osobowość jednostki jako abstrakcje współczesnego życia, przejmowane przez świadomość. Ze świadomości abstrakcje te, choćby mgliste, stopniowo przenikają w podświadomość, tworząc tę jej warstwę, którą autor nazywa ,,podświadomością kolektywną''. Składają się na nią ślady stereotypów zbiorowości, sloganów, schematów koncepcyjnych, sugerowanych nastawień.

Kahler zaznacza, że poszczególne warstwy podświadomości, a więc genetyczna, indywidualna i kolektywna, nie występują jako ściśle rozgraniczone zakresy. Pomiędzy tymi warstwami trwa stały przepływ elementów, tak samo jak istnieje ciągły ruch elementów między świadomością i podświadomością. Podobnie, różnice między społecznością a kolektywem, w historycznej rzeczywistości, nie występują tak jaskrawo jak w analizie teoretycznej. Grupy archaiczne, utrwalając się i rozrastając, mogą częściowo przekształcać się w kolektywy. Gdy na-

ród rozwija się w państwo, albo religia w kościół, to ze społeczności kiełkuje kolektyw. Odwrotnie, kolektywy mogą niekiedy wytwarzać takie czynniki, jak szczególne tradycje, czy nastawienia kulturalne, które są cechami społeczności.

Na podstawie tych założeń Kahler rozwija swą teorię przemian społecznych. Widzi ich treść w przesuwaniu się środka ciężkości między społecznością a kolektywem. Pierwotnie kolektywy — zespoły gospodarcze, zawodowe, społeczne — rozwijały się jako pochodne archaicznej grupy społecznej. Były wciąż związane z nią w sposób istotny i uzależnione od archetypów kulturalnych. Stopniowo jednak kolektywy odrywają się od podłoża kulturalnego, organizując się autonomicznie na podstawach czysto formalnych — gospodarczych lub technicznych.

Dla jednostki ludzkiej wynikiem tego jest rozszczepianie się osobowości, rozkład jaźni, a stąd pogłębiający się rozdział indywidualności od jej świata. Proces ten głęboko narusza równowagę psychiczną współczesnych pokoleń. Jedynie pełne uświadomienie sobie tych procesów może stworzyć warunki dla powstania nowych postaci równowagi.

Oryginalną i interesującą stroną pracy Kahlera jest próba wykazania tych właśnie czynników rozszczepiających osobowość, ujawnienia ich w procesach historycznych, przez wyanalizowanie ich z dzieł twórczości artystycznej.

Omawiając czynniki rozkładu osobowości działające ,,od zewnątrz'', autor stwierdza że nauka, technika, przemysł, demokracja, stanowiąc jedynie odrębne aspekty tego samego procesu, wiodącego do postępu wiedzy racjonalistycznej i empirycznej, są osiągnięciami szacownymi i wielkimi, ale nie pozbawione są pewnych pierwiastków negatywnych. W tym mianowicie, że wprowadzają i podtrzymują rozwój kolektywizmu.

Racjonalizm prowadzi do racjonalizacji, tak w nauce, jak w ekonomii, a racjonalizacja oznacza, między innymi, klasyfikację i kwantyzację. A zatem rozkład bytów i zjawisk jednostkowych, indywidualnych, na cechy i czynności abstrakcyjne, które są im wspólne i którymi można operować kwantytatywnie. Przy pomocy sposobów teoretycznych (pojęcia) i technicznych (narzędzia, metody itd.) świat psychiczny i fizyczny poddawany jest badaniom głównie dla opanowania i wykorzystania natury. Równocześnie jednak metody te wiodą do kolektywizacji i dezindywidualizacji jednostki ludzkiej, wywołując atrofię intuicji, hamując działalność osobistego rozsądku i niszcząc indywidualne poczucie smaku.

Reakcja łańcuchowa, wszczynana przez kolektywizującą racjonalizację, wynikłą z unaukowienia techniki i przemysłu, przebiega przez fazy, które autor nazywa kolejno: specjalizacja, funkcjonalizacja, standaryzacja i anonimizacja.

W stosunku do jednostki ludzkiej, specjalizacja dotyczy jej nie jako całkowitej, organicznej całości, indywidualnie jedynej, lecz wyodrębnia z niej jakąś szczególną funkcję techniczną, jakąś kwalifikację, wyabstrahowaną jako cecha wspólna z wieloma innymi istotami ludzkimi. Abstrakcje takie mogą przybierać charakter quasi-istot: specjalista naukowy czy techniczny może być uważany po prostu za uosobienie funkcji. Specjalizacja podkreśla i wyolbrzymia funkcjonalną wartość jednostki, skazując na atrofię inne i zasadnicze wartości ludzkie, jakoby nieistotne w zadaniach jednostki. Kolektywny, funkcjonalny pierwiastek osobowości rozrasta się z ujmą dla indywidualnych cech ludzkich.

W cywilizacji miejsko-przemysłowej dzień życia człowieka wypełnia jego funcjonalnie ograniczona działalność, z wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami ograniczonych zainteresowań i nastawień. Trudno spodziewać się aby po takim dniu człowiek łatwo z powrotem przybrał pełną osobowość ludzką. Dla wytchnienia i rozrywki otwiera on radio czy telewizję, idzie do kina lub na zawody ,,sportowe'' itp. — a więc sięga po zdehumanizowane stereotypy. Całe życie społeczne przesiąka tym upiornym, przerażającym zjawiskiem standaryzacji. Nawet bohema artystyczna nie jest już ucieczką od standartu — jej ekscentryczność straciła oryginalność, rozwinęła się w formy kanoniczne.

Standaryzacja w postaci konformizmu popierana jest przez instytucje i akcje wychowawcze, tak uczelniane jak społeczne. Jednym z powszechnych nieporozumień na temat demokracji jest koncepcja, że wobec istnienia równości, każdą jednostkę uważa się za pozycję wymienną. Tak pojmowana równość, zamiast być warunkiem umożliwiającym rozwój szczególnych cech każdej jednostki, staje się zagładą indywidualności.

Konformizm prowadzi w konsekwencji do anonimowości, nie będąc zresztą wyłącznym jej źródłem. Innym jest biurokratyzacja. W administracjach rządowych i wszelkich innych decyzje nie są już podejmowane przez jednostki, lecz są wynikiem rozważań zbiorowych. Stają się w ten sposób anonimowe.

Czynnikiem który pogłębia te cechy jest komercjalizacja — zasada podaży i popytu, panująca nie tylko na polu gospodarczym, ale również kulturalnym i politycznym. Każdy czuje że jego wartość społeczna nie zależy wprost od jego właściwości ludzkich, indywidualnych, lecz od powodzenia w konkurencji rynkowej, gdzie decydują warunki zmienne i kapryśne. Jeżeli jednak za kryterium wartości człowieka mają służyć okoliczności rynku, to jego poczucie tożsamości zostaje zachwiane. Staje się ono sumą ról, jakie potrafi grać. Człowiek nie przedstawia już sam siebie, lecz tylko te fragmenty swej osobowości, które mają wartość rynkową. Taka zaś osobowość musi być, przede wszystkim, pozbawiona rzeczywistej indywidualności.

Odrębną grupę stanowią te czynniki rozbicia osobowości, które wynikają ze schematów organizacji społecznej, krystalizujących się w ustroje totalitarne i metody terrorystyczne. W tym zakresie książka Kahlera nie przynosi materiału nowego, czy oświetlonego oryginalniej. Zestawia on i formułuje zwięźle to, co znajdujemy w wielu pracach omawiających totalizm, terror czy dyktatury.

Czynniki rozbijające osobowość działaniem od wewnątrz autor znajduje w świadomości ludzkiej, poddanej wpływom różnych form współczesnej rzeczywistości. Terror hitlerowski starał się w obozach koncentracyjnych niszczyć osobowość swych ofiar. Wśród milionów tych ofiar znalazł się pewien procent ludzi, którym powiodło się wytworzyć w sobie psychiczny mechanizm obrony przeciw utracie osobowości. Mechanizm taki powstaje przez szczególne, dobrowolne rozszczepienie świadomości. Odłączając od powszedniej świadomości jak gdyby autonomiczne super-ego, jednostka uporczywie identyfikuje się z tym super-ego w najtrudniejszych nawet warunkach, czyniąc zeń punkt widzenia rzeczywistości i podstawę skutecznego oporu przeciw zmorze nierealności. W jakimś oddalonym, wzniosłym zakątku swego umysłu stara się jednostka pozostać sobą, opierając się przez to degradacji do roli przedmiotu. Jest to ,,kurczowe trzymanie się myśli-obsesji pozostania istotą odrębną, właściwą'', jak pisze w swych wspomnieniach Monique Nosley, jedna z więźniarek obozu w Ravensbrueck.

Taka twierdza wartości, zdolna służyć za schron dla osobowości, nie istnieje już dziś dla ogółu ludzi, poza grupą żarliwych katolików, gorliwych komunistów i tych nielicznych indywidualistów, którym udało się w samotnych jaźniach zbudować niezależne kryteria ludzkie i stosować się do nich w imię godności człowieka.

Koncepcję podobnej, oderwanej, ,,drugiej'' świadomości, już nie w ramach obozów terrorystycznych, lecz w powszechnej realności społecznej, Kahler widzi u egzystencjalistów. Jako przykłady przytacza obszerne fragmenty z ,,Nausée'' Sartre'a i z ,,Le mythe de Sisyphe'' Camusa. Takiej szczególnej, ,,zimnej'' świadomości domaga się też Ernst Juenger (w ,,Ueber den Schmerz''). W istocie jednak to zwycięstwo jest drogo okupione. Taka bowiem świadomość stanowi wewnątrz osobowości pozycję bezosobową, zdepersonalizowaną i zobiektywizowaną. Poczucie wartości, to znaczy wewnętrzne wskazania, przy pomocy których społeczność kieruje postępowaniem indywidualnych istot ludzkich, zostaje zastąpione przez standarty — a więc normy zachowania się wobec wyabstrahowanych faktów. W ten sposób stosunek człowieka do człowieka zostaje stopniowo zastąpiony przez stosunek obiektywnego kryterium do przedmiotu.

Nawet siebie samego człowiek zaczyna odczuwać poprzez nieosobiste kryteria. Zamiast stosować osobisty sąd, wywo-

dzący się z własnych przeżyć, własnej mądrości i własnego poczucia wartości, zamiast dążyć do rozwiązywania swych problemów na swą własną, jedyną modłę i przez to zdobyć jakieś usprawiedliwienie swych cierpień — będzie on analizować siebie samego przy pomocy obiektywnych kategorii, psychologicznych i socjologicznych, wmanewrowując siebie w sytuację przypadku klinicznego. Wydaje mu się, że znajduje ochronę w takim oddalaniu się od siebie samego i znieczulaniu.

Na postępowanie człowieka i jego uczucia taka postawa wpływa dwojako: z jednej strony wytwarza szczególną niewrażliwość, obojętność, a nawet szorstkość, z drugiej zaś wywołuje nową wrażliwość — naskórkową, neurotyczną, pozwalającą dostrzegać szczegóły i niuanse, docierać do warstw rzeczywistości, ukrytych przed postawą subiektywną. Taką właśnie nową niewrażliwość połączoną z nieangażującym przewrażliwieniem autor uważa za czynnik, który warunkuje istnienie nowoczesnego okrucieństwa.

Erich Fromm w książce ,,Fear of Freedom'' (Lęk wolności) opowiada jak speaker radiowy tym samym sugestywnym tonem, autorytatywnym i pełnym godności, którym przed chwilą starał się wyrazić powagę sytuacji politycznej, lub oznajmiał o katastrofie i śmierci setek ludzi — bezwstydnie wychwala zalety jakiegoś produktu, jak mydło itp., którego wytwórca opłaca koszt audycji. Tygodnik ,,Life'', z poczuciem dumy zawodowej i z techniczną doskonałością pokazuje najokropniejsze szczegóły scen makabrycznych, katastrof itd. w bezpośrednim sąsiedztwie reklam artykułów zbytku i przedmiotów luksusowych. Przy końcu pierwszej ćwierci tego stulecia istniało w Niemczech czasopismo ,,Querschnitt'', które w bardziej wyrafinowany sposób stosowało podobne zgrzyty jaskrawych kontrastów.

Zjawisko rozwijania się tej oderwanej, ,,zimnej'' świadomości odzwierciadliło się w sztuce już po pierwszej wojnie światowej. W Niemczech pojawił się wtedy kierunek artystyczny, operujący wyolbrzymianiem obiektywizmu. Kahler nazywa go (za krytykiem Franzem Roh) ,,magicznym realizmem''. W obrazach takich malarzy jak Otto Dix, Davringhausen, Carr, Chirico i in. podkreśla on cechę jakby zwielokrotnionej dokładności, wyolbrzymionej ścisłości szczegółów — ,,polerowaną nagość''. Oddźwięki tego ruchu widzi w twórczości surrealistów.

Odpowiednik tego stylu w literaturze znajduje on u Brechta i Kafki, a dalszy rozwój tych tendencji, w postaci symboliki przedmiotów pospolitych — ,,symbolizmu zewnętrzności'' — przypisuje stylowi Hemingway'a. Kulminacja tych tendencji objawia się, według Kahlera, w niekontrolowanym natłoku wydarzeń i wrażeń, charakteryzującym dlań nowoczesną poezję. Za prekursorów tej poezji autor przedstawia Baudelaire'a (głównie w ,,Correspondences''), E.M. Hopkinsa i Walt Whit-

mana, uzasadniając swą opinię analizą obszernych fragmentów ich twórczości. Z nich wywodzi, stylistycznie i technicznie, współczesną poezję, ilustrując wywód licznymi, komentowanymi przykładami twórczości szeregu poetów, których utwory uznaje za najbardziej reprezentatywne dzieła nowoczesnej poezji. (Ezra Pound, T.S. Eliot, Dylan Thomas, Marianna Moore, Georg Heym, Georg Trakl, Gotfryd Benn, Paul Eluard, Pierre Reverdy, René Char, Jorge Guillen).

Proces rozkładu osobowości działający od wewnątrz sprowadza Kahler do działania trzech czynników: a) poczucia głębokiego duchowego niepokoju („malaise"), b) rozwoju introspekcji psychicznej, oraz c) autonomicznego rozkwitu technik artystycznych.

Pierwszy z tych czynników zaczął się już ujawniać w XVIII stuleciu, w środowisku arystokracji francuskiej, przesyconej cywilizacją. Odzwierciadla to dzieło „Les liaisons dangereuses" Chaderlas'a de Laclos. Z tych nastrojów autor wywodzi romantyzm francuski, który zapoczątkował Jean Jacques Rousseau w „Nouvelle Heloise" i „Confessions". Trzonem tego romantyzmu jest zgorzkniałe proklamowanie praw namiętności i uczuć w przeciwstawieniu do supremacji rozumu. Stąd wzywanie do odrzucenia zepsutej cywilizacji i powrotu do czystości i szczerości natury.

Wpływ Rousseau, kojarząc się z pierwiastkami angielskiego realizmu i sentymentalizmu, zapładnia romantyzm europejski, któremu „Werter" Goethego toruje drogę, a rozpędu nadają wystąpienia takich pisarzy jak Chateaubriand, Benjamin Constant, V. Hugo, George Sand, A. Musset i A. de Vigny.

Od końca XIX stulecia zarysowuje się kryzys w zakresie kontaktu artysty ze społecznością. Rozdźwięk pogłębia się w miarę jak społeczność coraz bardziej się kolektywizuje, a równocześnie artysta — intelektualista — przez rosnącą izolację staje się coraz bardziej indywidualistyczny i nadwrażliwy. Tak powstało błędne koło. Dziś już różnica między artystą i jego publicznością nie polega po prostu na odległości „liniowej" — odstępie na skali sublimowania wspólnych ludzkich doznań i wyrażań, jak to było za czasów Szekspira. Dziś jest to już różnica rodzaju: artysta i społeczność nie mówią tym samym językiem i o tych samych rzeczach. Dla przekroczenia tej przepaści, ze strony słuchacza konieczny jest rzetelny wysiłek, poparty kształceniem i interpretacją.

Drugi z czynników rozkładu — introspekcja psychiczna — przechodził różne fazy. Początkowo introspekcja sięgała do podświadomości osobistej, analizując jedność i zwartość duszy na poszczególne warstwy, oraz wydobywając z niej zawęźlenia kompleksów z popędami i pamięcią asocjacyjną. Stan ten odzwierciadla technika „potoku świadomości", pojawiająca się w literaturze od powieści „Les lauriers sont coupés" (1887)

Edouard'a Dujardin. (Nazwa tej techniki powstaje później, w związku z psychologicznymi teoriami Williama James'a). Dalsze przykłady rozwoju tej techniki autor wskazuje w twórczości pisarzy: A. Schnitzler („Leutnant Gustl", 1900) i Dorothy Richardson.

Druga z technik opowiadania inspirowana przez introspekcję psychiczną posługuje się wolnymi asocjacjami, jak w zakończeniu powieści „Ulysses" Joyce'a. Trzeci wreszcie rodzaj techniki — wewnętrzny monolog — ilustruje Kahler przykładami pisarzy: Richard Beer-Hofmann („Der Tod Georgs", 1900), Virginia Woolf („Mrs. Dalloway"), Faulkner (zakończenie „Wild Palms").

Jednym ze skutków tych technik było przełamanie granic świadomości, oraz zburzenie podstaw czasu. Czas doznań wewnętrznych rozwija się niezależnie od czasu chronologicznego i jest z nim niewspółmierny. W dalszej fazie rozwoju introspekcja psychiczna sięga do podświadomości genetycznej, do dziedziny archetypów. Tu, jako klasyczne przykłady literackie autor wskazuje Joyce'a „Finnegan's Wake" i Tomasza Mann'a tetralogię Józefa.

W ostatniej wreszcie fazie introspekcja sięga jeszcze dalej, aż do niezmierzalnych otchłani samego bytu, co autor nazywa doznaniem egzystencjonalnym, zastrzegając że i termin ten i samo zjawisko nie mają żadnego związku z filozofią egzystencjalizmu. Doznanie egzystencjonalne stanowi jakby akumulację i kulminację wszystkich intelektualnych i moralnych kryzysów poprzednich pokoleń. Za wybitny jego przykład w literaturze autor uważa Hoffmannstahl'a „Ein Brief" — imaginacyjny list Lorda Chandos do Francis Bacona, oraz tegoż samego pisarza „Briefe eines Zurueckgekehrten".

W poczuciu „obrzydzenia i nudności" doznania egzystencjonalnego wszystkie jakości, działania i ruchy przestają być częściami struktury i substancji organicznej. Zostają one wyizolowane i ustalają się jako odrębne egzystencje. Czas się rozpada — nie ma ciągłości, przeszłości czy przyszłości — jest tylko teraz. Doznanie to jest stanem psychicznym, który należałoby nazwać schizostezją.

Wartości, które były kiedyś tworzone i pielęgnowane przez religię i tradycję, dziś podlegają powszechnej dewaluacji. Symptomem tej dewaluacji jest brak określonego stylu życia. Dopóki ludzie mogli porozumiewać się na podstawie wspólnego języka wartości, poczucia wewnętrznej wspólnoty i odpowiedzialności i za społeczność i wobec niej — dopóty istniała ludzka odpowiedzialność, nawet wtedy gdy ktoś przeciw niej grzeszył.

Natomiast dziś, równocześnie z narastaniem dominacji kolektywów funkcjonalnych, rozwinął się rodzaj funkcjonalnej odpowiedzialności. Ludzka odpowiedzialność i funkcjonalna odpowiedzialność nie są identyczne — mogą powstawać konflikty lojalności.

Nacisk kolektywów rozprasza wewnętrzne ludzkie doznawanie społeczności. Stanowiąc czysto mechaniczną zasadę grupowania, kolektywy nie są zdolne nadać ludzkiemu życiu znaczenia, umożliwić człowiekowi rzeczywistą kontrolę nad jego wewnętrznym światem, który przerósł swe dawne granice.

Obecny stan rozkładu i anarchii wynikł i rozwinął się na podłożu naszego stanu wiedzy. Stanu, za którego najbardziej zasadniczą cechę można by uważać schizoidalną atomizację.

Zadaniem aktualnym byłoby zatem osiągnięcie nowej społeczności ludzkiej na drodze przetworzenia w rzeczywistość potencjalnych możliwości społeczności obecnej. Wysiłek musi się zacząć od próby metodycznych starań wytworzenia syntezy naszego stanu umysłowego.

W konkluzji Kahler proklamuje projekt stworzenia ,,Instytutu Integracji Badań'' i szkicuje jego zadania w trzech punktach: 1) wyjaśnienie i koordynacja podstawowych koncepcji teoretycznych, jak czas, przestrzeń, przyczynowość, materia, byt, osobowość itd., 2) zbadanie zbieżności występujących w wynikach różnych dyscyplin naukowych, oraz ocena tych wyników z punktu widzenia implikacji, jakie wnioski jednej dyscypliny przedstawiają dla innych, oraz 3) próby wyprowadzenia najszerszych uogólnień — tego co N.A. Murray nazywa ,,hipotezą strategiczną''.

W zakresie polityczno-społecznym autor zaleca czynne przeciwstawianie idei społeczności ideom kolektywów i jako przykład takiej akcji wymienia ruch społeczny zainicjowany przez Marcela Barbu.

Obszerne streszczenie wywodów Kahlera wydaje się usprawiedliwione znacznym rozgłosem jaki książka jego zyskała po obu stronach Atlantyku. Wpływ koncepcji Kahlera wynika zresztą zapewne nie tyle z jego sformułowań teoretycznych, czy efektownych analiz literackich ile z nadania postaci rozumowań wielu z tych nastawień i nastrojów, które niejako ,,wiszą w powietrzu''. Które są podłożem zarówno angielskiego ruchu ,,Urażonych Młodych'' (*Angry Young Men*), jak amerykańskich ,,Wyrzutków'' (*Beatniks*). Które wywołują liczne, a często podobne wypowiedzi, obserwacje i opinie — od Aldousa Huxley'a, C.W. Mills'a (,,Elita Władzy'') i innych, aż po znaczną grupę autorów piszących na temat ,,kultury mas''. Jest to zatem wynik pewnych, ogólniejszych prądów myślowych, rozwijających się głównie na gruncie Ameryki Północnej, ale promieniujących na całą sferę wpływów amerykańskich w świecie.

Od czasów koncepcji ,,rewolucji manadżerskiej'', a może i częściowo pod wpływem krytycznych dyskusji na jej temat, dostrzegać się dają pewne zmiany w podejściu do zagadnień społecznych. Przede wszystkim zmieniać się zdaje stosunek do teoretycznych założeń klasowego podziału społeczności. Na innym miejscu wspominałem o wątpliwej naukowej użyteczno-

ści teorii uwarstwienia klasowego. Podział ten tylko z grubym przybliżeniem odpowiada rzeczywistości, a coraz bardziej oddala się od niej w miarę jak społeczności rozrastają się liczebnie i różniczkują funkcjonalnie. Jakkolwiek byśmy klasę społeczną definiowali, to w nowoczesnej społeczności warstwy pograniczne, ,,przejściowe'', stają się tak obszerne, że czynią zawartość i granice klas iluzorycznymi.

Nie można też, w istocie, przytoczyć żadnych faktycznych danych na poparcie hipotezy, że w jakimkolwiek okresie historycznym i w jakichkolwiek społecznościach, grupy rządzące wyłaniały się, czy organizowały, rzeczywiście na zasadach klasowych. Przeciwnie, znajdziemy dość danych, sprzecznych z tak uogólnianym poglądem. Wszędzie elity rządzące wyłaniały się na podstawie sprawności intelektualnej i technicznej. Były to (i są) grupy, zdolne zapewnić społeczności żywotność i funkcjonowanie, optymalne w danych warunkach klimatyczno-geograficznych, politycznych, intelektualnych i psychologicznych środowiska. Klasa społeczna zaczyna dopiero narastać dokoła ugruntowanej już elity władzy.

Wreszcie sama zasada podziału klasowego, opartego na podstawach gospodarczych może nasuwać wątpliwości. Założenie, że podstawa gospodarcza ma znaczenie wyjątkowe i nadrzędne — nie jest bynajmniej oczywista, ani udowodniona. Można by z równym powodzeniem przyjmować np. biologiczne, intelektualne, czy psychofizyczne podstawy podziałów klasowych i nie tylko uzasadniać je niemniej logicznie, ale również ilustrować przekonywującymi przykładami z rzeczywistości historycznej. Przyjmując gospodarczą podstawę, w rzeczywistości można mieć tylko podział dychotomiczny — tylko dwie klasy: posiadających i nie posiadających narzędzi wytwórczości. W taki sposób wyodrębnione klasy są jednak tak w swym składzie niejednorodne, że aby podział dostosować do potrzeb praktyki społeczno-politycznej, konieczne jest wprowadzenie dalszych, a zupełnie już arbitralnych (i mglistych) podziałów na ,,podklasy'' (np. ,,biurokratów'', ,,literatów'', ,,intelektualistów'', ,,kułaków'', ,,wojskowych'' itd.). W rezultacie cała konstrukcja staje się ad hoc szufladkowaniem, nie mającym teoretycznych wartości — poza zakresem metafizycznych dogmatyzmów.

Kahler, nie stosując podziału klasowego do członków społeczności, próbuje wprowadzić ,,klasowy'' podział zbiorowości. Jedną klasę nazywa społecznościami, drugą — kolektywami. Potrzebne mu to jest na to aby, podkreślając różnice w charakterze wpływów, jakie te zbiorowości wywierają na jednostki, ,,odkryć'' przyczyny psychicznych rozszczepień nowoczesnego człowieka — jego tendencji ,,schzoidalnych''. W rzeczywistości jednak, mimo usiłowań ścisłego definiowania, podział ten jest również arbitralny i mglisty. Spostrzega to zresztą sam autor

i stara się uprzedzić krytykę stwierdzeniem, że w praktyce granice podziału są bardziej płynne niż w analizie teoretycznej. Płynne: ale niemniej realne. Społeczności łączą ludzi wspólnym pochodzeniem — kolektywy wspólnym zadaniem, mówi autor. W takim jednak razie ,,prawdziwych'' społeczności nie ma dziś wcale, przynajmniej w świecie białej rasy. Czyż istnieje tu bowiem jakikolwiek naród, którego członkowie mieliby wspólne pochodzenie? A już u Amerykanina podobna koncepcja staje się poprostu groteskowa. Różnica między społecznościami i kolektywami sprowadzałaby się w istocie tylko do wieku. Iluż zatem lat, czy pokoleń trzeba, aby kolektyw stał się społecznością? I dlaczego? A poza tym, różnice we wpływach na jednostkę byłyby albo iluzoryczne, albo wynikały z innych przyczyn niż struktura, czy pochodzenie grupy.

Sama idea takich podziałów — ludzi czy zbiorowości — jest raczej fałszywym uogólnieniem. Dyferencjujące różnice w pewnych skrajnych wypadkach są niewątpliwe, ale w innych są tak niejasne (jeżeli w ogóle są) że trzeba je sobie wyimaginować jak z plam Rorschacha. Logicznie biorąc wydawałoby się jasne, że nie są to kategorie lecz polarności. Nie odrębne szufladki, lecz bieguny tej samej skali. Skupianie uwagi na cechach krańców krzywej nie ułatwia, lecz utrudnia wyznaczenie funkcji, znalezienie zmiennych i współczynników.

Jeżeli podkreśla się czerwonym ołówkiem tylko wyabstrahowane identyczności, lub wytłuszcza czarnym drukiem tylko równie wyabstrahowane różnice, to jedynie takie, które odpowiadają koncepcjom teoretycznym, wysnutym z góry, z podstaw metafizycznych. Stąd pokusa, aby oporną, nie pasującą rzeczywistość naginać siłą do koncepcji: u teoretyków — przy pomocy interpretacji i jednostronnych naświetleń, u praktyków — przy pomocy metod policyjnego przymusu i terroru. Huxley, we wspomnianej wyżej książce, daje użyteczny przegląd arsenału środków, jakie nowoczesna technika przygotowała w tym zakresie dla użytku ewentualnych dyktatorów.

Zagadnieniem dalekim jeszcze od rozstrzygnięcia jest, czy pogląd teoretyczny jest wynikiem uogólnienia pewnego zakresu obserwacji i łączy je w system logicznych powiązań, czy też, odwrotnie, jest koncepcją intuicyjną, kierującą ognisko uwagi w określoną stronę i umożliwiającą dokonywanie takich właśnie, a nie innych obserwacji. Inaczej mówiąc, czy tracimy zaufanie do teorii, gdy spostrzegamy nowe fakty, do tej teorii nie pasujące, czy też musimy najpierw zwątpić w słuszność teorii, aby takie nowe fakty w ogóle dostrzegać, lub nawet ich poszukiwać?

Tradycyjna koncepcja klasowego podziału ludzi na podstawach gospodarczych należy do takich, przekwitających już poglądów teoretycznych. W zakresie funkcji gospodarczej,

różnice między jednostkami, choć całkowicie realne, wcale nie są absolutne. Są to tylko różnice skali. Każdy włada *jakimś* kapitałem — to znaczy narzędziem wytwórczości, choć w jednym wypadku może to być kompleks zakładów fabrycznych, a w inym skromny garnek do gotowania, czy łopata do kopania. Podobnie, w społeczności, *każdy* korzysta z pracy innych ludzi. Różnice są bardzo istotne, ale podstawą podziału klasowego są najzupełniej arbitralnie oznaczone granice na skali różnic. Logicznie biorąc podstawą klasyfikacji teoretycznie użytecznej winny być różnice absolutne. Takie między jednostkami istnieją i do nich należą na przykład cechy biologicznych polimorfizmów. Są to różnice nie tylko nieprzekraczalne, ale ponadto dziedziczone według ścisłego schematu mendlowskiego. Istnieje także różnica płci, obejmująca zakres tak szeroki, że można ją laboratoryjnie rozpoznać z drobnego skrawka tkanki kostnej, łącznej, nerwowej itd. Kobieta i mężczyzna są zatem istotami zasadniczo odrębnymi, nie tylko w zakresie fizycznym, ale również psycho-fizycznym. Czy jednak rozwarstwienie społeczności na takie ,,klasy'' biologiczne mogłoby być podstawą do stworzenia teorii społecznej, odpowiadającej potrzebom naukowym? A przede wszystkim odpowiadającej rzeczywistej strukturze społeczności? Odpowiedź bynajmniej nie jest oczywista.

W każdym razie społeczność, jak to i Kahler zaznacza, jest ,,archetypem'', a więc tworem czterowymiarowym, istniejącym w kontinuum przestrzenno-czasowym. Obraz tej społeczności naszkicowany w jakimkolwiek okresie historycznym jest tylko abstrakcyjnym, trójwymiarowym przekrojem tego bytu. Nawet obraz pogłębiony na okres jednego pokolenia jednostek może być wycinkiem niedostatecznym do ujawnienia zasad strukturalnych. Jeżeli jednak tak, to naturalnym elementem jednostkowym takiej struktury musi być twór o porównywalnej z nią trwałości. Takim tworem jest może ród. Byłby on zatem ,,jednostką'', a nie grupą społeczną, jak chce Kahler. Na taką możliwość zdają się wskazywać pewne zjawiska, które w innym ujęciu sprawy muszą wydawać się absurdalne. Na przykład, społeczna konieczność uzyskiwania formalnej akceptacji związku seksualnego między indywiudalnymi jednostkami. Gdyby elementem społeczności była po prostu jednostka ludzka, to jakiż społeczny sens miałaby taka czy inna forma rejestracji małżeństwa — istniejąca wszędzie i zawsze, jeżeli nie w postaci aktu legalnego, to jak w społecznościach prymitywnych, rytualnego? Warunek taki staje się jednak zrozumiały i logiczny, jeżeli związek seksualny uważany jest za potencjalny zawiązek rodu. Nawiasem mówiąc tłumaczy to też zasadniczą awersję — kulturalną przecież a nie ,,instynktowną'' — jaką społeczności ujawniają wobec ,,związków'' homoseksualnych. Dalej, podobnym zjawiskiem jest różnica w ustosunkowaniu się — jeżeli nawet nie prawnym to społeczno-obyczajowym — do dziecka ,,naturalnego'' w odróżnieniu od ,,prawego'' (Podkre-

ślić trzeba, że w tym kontekście ,,prawy'' znaczy nie ,,prawny'', lecz ,,prawdziwy''). Jeżeli ktoś chciałby twierdzić że w społecznościach nowoczesnych, cywilizowanych, różnica taka należy do tępionych anachronizmów, to zapewne nie zadał sobie trudu, aby stwierdzić jak wyglądają np. nowoczesne prawa spadkowe, jak się przedstawiają przepisy emerytalne, ubezpieczeniowe itd. Istniejące różnice stosunku do dzieci ,,naturalnych'' wskazują jawnie, że choć jednostka taka może być uważana za pełnoprawną indywidualność — nie jest ona uznawana za kontynuację, czy uczestnika ,,rodu'', do którego należy jego ojciec, a który jest faktycznym elementem społeczności.

Podobnych przykładów można by wskazać więcej i niezależnie od tego, czy takie zjawiska uważamy za słuszny i potrzebny przejaw tradycji oraz racjonalizujemy je ,,logicznie'', czy też traktujemy za barbarzyńskie przeżytki i zwalczamy — stanowią one czynnik rzeczywistości społecznej i w jakiś sposób sposób wynikają z jej zasad strukturalnych. Teoria struktury społeczności nie może być zadowalającą jeżeli nie obejmuje takich zjawisk.

Przejawy ,,schizofrenii'' intelektualnej, które Kahler przedstawia z dużą umiejętnością przekonywania, istnieją na pewno, choć można mieć wątpliwości czy zjawiska te rzeczywiście układają się w pewien system i kierunek, czy też przeciwnie, pozostają ,,randomistyczne''. Można by bardziej niż podejrzewać, że ich ,,systematyczność'' jest wynikiem selekcji, wyboru, jaki Kahler czyni, kierowny swą teorią przyczyn tych zjawisk — teorią antagonistyczności wpływów jakie na jednostkę wywierają społeczności z jednej, a kolektywy z drugiej strony. Taka klasyfikacja jest raczej dowolnym, metafizycznym założeniem — nie zaś wynikiem empirycznych obserwacji. Niewątpliwie, istnieją społeczne przyczyny zjawisk ,,schizostezji'' intelektualnej, ale metoda Kahlera do nich nie dotarła i nie ujawniła ich.

Kahler dość przekonywująco pokazuje przykłady i objawy tendencji analitycznych, rozkładowych, w ludzkim rozumowaniu, myśleniu i odczuwaniu. Jest to bodaj zasadnicza, podstawowa cecha osobowości człowieka, zarówno na poziomie świadomości, jak i poza nią. Błędem jest jednak porównywanie tej cechy do pierwiastków ,,schizostenii''. Dysekcja intelektualna, analityczność świadomości (i podświadomości) człowieka różni się zasadniczo od dysekcji schizofrenicznej. Kiedy pierwsza prowadzi do rozszczepiania pojęć na cechy, powstawania z nich symboli i operowania nimi jak abstraktami, to druga rozbija pojęcia na fragmenty i operuje nimi jak konkretami. Pierwsza jest czynnikiem ewolucji intelektualnej i psychicznej, druga jest ślepym zaułkiem ,,specjalizacji'' nie wiodącym do nikąd. Nierozróżnianie tych dwóch rozbieżnych zjawisk jest poważnym błędem.

Konkluzje pracy Kahlera stanowią duży zawód. Po wyrafinowanych koncepcjach artystycznych i wnikliwych analizach literackich, są one po prostu żenująco naiwne. Cały pomysł „Instytutu" jest oczywiście typowo amerykańskim schematem podchodzenia do zagadnień praktycznych. Zadania jakie autor stawia temu Instytutowi są od początku do końca klasycznymi i tradycyjnymi zadaniami filozofii. Czy powołanie jakiegoś Instytutu o zakamuflowanej nazwie mogłoby filozofii pomóc w jej zadaniach? Wydaje się to mocno wątpliwe.

Wszystkie te zastrzeżenia krytyczne jakie należy podnieść, nie zmieniają faktu, że książka Kahlera napisana jest żywo, zręcznie i sugestywnie. Że staje się ona obecnie czymś w rodzaju „vade mecum" inteligentnych Amerykanów i wielu Europejczyków, nie tylko w zakresie poglądów polityczno-społecznych, ale może przede wszystkim kulturalno-artystycznych. Dlatego też na jej sformułowania i wnioski warto zwrócić baczniejszą uwagę.

Jerzy HORZELSKI

Ippolita

Jeden z ciekawszych włoskich felietonistów literackich zebrał niedawno parę świeżych wypowiedzi na temat „kryzysu powieści", poprzedzając je tym oto fragmentem z „Dehumanizacji sztuki" Ortegi y Gasseta (1925): „Przyjrzyjmy się samym sobie w chwili, gdy skończyliśmy dopiero co czytać wielką powieść. Czy nie wydaje nam się że wyszliśmy, ba — wynurzyliśmy się, z innego świata, w którym byliśmy dotąd zamknięci? Przed paroma minutami jeszcze znajdowaliśmy się w Parmie, w towarzystwie hrabiego Mosca, Sanseveriny, Clelii i Fabrycego, przeżywaliśmy ich życie pogrążeni w ich atmosferze, w ich epoce, w miejscu ich pobytu. Teraz, niespodzianie, zmuszeni jesteśmy ocknąć się w naszym pokoju, w naszym mieście, w naszych czasach, i znowu stają przed nami codzienne kłopoty. Powstaje pauza niezdecydowania i zawieszenia. Być może, nagła fala wspomnień pchnie nas z powrotem w obręb wszechświata stworzonego przez powieść; z którego, nie bez wysiłku i jakby walcząc przeciw płynnemu żywiołowi, będziemy się przedzierali ku brzegom naszej osobistej egzystencji".

A teraz glossatorzy kryzysu. Krytyk włoski Carlo Bo: „Czy istnieje jeszcze czytelnik powieści, czytelnik który potrafi ulec bez zastrzeżeń sensowi fabuły, gotów jest wmieszać się w dialog między postaciami i rzeczami — przede wszystkim widz, a do-

piero potem sędzia lub eksperymentator? Chyba nie, i nie dlatego tylko że w ciągu ostatnich dwudziestu lat pisarze wybrali drogę prowizorium, drogę prób i programów, ale dlatego także że nie sposób dziś rozszyfrować czytelników. Są masą i umarło w nich pragnienie historii. Pozostaje ustalić gdzie zaczął się kryzys, lub prościej należałoby zapytać kto się zmęczył pierwszy: pisarz, opowiadając historie narażone na zarzut konwencjonalności; czy czytelnik, biorąc za dobrą monetę historie zmyślone i w ostatecznej instancji nikomu niepotrzebne''.

Pisarz francuski Jean Duvignaud: ,,Przyczyna kryzysu tkwi w krytykach. W tych krytykach którzy wykształcili w sobie zamiłowanie do cięcia lancentem powieści na drobne kawałki, do badania ich czasu wewnętrznego i przestrzeni wewnętrznej, czyli aspektów uwarunkowanych przez sam akt twórczości, abstrahując od głównego motoru machiny ludzkiej — od serca''.

Esseista włoski Nicola Chiaromonte: ,,Kryzys powieści rodzi się z nieufności do postaci, a ta nieufność ma z kolei swe źródła w trudności wierzenia dalej, że różnorodność wypadków i ludzi jest sama przez się znacząca. Powieść opiera się na naturalnym przekonaniu, że okazje życia są nieskończone i że każdy ułamek czasu zawiera w sobie rewelację nowej możliwości ludzkiej, nowej konfiguracji rzeczy. Jeśli miejsce tego przekonania zajmie wątpliwość, że sytuacja ludzka jest w zasadzie zawsze taka sama i że zmienność wypadków i chwil nie ma znaczenia — jak u Kafki na przykład, — kończy się powieść i kończy się postać. Bez poddania się czasowi i naturze, bez ufności że upływ czasu ma swój naturalny sens, zdąża zgodnie ze swymi prawami do spełnienia, stanowi dla jednostki odysseję, a nie serię niepowiązanych ze sobą przypadków, akt opowiadania jest niemożliwy''.

Trzy głosy, trzy diagnozy, trzej winowajcy: czytelnik, krytyk, pisarz spoglądający nieufnie na postać powieściową. Wszystko jednak sprowadza się do prostej i mądrej obserwacji Ortegi: dobra powieść musi umieć stworzyć swój własny świat, z którego z pewnym trudem (z im większym trudem, tym lepsza powieść) płynie się na powrót ku brzegom osobistej egzystencji. Gdy to następuje, odpadają natychmiast przeszkody: czytelnik chętnie godzi się być widzem i równocześnie nie odmawia swego udziału w dialogu między postaciami i rzeczami; krytyk w lot pojmuje niewłaściwość swego nadużywania lancetu i przykłada uważnie ucho do serca pacjenta; pisarz odzyskuje wiarę w znaczenie różnorodności wypadków i ludzi. Ale nie podobna zaprzeczyć, że następuje to ostatnio dość rzadko, że powieści pokroju *Doktora Żiwago* czy *Il Gattopardo* sterczą jak samotne skały otoczone zalewem mniej lub więcej utalentowanej miernoty. Czego brak większości współczesnych powieści, to poczucia Rzeźby Czasu. Są ahistoryczne nie w tym sensie, że odwracają się od historii społeczeństw i narodów, lecz w tym że lekceważą historię człowieka, dniom nadając wagę lat i dziesięcioleci, epizodom rozmiary procesów, strzępom i okruchom rolę obrazów. Nasuwa się zatem często pytanie, czy w naszej epoce fragmen-

taryczności, chaotycznej nerwowości i przyśpieszonego rytmu życia sztuka dobrego opowiadania nie stanie się monopolem ludzi starych. Przy wszystkich swoich nędzach starość posiada także parę blasków: daje przywilej (jak to ładnie powiedziała w „Córce gór" Edith Wharton) odróżniania rzeczy naprawdę ważnych od mało lub pozornie ważnych; poskramia gorączkowość; obdarza zmysłem perspektywy i wizją całości; i codziennie stawia przed oczami klepsydrę z sypiącym się nieustannie piaskiem czasu.

◆

Takie refleksje budził już Tomasi di Lampedusa, arystokrata sycylijski amator literacki, który przez dwadzieścia pięć lat nosił w sobie w milczeniu jedyną powieść by ją w końcu opowiedzieć na głos u progu śmierci. Potwierdza je nowodkryty włoski debiutant powieściowy, 74-letni Alberto Denti di Pirajno. Z pochodzenia również Sycylijczyk, urodził się w La Spezia gdzie jego ojciec był admirałem i dowódcą Arsenału. Ukończył medycynę w Florencji. W roku 1924 pojechał do Afryki jako lekarz przyboczny księcia Aosty. W kilka lat potem przerzucił się do administracji kolonialnej i po szczeblach tej kariery wspiął się aż na stanowisko gubernatora Tripolisu. (To z jego rąk Montgomery przyjął w roku 1943 akt poddania miasta). Uwięziony, spędził trzy lata w obozach jenieckich w Afryce Podzwrotnikowej. Po wojnie napisał parę książek podróżniczych. Ale *Ippolita* (1) jest jego pierwszą powieścią; kosztowała go jedenaście lat pracy.

Mimo że rzecz dzieje się w małym księstwie włosko-habsburskim w dolinie Padu w okresie od wojen napoleońskich do Wiosny Ludów, nie jest to powieść historyczna. Posiada raczej swobodną, imaginacyjną umowność obrazu zmitologizowanego, a pod wieloma względami przypomina swą techniką (jak słusznie sugerują wydawcy) proceder libretta do opery wysnutej dowolnie z określonej epoki. Mimo że w postaci bohaterki tytułowej daje uderzający portret kobiecy — Ippolita jest córką wzbogaconych arendarzy włoskich, żoną pułkownika austriackiego barona von Gruebera, skąpicą pozbawioną prawie zupełnie wszelkich uczuć ludzkich, — nie jest to też powieść psychologiczna. Denti di Pirajno ma wyraźną niechęć do komentarza i analizy, rzadko zapuszcza sondę w głąb opisywanych wypadków. Mimo że pisana jedenaście lat, nie jest to wreszcie książka opanowana namiętnością stylu. Tylko niekiedy, i to przelotnie, spotyka się w niej stronice noszące ślady świadomego „artystowstwa" i cyzelerstwa.

Stosunkowo najściślej można by ją określić jako owoc *Lust zu fabulieren*. Byłoby jednak błędem sądzić, że chodzi tu

(1) Alberto Denti di Pirajno. *Ippolita*. Lerici Editori, Mediolan, 1960; str. 404.

tylko o upodobanie do opowiadania dla samego opowiadania. Denti di Pirajno ewokuje w wyobraźni zamknięty świat swego *Ducato*, szczodrą (chwilami aż za szczodrą!) ręką rozsiewa dziesiątki epizodów i postaci, na przestrzeni kilkudziesięciu lat snuje szereg głównych i podrzędnych wątków, mając ciągle na oku pewien cel. Jaki? Z początku trudno go uchwycić, pierwsza połowa powieści robi wrażenie bezładnego kiermaszu, na którym każdy może sobie wybrać co mu się podoba; każdy z wyjątkiem autora, oszołomionego jakby i podnieconego własnym rogiem obfitości. Ale w drugiej części widać, że było to tylko wielowarstwowe gruntowanie płótna. Powoli świat *Ippolity* nabiera kształtów plastyczności, drobiazgi wskakują na swoje miejsca, rysy twarzy ludzkich zaostrzają się, stają się coraz bogatsze i wyrazistsze. I wtedy dopiero odsłania się cel tej zdawałoby się bezinteresownej przyjemności opowiadania: jak w wielkich romansach przeszłości — zawdzięczających przede wszystkim temu swoją rację bytu — ogląda się życie człowieka w szerokim rzucie, to zbliżone dzięki szczegółom to ogarnięte w całości z lotu ptaka, czuje się ciężar czasu i sens zdarzeń, ceni się trwałość związków między rzeczami, niechętnie odrywa się wzrok i myśl od potoku ciągle tych samych i ciągle innych przygód ludzkiego serca. ,,Duże'' powieści muszą mieć taką ambicję pełni, gmachu którego budowę śledzimy od położenia pierwszych kamieni fundamentów, nie znając jeszcze jego projektu nawet z rysunków. Lubimy, przymknąwszy oczy, wspominać i rozważać jak powstawał, i w naszej reakcji tkwi tyleż zadowolenia czysto estetycznego co umocnionego na nowo poczucia realności i ciągłości życia. Denti di Pirajno osiąga to wszystko niezmiernie prostymi środkami: narracją beznamiętną, uczciwą, trzeźwą, nie polującą na doraźny efekt, obliczoną niemal wyłącznie na wymowę opisywanych faktów. Jego proza jest utkana tak gęsto i posiada tak jednolity deseń, że po wielu wahaniach trzeba sobie w końcu odmówić przyjemności jaką daje czasem sprawozdawcy cytowanie próbek. Ten sposób opowiadania ma w sobie coś ze starego wina: pracują nań doświadczenia całego długiego życia.

Ippolita napełni więc znowu na jakiś czas otuchą tysiące czytelników, którzy z niepokojem przysłuchują się coraz modniejszym dziś konsyliom nad łożem ,,chorej powieści''. Nie jest ona z pewnością arcydziełem, nie jest nawet książką na miarę *Il Gattopardo*, ale można jej śmiało wróżyć trwałe miejsce we wspomnieniach z lektury. Czegóż, przykładając wagę do sztuki powieściowej, więcej wymagać gdy się od tylu lat żyje w atmosferze ,,prowizorium, programów i eksperymentów'', gdy się codziennie czyta utwory prozą które nazajutrz deszcz zmyje jak plakaty na murze w kampanii przedwyborczej, mało zrozumiałej dla kogokolwiek poza kręgiem samych kandydatów i ich profesjonalnych *aficionados?*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

PIEKOSZEWSKI (Jan, rev. dr.). *The Religious Problem of Refugees in U.S.A.* Str. 128. (Nakładem „Veritas", London, Canada, 1960, cena dol. 2,75).

JENNE (Józef). *Smagły wiatr.* Str. 166 i 10 nlb. Szkice i okładkę projektowała i wykonała art. mal. Felicja Wierzbicka. (Wyd. „Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1959).

NOWAK (Joseph). *The Future is Ours, Comrade.* Conversations with the Russians. Introduction by Irving R. Levine. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Dubleday & Company, Inc., Garden City, N.Y., 1960, cena dol. 3,95).

TIGRID (Pavel). *Marx na Hradcanech.* Str. 124 i 4 nlb. (Wyd. Edice Svedectvi, New York, 1960, cena dol. 2,50).

MICHALSKI (Stanisław). *Czarna magia.* Str. 54. (Nakładem Zrzeszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka, Montreal, 1960).

KMIETOWICZ (Franciszek). *Kanadyjski oberek.* (Zbiór felietonów). Str. 112. (Wyd. Toronto Ont. Kanada, 1960).

HALEY (Albert W. jr.). *First Poems.* Str. 16. (Nakł. Big Mountain Press, Denver, Col. USA, 1960).

KIRKCONNELL (W.). *The Place of Slavic Studies in Canada.* Str. 16. Nr 31 „Slavistica". (Wyd. Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1958).

Readings in Canadian Slavic Folklore. II. Texts in English Translation. Compiled and edited by J.B. RUDNYC'KYJ. Str. 96. (Wyd. The University of Manitoba Press, Winnipeg, Canada, 1961).

WEINTRAUB (Wiktor). *Manifest renesansowy Kochanowskiego.* Str. 159-174. (Odbitka z „Pamiętnika Literackiego", Nr 3-4, tom L. (1959).

WEINTRAUB (Wiktor). *Bunyan in Poland.* Str. 35-41. (Odbitka z „Canadian Slavonic Papers, IV, 1959).

BORSCHHAK (E.). *Les noms de famille ukrainiens.* Str. 16. Nrr 18 „Onomastica". (Wyd. L'académie Ukrainienne Libre des Sciences, Winnipeg, Canada, 1959).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

RIPECKYJ (Mirosław O.). (Storinki z Istorii Ukr. Cerkwi i Kultury. VII wypusk II czast). I. *Kijiwskij Litopys XII st.* — II *Słowo o połku Ihorewym.* Str. 105. (Muenchen 1959).

Nowi Poeziji, Cz. 1. (W-wo Njujorkśkoi Hrupy, 1959).

RUBCZAK Bohdan *Kaminnyj Sad.* Poezii. (Objednannia Ukrainśkych Pyśmennykiw „Słowo". N.Y., 1956).

TARNAWŚKYJ (Jurij O.) *Żyttia u misti.* Poezii. (Objednannia Ukrainśkych Pyśmennykiw „Słowo". N.Y. 1956).

ANDIEWSKA (Emma). *Narodżennia idoła.* (Słowo. N.Y., 1958).

BOJCZUK (Bohdan). *Czas bolu.* Poezii. (Objednannia Ukrainśkych Pyśmennykiw „Słowo", N.Y., 1957).

Listy do Redakcji

Toronto, 22.10.1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem W.A. Zbyszewskiego ,,Generał Haller'', doprawdy nie wiem jak określić brak taktu ze strony p. Zbyszewskiego. Nie chodzi mi o gen. Hallera. Wstaw się Pan jednak w położenie żyjących jeszcze żołnierzy błękitnej armii, którym się mówi, że ich wódz *to najgłupszy człowiek*. Czy to jest potrzebne? Czy to nie jest równoznaczne z powiedzeniem, że i wy byliście durniami, skoro poszliście na wezwanie durnia.

Panie Redaktorze! Nie wymagajmy od mas subtelności dialektycznej!

Jeśli mnie artykuł Zbyszewskiego uraził, na pewno uraził on, i to boleśnie uraził, dawnych Hallerczyków, stojących już dziś nad grobem, a którzy kiedyś dali ze siebie wszystko a wzamian nie otrzymali niczego.

Zapytuję więc jeszcze raz. Czy ten nietakt p. Zbyszewskiego był komukolwiek potrzebny.

Łączę wyrazy szacunku.

M. FIGIEL

◆

Enfield, 26 października 1960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na apel p. P. Hostowca, ogłoszony w artykule pt ,,Dwa wyrazy proszą o chwilę uwagi'' (nr 10/156) proponuję:

1)W celu uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego i zaznaczenia nierozerwalnej więzi z Rzymem i Zachodem pod bardzo wieloma względami: religijnym, historycznym, kulturalnym na czele, proszę usilnie o pozostawienie starołacińskiego wyrazu — MILLENNIUM .

2) Słowo francuskie — essai, angielskie — essay, używane w polskiej prasie, publicystyce różnie, jak: essay, essej, esej, a oznaczające w języku polski krótki szkic literacko-naukowy, rozprawkę, zamieniłbym na nowotwór polski na — ESEJAT, (końcówka jak w słowie poemat).

Z najwyższym poważaniem.

Franciszek GRZESIK

◆

Londyn, 10 listopada 1960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem i apelem p. Jana Kowalika ,,Zadania prasoznawcze emigracji'' (,,Kultura'' nr 11/157) komunikuję uprzejmie, że zbiory bibliograficzne tak perskie (Teheran, Isfahan i Ahwaz) oraz afrykańskie,

przekazałem w roku 1949 do Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku (Profesor Oskar Halecki). Sporo egzemplarzy było dubletów. Inne zebrane po tej dacie, ofiarowałem Bibliotece Polskiej w Londynie.

Raczy WPan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

J. HOFFMAN

◆

Londyn, 16.101960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem Janusza Kowalewskiego (*Kultura* nr. 9/155) „I znowuż niewola" pozwalam sobie na następujące uwagi. Pan Kowalewski w swym ciekawym „traktacie" ma wiele słuszności. Naturalnie ciężko jest pracować w fabryce nie będąc robotnikiem zawodowym, dla którego praca fizyczna nie jest sama w sobie wyżywaniem się i osiągnięciem ambicji życiowych. Trudno poecie, malarzowi, lub nawet generałowi czuć się wniebowziętym przy odrabianiu normy, narzuconej automatyczną maszyną i, jak to nazywa pan Kowalewski, „normirowszczikami", oraz naganiaczami typu „ćwoka". Trudno — jeśli facet nie ma pogody ducha, humoru i poczucia godności ludzkiej, wypływającej z założenia, iż żadna praca nie hańbi. Pan Kowalewski zaznacza, że miał „swoich dziesięć lat tłustych", a ponieważ nie umiał uszanować tego co miał, więc „znowuż niewola". Myśmy w fabryce, ujrzawszy pana Kowalewskiego, ukuli taki aforyzm: „mądry Kowalewski po „cioci Romci"... Autor wspomnianego artykułu był zbyt krótko w „niewolniczym" środowisku, by móc poznać i pracę, i „naganiaczy", oraz ich „ofiary". Nawet pejzaż otaczający miejsce pracy i dojazd został przeinaczony. Nie ma tam tłoku fabryk i „szarych długich domów robotniczych", natomiast jest tylko parę rozbudowujących się przedsiębiorstw i domki zamożnych robotników gazowni i elektrowni, hodujących sentymentalne chryzantemy i gołąbki, oraz sympatyczny kot, wybiegający do każdego pociągu z robotnikami. A cały dojazd tonie na wiosnę w bzach i różach, i nawet mieszka tam słowik. Skarży się pan Kowalewski na „nadzór" w pracy. Gdzieś w ewangelii jest powiedziane, że gospodarz ma obowiązek pilnować nawet dobrego robotnika, by się nie stał złym. Ale co tu mówić panu Kowalewskiemu o ewangelicznych prawdach, gdy on wykuwa własne... Wyzysk? Gdzie go nie ma? Na jakiej planecie? Nawet w raju tak będzie, gdyż pan Chapman, jako potępiony za wyzysk, będzie leżeć bezczynnie w kotle ze smołą, a ci sprawiedliwi (niegdyś jego robotnicy) będą w pocie czoła turgać smołę... Wcale nie bronię panów Chapmanów. Jednak zaznaczam, że pan Kowalewski nie zdążył poznać naszego, ani jako dyrektora, ani człowieka, więc dlatego skarży się, że dyrektor nie poniża się do rozmów prywatnych z robotnikami, zadawalając się stereotypowym „dzień dobry". Odwrotnie. Wdaje się. Nawet chętnie słucha kawałów i dyskutuje — nawet na temat malarstwa. „Majstrowie nie przejmują się za bardzo", denuncjuje pan Kowalewski, skarżąc się na brak pouczeń w pracy nowicjusza. Ci majstrowie mają na swej głowie kilkadziesiąt znarowionych maszyn i wielu „jołopów", których stale muszą ratować, lub zastępować w pracy, gdy oni idą na programowe i „prywatne" siusianie, lokując się z gazetą w ustępie na pół godziny — zrób co takiemu. Przecież w erze atomowej tego jeszcze nie zakazano... Pojętny człowiek (a zwłaszcza inteligent) uczy się sam. I tu leży klucz do wyzbycia się nudy w pracy. Problemy mechaniki mogą być tak samo ciekawe dla Leonardo

da Vinci, jak i dla inżyniera. Usunięcie tego ,,flaszu" przez umiejętne manipulowanie elementami i zespołami maszyny, daje satysfakcję i panowanie nad maszyną. Zbliżamy się do ery w przemyśle, gdy robotnika zapaćkanego smarami, robotnika głąba, zastąpi człowiek w białym kołnierzyku, robotnik-inteligent. Jeśli taki robotnik jest z góry skazany na okropieństwa, których doznał pan Kowalewski, to wróćmy do maczugi. Pan Kowalewski rozpoczyna swe rozważania przysłowiem: ,,Każde dziecko zna przysłowie ,,żadna praca nie hańbi". Ale nie każde dziecko wie, że to kłamstwo".

Na marginesie tej swoistej filozofii trzeba zaznaczyć, że każde ,,dziecko" wie, że WOLNYM TRZEBA SIĘ URODZIĆ, gdyż w przeciwnym razie będzie się niewolnikiem w każdym miejscu i na każdym polu.

T. ILNICKI



Toronto, 27.10.1960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Alarm Pawła Hostowca, w październikowym numerze ,,Kultury", wydaje mi się spóźniony, gdyż oba wyrazy mają już przesądzoną pisownię. Przypuszczam, że nie będziemy boczyć się w tym wypadku na Kraj, który decydując o zasadach pisowni, włącza prawdopodobnie i emigrację w jej ramy. Nie przypuszczam byśmy mogli pozwolić sobie na pisownię emigracyjną i krajową, gdy do tej pory pokutuje jeszcze między nami ,,stara" i ,,nowa".

Ostatni ,,Słownik wyrazów obcych", wydany w 1956 roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy, pisze: MILENIUM, co również potwierdza doskonale zredagowany i zupełnie nowy w Polsce ,,Słownik wyrazów bliskoznacznych, wydany w 1958, przez Wiedzę Powszechną, pod redakcją Skorupki (1).

Drugą wątpliwość, kategorycznie przecina ,,Słownik języka polskiego" (Polskiej Akademii Nauk), pod redakcja Witolda Doroszewskiego. Na stronie 754 tomu drugiego wyjaśnia on: ESEJ, krótki utwór... itd. Co również potwierdza ,,Słownik wyrazów bliskoznacznych", wspomiany już poprzednio, jak i ,,Język polski na codzień" wydany przez Wiedzę Powszechną. Przedwojenny ,,Słownik języka polskiego", Trzaski Ewerta i Michalskiego, również stosował tę samą pisownię: ESEJ.

Łączę życzenia rozkwitu i wyrazy poważania.

W. IWANIUK



Londyn, 3 listopada 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu artykułu pana W.A. Zbyszewskiego pt. ,,Generał Haller" w numerze 10/156 ,,Kultury" uważam za swój obowiązek zaprotestować przeciw nadużyciu drukowanego słowa w stosunku do niedawno zmarłego człowieka, Polaka i Żołnierza.

---

(1) Zauważyłem, że prasa literacka w Polsce również pisze: MILENIUM.

Nie do mnie należy krytyka charakteru i zdolności politycznych i wojskowych śp. Gen. Hallera. Niemniej uważam sponiewieranie jego pamięci w rzekomym zajściu Jaworski--Dmowski, które się tu przytacza bodajże po raz pierwszy po 35-ciu latach, z wszystkimi osobami wmieszanymi dawno zmarłymi, jako postępowanie niegodne pisarza polskiego. Mógłbym tu użyć słów angielskich, że to nie jest *fair play* obrażać kogo który tak niedawno był wśród nas. A miał przecież pan Zbyszewski przeszło 20 lat czasu na odbrązowianie Gen. Hallera, przy jednoczesnym daniu mu możności odpowiedzi.

Metoda którą posługuje się pan Zbyszewski przy pisaniu tego artykułu jest nieodpowiedzialna i niepoważna, prowadząca do tego, że pisze on paszkwile o ludziach, których nie miał sposobności nawet poznać. Z gen. Hallerem, jak autor sam przyznaje, raz w życiu tylko rozmawiał, i to nie o polityce ani o wojsku, a o stypendium. Z byłym prezydentem Wojciechowskim natomiast, pan Zbyszewski nie rozmawiał ani razu, widywał go tylko czytającego gazety w cukierni. Pomimo tego wydaje mu się, że ma prawo wydawać tak o jednym jak i o drugim, opinie bardzo tych ludzi krzywdzące.

Nikt nie robił i nie robi śp. gen. Hallera nowym Kościuszką.

Natomiast jakie miejsce w hierarchii wielkich Polaków zajmie postać gen. Hallera zadecyduje Historia, a nie pan Zbyszewski.

Również według pana Zbyszewskiego „ogólnikowy slogan" „Bóg i Ojczyzna" jest syntezą światopoglądu, za który zginęło miliony Polaków na przestrzeni historii naszego narodu. Ten „slogan" dawał, daje i będzie dawał siłę moralną narodowi polskiemu, w najcięższych jego chwilach. Kończąc, chciałbym wyjaśnić i sprostować jedną z nieścisłości artykułu pana Zbyszewskiego. Na podstawie posiadanego przez mnie rękopisu Pamiętników gen. Hallera stwierdzam, że gen. Stanisław Haller był kuzynem a nie bratem gen. Józefa Hallera.

Załączam wyrazy głębokiego szacunku.

Stanisław JÓŹWIAK

◆

Londyn, 26.10.1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z pewnym opóźnieniem przeczytałem we wrześniowym numerze „Kultury" (nr 9/155) „Wspomnienia Wrześniowe" (List z Kraju), napisane przez Kazimierza K.

Autor, opisując swoje przeżycia z końcowych dni walk nad Bzurą w rejonie Iłów — Kampinos, w których brał udział, jako podchorąży zapewne jednego z pułków armii „Pomorze", podaje własne naświetlenie wydarzeń oraz ocenę wojska i dowódców sugerując czytelnikowi, że w tym okresie żołnierz nie miał ochoty do dalszej walki a oficerowie, do najwyższych szczebli włącznie, wykazywali zobojętnienie i bierność.

Pozostawienie czytelnika w takim przeświadczeniu byłoby, moim zdaniem, nie tylko niezgodne z ówczesną rzeczywistością, ale i wysoce krzywdzące dla uczestników tej bitwy.

Jako oficer sztabu armii „Pomorze", biorący udział w tychże walkach, nieco na południe od opisywanego rejonu, pragnę przytoczyć kilka faktów dotyczących kolejnych losów niektórych dowódców, wymienionych w liście imiennie.

Otóż płk. Andruszewicz Dca A.D. 16 D.P., działający w bezpośrednim zasięgu rozkazów gen. Bortnowskiego, d-cy armii „Pomorze", daje maksimum wysiłku i inicjatywy w przygotowaniu wsparcia ogniem artylerii oddziałów forsujących Bzurę w rej. m. Witkowice. Po wykonaniu zadania przechodzi on późnym wieczorem w dniu 18.IX. wraz ze swoim oddziałem pieszym i konnymi oraz dwoma działkami p. panc. w lasach Budy Stare — Biała Góra pod rozkazy gen. Skotnickiego, który kończy tam porządkowanie i formowanie improwizowanych oddziałów do dalszej walki.

Tejże nocy forsujemy pod ogólnym dowództwem gen. S. Bzurę przez zaskoczenie w rejonie folw. Witkowice. W walkach nocnych, bezpośrednio po przekroczeniu rzeki, ginie gen. Skotnicki i płk. Andruszewicz. Obydwu poległych dowódców cechowało do ostatniej chwili wzorowe żołnierskie zachowanie się i wiara w sens dalszego wysiłku, mimo skrajnie ciężkich warunków końcowej fazy bitwy kotłowej.

Los gen. Bołtucia, któremu udaje się przekroczyć Bzurę pod m. Witkowice, rozstrzygnie się nieco później w obronie Modlina, gdzie poległ pod Łomiankami. W lesie Kampinos poległ trafiony odłamkiem pocisku artyleryjskiego gen. Wład, dowódca 14 d.p.

W tym czasie, w walkach na prawym brzegu Bzury, zostają ranni płk. J. Werobej, dowódca 4 d.p. i płk. Tadeusz Niezabitowski, który objął z kolei po nim dowodzenie 4. dywizją.

Jeżeli się uwzględni równocześnie, że w walkach poprzedzających okres Bzury polegli: płk. Świtalski, dca 16 d.p., i płk. Rawicz-Mysłowski, dca 4. d.p., oraz ranny jest dca 27. d.p. gen. Drapella, to w sumie za okres niecałych 3-ch tygodni walk straty na szczeblu dowódców wielkich jednostek wyniosły: 2-ch dców Grup Operacyjnych i 3-ch dców Dywizji (w tym trzech generałów i dwu pułkowników (zabitych) oraz 3-ch dców dywizji rannych, — na ogólną sumę 8-miu wielkich jednostek, jakie w tym czasie wchodziły (stale lub przejściowo) w skład armii „Pomorze".

Przytaczam cyfry powyższe, gdyż świadczą one wymownie o ofiarności dców wielkich jednostek w najcięższych warunkach pracy bojowej. Tak wysokiego procentu strat krwawych na tym szczeblu nie miała żadna z naszych armii w 39 r.

Mógłbym zestawić analogiczny wykaz imienny strat dowódców pułków, batalionów i kompanii, ilustrujący podobnie wysoki stosunek procentowy strat bitewnych na tych szczeblach dowodzenia, zajęłoby to jednak wiele miejsca.

Wracam zatem jeszcze do treści listu p. Kazimierza K.

Autor listu nie podaje swego przydziału, z tego jednak co widzimy należał on do odprysków. Nie można go za to winić. Odpryski te jednak były plagą.

Opisuje on to co odczuwał, lecz nie może sobie wyobrazić, że gros jego przełożonych podlegało tym samym co on przeżyciom, z tym, że on był załamany nie znając ogólnej sytuacji, oni natomiast nie byli załamani mimo świadomości beznadziejnego położenia.

W końcu należy tu podkreślić, że bitwa nad Bzurą stanowi piękny przykład wykonania, z pełnym poświęceniem, przez armię „Pomorze" zadania osłony sąsiedniej armii „Poznań", co umożliwiło jej przerwanie otaczającego pierścienia i dojście częścią sił do Warszawy.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Czesław *KOPAŃSKI*, ppłk. dypl.

Addis Abeba, wrzesień 1960 r.

Łaskawy Panie Redaktorze,

W perspektywie dwudziestojednolecia Kampanii Wrześniowej tajemnice służbowe przestają obowiązywać i wchodzą w domenę historii. Jeśli Pan osądzi, że warto, dorzucę mikroskopijny szczegół do korespondencji na tematy „Beck a Śmigły we wrześniu 1939":

12 września 1939 rano, w Krzemieńcu, odbierałem od ministra Becka zlecenie do powtórzenia i pismo do doręczenia osobiście Naczelnemu Wodzowi „do odszukania w terenie". Chodziło o naglącą propozycję decydującego o ewakuacji władz zjazdu z Prezydentem R.P. w Ołyce. Zauważyłem wówczas u Becka wstrząs tak niezwyczajny, że ledwo mógł mówić. Wzmocniło to moje ogólne wrażenie, że nie był on przed Wrześniem, obiektywnie informowany o naszych możliwościach obronnych.

W wykonaniu zlecenia wszcząłem poszukiwania za główną kwaterą, swoim autem i na własną rękę, gdyż żaden z zapytywanych w drodze przez bombardowany Łuck wyższych oficerów nie umiał mnie skierować. Wiedzieliśmy tylko że ostatnim znanym m.p. marszałka Śmigłego był Brześć, co mnie skłoniło do popchania się na ten kierunek. O opatrznościowym znalezieniu Naczelnego Wodza zdecydowało w końcu spotkanie znanego mi brytyjskiego łącznika przy nim generała Carton de Viart, na którego „jawną" sylwetkę natknąłem się przejeżdżając przez pozornie pustawy Włodzimierz, ukrywający kwaterę główną. Nareszcie zaprowadzony do marszałka Śmigłego zastałem go, w przeciwieństwie do Becka, w świetnej formie i pogodnym nastroju (propozycje zjazdu przyjął). Poza jego kwaterą w sztabie głównym, nastrój był gorszy i wyrażał bezradność: wszelka skuteczna łączność z armiami, władzami etc. była przerwana po uszkodzeniu jedynego nadawczego aparatu radio, a aparat z rezerwy MSZ, zaoferowany *in extremis* przez ministra Becka, przywiozłem dopiero ja, moim autem, w asyście zdającego J. Meysztowicza. Fakt ten, wraz z niewiedzą władz wojskowych o m.p. Naczelnego Wodza, tłumaczy moją niezwykłą misję samoczynnego „odszukania go w terenie", w sprawach jak wyżej.

Z prawdziwym poważaniem.

Jerzy KRZECZUNOWICZ

◆

London, 12 listopad, 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W apelu Pawła Hostowca („Kultura" 10/156 — 1960) interesuje mnie właściwie tylko słowo *essay* (essej? esej?). Do „Kultury" konsekwentnie pisywałem „essay", ale „Kultura" — mniej konsekwentnie — drukowała „essay", „essej" lub „esej". Nie protestowałem, bo poza schludnością korektorską nie ma to większego znaczenia, ale na zapytanie Hostowca, opowiadam się za ESSAY'em.

„Millennium — millenium — milenium", jest mi najzupełniej obojętne. Osobiście wolę tysiąclecie. Ale ponieważ lubię głosować, głosuję za *milenium*. Zaoszczędzi, zupełnie niepotrzebne, dwie litery przy składaniu i ułamek miligrama farby drukarskiej przy drukowaniu. Nie mówiąc o osobistym wysiłku piszącego.

W końcu, czy p. Hostowiec zechciałby wyjaśnić — wet za wet — dlaczego pisze „peryfraza" a nie „parafraza"?

Łączę wyrazy szacunku

Henryk SCHOENFELD

Fort Belvoir, 4.XI. 1960 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jeszcze raz narzucam się z nieproszonymi uwagami. Tym razem w związku z artykułem p. Erdmanowej o jej córkach. Jak najpoważniej, w imieniu swoim i przyjaciół, stwierdzam, że jest to *nieprawda*.

,,Wewnętrzny ogień, tlący się w Polsce, jest najpiękniejszym zjawiskiem, jakie dziś możemy gdziekolwiek znaleźć''. Potwierdzają to m.in. L.B. Bain w ,,Reluctant Satelites'', J. Wechsberg w ,,Letter from Warsaw'' i inni. Potwierdziła to również sama p. Erdman na wczorajszym ,,żywym kwartalniku''.

Nikt z nas (trzech, z emigracji 1957 r.) nigdy nie słyszał o dzieciach-papugach z ,,Obojniaków''. Przeciwnie, były one pod K.C. w Warszawie i walczyły o ,,Po Prostu''.

Łączę wyrazy poważania.

Wł. TWIERDOCHLEBOW

Londyński korespondent ,,Kultury'': Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie ,,LIBELLA'',
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4 *trimestre* 1960

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
FRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th . Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
RGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », ano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
USTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,Daking se, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
ELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska- ky, 19, Square Saintcelette, app. 2, Bruxelles, Nr a pocztowego 7315-20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
RAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** taipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia linska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga ska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		5 dol. am.	9 dol. am.
RYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan- **Roman Krolikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
RANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
OLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, terdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — .S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
ANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., nto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-** **ski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 29 ; **Olgierd Kiersnowski,**36 Bermuda Ave., To- 18, Ont. ; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Winnipeg, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen N., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	1 dol.	5 dol.	9 dol.
EKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
IEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon- tr. 7/1	3,50 DM	22 DM	40 DM
ORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, ève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
ZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV kholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, nectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew tynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. rczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, s.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, . Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin- d Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford ace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 5 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 nphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book orting C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **rojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. . 2.0890	1 dol.	5 dol.	9 dol.
. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, ersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
LOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, nt. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 2,50 NF